

Wybitny literacki kryminał z serii **VERA**
z ekranizowanej jako serial telewizyjny
bijący na świecie rekordy popularności w 25 krajach
w Polsce – w ale kino+

ULICA

Tom 1

MILCZENIA

Zbrodnia bez motywów
i zмова milczenia



ANN CLEEVES


AMBER

– VERA –

ANN CLEEVES

ULICA **Tom 1**
MILCZENIA

Przekład
STANISŁAW REK



Redakcja stylistyczna
Anna Tłuchowska

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© ITV Studios/Helen Turton

Tytuł oryginału
Harbour Street

Copyright © 2012 by Ann Cleeves All rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 2015 by
Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

ISBN 978-83-241-5465-4

Warszawa 2015.
Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62, 691 962 519

WYBITNE LITERACKIE KRYMINAŁY w Wydawnictwie AMBER



*Oliverowi Clarke'owi
i Arthurowi Raynorowi*

Joe przepychał się przez tłum. Tuż przed świętami wagony metra były pełne ludzi z reklamówkami wyładowanymi beżużytecznymi prezentami. Niemowlęta pozostawione same sobie wrzeszczały w drogich wózkach spacerowych. Ci, którzy wcześniej zaczęli pić, wysypali się z firmowych przyjęć i chwiejąc się, zjeżdżali po ruchomych schodach do pociągów. Młodzież używała takiego języka, że Joe wołał, żeby jego dzieci go nie słyszały. Ale dzisiaj nie miał wyjścia, musiał skorzystać z metra. Sal była nieugięta, potrzebny był jej samochód.

Wracał tylko z córką. Śpiewała w szkolnym chórze i miała występ w katedrze w Newcastle. Kolędy wykonano przy świetle świec, bo w kościele zrobiło się ciemno już o czwartej. Dzieci śpiewały tak pięknie, że Joe omal się nie rozplakał. Jego szefowa Vera Stanhope zawsze mówiła, że jest romantycznym durniem. Potem wyszli w wieczorną godzinę szczytu, kiedy właśnie zaczął padać śnieg. Jessie nadal była podekscytowana. Prawidłowo zaśpiewała wszystkie nuty solówki i kierownik chóru pochwalił ją na koniec. Choć do Bożego Narodzenia zostało tylko dziesięć dni, Jessie była już za duża, żeby wierzyć w Świętego Mikołaja. Padał śnieg. Małe płatki kręciły się w porywach wiatru jak miniaturowe tornada.

W metrze trzymał ją za rękę. Stali, bo wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Przy drzwiach tkwiły dwie młode dziewczyny, niewiele starsze od Jessie, twarze miały pomarańczowe od makijażu, oczy czarne od ołówka i tuszu do rzęs. Przycisnęło się do nich dwóch chłopaków. Joe patrzył na to, co się tam dzieje. Obłapywanie i obmacywanie napętniały go wstrętem. Vera nazywała go świętoszkiem. Nie przeszkadzałyby mu taka czuła randka, ale w słowach, które chłopcy kierowali do

dziewczyn, było coś antypatycznego. Wysadziłby ich za brak stylu, za drwiny. A dziewczyny zabrałby na komisariat. Niechby Vera oświeciła je, co to jest feminizm – prawo kobiet do szacunku. Uśmiechnął się na tę myśl. Popatrzył na tarcze na kurtkach dziewczyn. Jedna z prywatnych szkół w tym mieście. Razem z Sal zastanawiali się nad wysłaniem Jessie do prywatnej szkoły. Była bardzo bystra i żywili wobec niej wielkie nadzieje. Na pewno uniwersytet. Może któryś z tych najważniejszych. Teraz, obserwując mizdrzące się, bierne dziewczyny, nie był już tak pewien wartości tych ekskluzywnych szkół.

Pociąg wjechał na stację. W światłach na peronie Joe zobaczył, że wali coraz gęstszy śnieg, płatki są większe, osiadają na dachach szeregowych domów. Wsiadła kobieta w długim płaszczu i zajęła dopiero co zwolnione miejsce w tyle wagonu. Joe wypatrzył je dla Jessie i poczuł irracjonalną niechęć do tej kobiety. Miała srebrne włosy i dyskretny makijaż, dopasowany płaszcz sięgał prawie do ziemi. Mimo wieku – musiała mieć z siedemdziesiąt lat – była w niej jakaś elegancja. Pomyślał, że kobieta ma pieniądze, i zastanawiał się, dlaczego nie zamówiła taksówki, zamiast tłoczyć się w metrze z innymi. Na następnej stacji wsiadła grupa mężczyzn. Garnitury, krawaty, teczki. Głośna rozmowa o jakiejś konferencji na temat sprzedaży. Joe był w takim nastroju, że zniechęcił ich za tupet. Za popisywanie się. Na każdej stacji przyplływali i odpływali ludzie, ale on razem z Jessie wciśnięty teraz w kątek przy drzwiach widział tylko plecy grubasa ubranego w dres Newcastle United. Bez kurtki. Twardziel z przedmieścia.

Światła w wagonie zamrugały i przez chwilę panowała całkowita ciemność. Gdzieś krzyknęła cicho jakaś młoda kobieta. Światło zapaliło się i pociąg wjechał na stację. Partington, prawie koniec trasy. Śnieg na peronie był głęboki na parę centymetrów. Joe miał nadzieję, że Sal jest w domu, centralne działa, a herbata jest już prawie gotowa. Mówiła o choince. Wystarczyłoby w zupełności sztuczne drzewko – jego mama nigdy nie zwracała sobie głowy prawdziwym – ale Sal w Boże

Narodzenie zachowywała się jak dziecko, aż się w niej gotowało. Wyobrażał sobie, jak wchodzi do domu i czuje świerk i zapachy dochodzące z kuchni. Dlaczego właściwie doszedł do wniosku, że to małżeństwo – ta rodzina – to będzie dla niego za mało?

Postanowił, że ze stacji Mardle pojedą do domu taksówką. Sal obiecała po nich przyjechać, ale nie chciał, żeby prowadziła wóz w taką pogodę. Taksówka do samego domu będzie kosztowała fortunę, ale i tak się opłaci. Drzwi do wagonu nadal były otwarte, pochwycił zerknięcia pasażerów siedzących po przeciwnej stronie. Zobaczył, że zimne powietrze nawiało śniegu, który przywarł do włosów Jessie. On sam ubrał się elegancko do kościoła, a jego córka nosiła tylko szkolny płaszcz na mundurku. Objął ją ramieniem, żeby ją ogrzać. Zabrzączał komunikator i odezwał się maszynista.

– Przepraszamy. Jest problem na linii. Nie ta odmiana śniegu. – Stłumiony śmiech pasażerów, za bardzo świąteczni i zbyt opici piwem, żeby ta przeszkoda mogła ich zdenerwować. – Tu się kończy trasa. Zaraz podjedzie autobus i można jechać dalej. Idźcie za moim kolegą do głównej drogi. – Dobroduszne jęknięcie. Z lekka zawiani pasażerowie wyszli, narzekając na zimno, ale chyba podobała im się ta odmiana. Wieczorem będzie o czym opowiadać w pubie. Ashworth mocno trzymał Jessie. Niech pierwsi wyjdą pijani i szurnięci. Wychodząc na peron, szukał w kieszeni komórki, żeby wezwać taksówkę. Byli tylko o przystanek od Mardle. Naprawdę, to nic takiego, pomyślał znowu, nie ma co wyciągać Sal z domu. Otulił Jessie swoim płaszczem i wyszukując numer, przycisnął ją mocno. Inni pasażerowie szli za pracownikiem metra w zielonej kurtce, byli coraz dalej, już ich nie było widać w śnieżycy.

Światła w pociągu nadal się paliły, ale słabły. Po maszyniście nie było śladu. Jessie szturchnęła Joego.

– Patrz. Ta pani się nie rusza.

– Nie przejmuj się. – Joe trzymał telefon przy uchu. Już słyszał dzwonek. – Pewnie śpi. Może za dużo wypita do lunchu. – Potem zobaczył, że Jessie pokazuje starszą kobietę w długim

płaszczu.

Już miał powiedzieć, że maszynista nie odjedzie, zanim nie sprawdzi, czy wszystkie wagony są puste, kiedy Jessie wymknęła mu się spod ramienia i wbiegła przez otwarte drzwi do wagonu. Łagodnie potrząsnęła ramię kobiety. Zawsze była uprzejmą dziewczyną i Joe był z niej dumny, ale czasem wołałby, żeby się nie wtrącała.

Firma taksówkarska odebrała telefon. Jednocześnie Jessie krzyknęła.

Na Harbour Street stał tylko jeden dom; inne budynki to zabudowania gospodarcze. Dom był wysoki i szary, prawie czarny od pyłu węglowego, który zabarwił również małą plażę po drugiej stronie portowego muru. Trzy kondygnacje, piwnica i poddasze. Imponujący. Nad drzwiami wyrzeźbiona była data: 1885. W oknie piwnicy paliło się światło, a w środku kobieta zdejmowała prześcieradła z suszarki zawieszanej nad piecem. Fachowo je składała, róg do rogu i rozciągała, potem kładła na stole. Wyżej paliło się w jeszcze jednym oknie, ale z chodnika nie było widać, kto jest w środku.

Obok domu było podwórze Malcolm Kerra oddzielone od ulicy zardzewiałym metalowym płotem, zwieńczonym bezlitosnymi szpikulcami. Bramę zamknięto na wielką kłódkę i łańcuch. Parę starych łodzi, fragmenty silników, dziwne baniaste kształty pokryte brezentem – wyglądało to na skład złomu. Malcolm prowadził wyprawy dla obserwatorów ptaków morskich na Coquet Island, a zimą, kiedy „Lucy-May” była rzadziej czarterowana, naprawiał łodzie sąsiadów. Śnieg złagodził kanciaste kontury na podwórku, zrobiły się tajemnicze i trudne do rozpoznania. W rogu stała szopa zbudowana z blachy falistej i drewna. Malcolm często pracował w niej całe noce, wypijał całe morze piwa, ale tego wieczoru było tam ciemno i cicho, a na śniegu nie widać było śladów butów.

Z podwórkiem sąsiadowała stacja pogotowia morskiego, w której stała szalupa ratunkowa, a przy niej, od strony morza, traktor z przyczepą do ściągania łodzi na wodę w razie alarmu albo ćwiczeń. Dalej znajdowała się smażalnia świeżo złowionych ryb: pełna życia, rozedrgana od dźwięków, od muzyki z telewizora na ścianie, śmiechu ludzi stojących w kolejce. W ciągu

dnia smaźalnia sprzedawała świeże ryby, głównie złowione na miejscu, detalicznie i hurtem, z długiego, niskiego budynku na tyłach. Wieczorem był to bar ze smażoną rybą i frytkami i restauracją obok. Za frytkownicą stały dwie kobiety ubrane na biało, zarumienione od żaru, mimo że śnieg wpadał przez otwarte drzwi. Kolejka ciągnęła się aż na ulicę. Sami miejscowi. Mardle nie było miejscowością turystyczną nawet latem. Poza smaźalniami i otoczonym murem portem niczego tu nie było. Łodzie wyglądały jak niewyraźne cienie na wpół ukryte za niesionym wiatrem śniegiem.

Po drugiej stronie ulicy stał pub Coble. Tam, gdzie ludzie przechodzili między pubem a frytkarnią, śnieg był już ubity i twardy. Na zewnątrz pubu paru zatwardziałych palaczy opierało się o mur, szukając schronienia przed złą pogodą. Obok pubu stał niski, przysadzisty budynek kapitanatu portu. Za nim rozciągały się nieużytki, z których korzystano jako z parkingu, a dalej, naprzeciwko dużego domu mieszkalnego z jaskrawo oświetloną piwnicą, stał kościół św. Bartłomieja. Wiktoriański gotyk, wzniesiony dla marynarzy i górników, teraz regularnie bywała tu garstka starszych kobiet. Na końcu ulicy, jak latarnia morska albo kwadratowy rozjarzony księżyc, lśnił żółty sześcian z czarnym M oznaczającym stację metra. Koniec kolejki. Ludzie czekali na peronie, żeby dostać się do miasta na wieczorną piątkową imprezę, ale pociągi nie nadjeżdżały.

To była Harbour Street.

W wielkim domu Kate Dewar niosła pościel po schodach na górę, do suszarni. Krótco zatrzymywała się przy ponumerowanych drzwiach. Nie słuchała. Kate nigdy by nie podsłuchiwała swoich gości. Ale to był jej teren i lubiła wiedzieć, kto jest w domu. Było cicho. Pewnie śnieg spowodował problemy w podróży. Cieszyła się, że dzieci są już z nią, słyszała, jak wchodzi, i wyobrażała sobie, jak siedzą na kanapie w piwnicy i oglądają telewizję. Miała zasadę: najpierw odrobić pracę

domową, a dopiero potem włączyć telewizor, ale zbliżał się koniec semestru i dzisiaj nie będzie się przy tym upierała.

Wchodząc po schodach, pomyślała, że słyszy, jak otwierają się drzwi frontowe, ale kiedy zatrzymała się, żeby posłuchać, nie usłyszała żadnego dźwięku, to pewnie wiatr grzechotał skrzynką pocztową. Zawsze potrafiła rozpoznać wiatr z północy, ze względu na charakterystyczne odgłosy. Suszarnia znajdowała się na półpiętrze pod strychem, między pokojem Margaret a półką, na której stawiała zapasowe saszetki z kawą i herbatą i puszkę z domowej roboty herbatnikami. Obok półki stała mała lodówka ze świeżym mlekiem w kartonie. Zestawy do parzenia kawy i herbaty były w każdym pokoju, ale chciała, żeby jej goście czuli się jak w domu. To te szczegóły sprawiały, że wracali. Z pewnością nie przyjeżdżali ze względu na lokalizację. Harbour Street nie miała wielu atrakcji. Przez łukowate okno, ponad podwórkiem Malcolma, ponad smaźalnią, rozciągał się widok na morze. Nadal padał śnieg. Widziała, jak płatki śniegu kłębią się w trójkącie światła rzucanego przez latarnię uliczną. Na morzu boja błyskała czerwienią. Jej mąż pracował na platformie wiertniczej i nadal odczuwała mieszaninę winy i żalu, kiedy myślała o wielkiej przestrzeni za progiem.

Postała, chwilę słuchając muzyki rozbrzmiewającej jej w głowie. Przywołała ją do życia, zanuciła. Pieśń zimy, jasności, przestrzeni. Zimowej miłości. I znowu pomyślała o Stuarcie i nieoczekiwanym uczuciu, które dopadło ją w średnim wieku. Brakowało jej tchu, była zdumiona, świadoma, że w tej chwili poświęciła wszystko dla nowego mężczyzny. Był ważniejszy niż koszmary Ryana, niż jego nocne wyprawy po okolicy, jakby był dzikim zwierzęciem, które nie może zasnąć, niż jego wybuchy wściekłości. Ważniejszy niż wyniki egzaminów Chloe i jej przerażająca ambicja. Stuart, stary i żyłasty, bardziej wspinacz niż muzyk, przywrócił jej życie. Wracając do swojego mieszkania, przy drzwiach wejściowych wpadła na George'a Enderby'ego. Do jego wełnianego płaszcza przyłgnęły płatki śniegu, a wielka, miła twarz uśmiechała się do niej z góry.

– Co o tym sądzisz, Kate? Śnieg w Boże Narodzenie. Dzieci będą zachwycone. – Mówił głębokim, dostojnym głosem południowca, który kojarzył się jej z politykiem albo aktorem.

Kate pomyślała, że to chyba jej dzieci się ucieszą i pewnie zechcą ulepić bałwana pod domem. George miał tak naiwne fantazje na temat doskonałości życia rodzinnego, że nie chciała wyprowadzać go z błędu.

– Tak – powiedziała.

George pracował jako przedstawiciel wydawcy i podróżował z wielką walizką na kółkach pełną książek. Często zostawiał egzemplarze dla jej dzieci. Chloe podobały się niektóre książki, te grube o innych światach, ale Ryan, chociaż udawał zainteresowanie, nie był zadeklarowanym czytelnikiem. Brał książki, żeby się przypodobać. Kate zawsze trochę się niepokoiła o Ryana. Nie sprawiał szczególnych problemów, ale mimo beztróskiego uśmiechu, według niej był nieszczęśliwy, a ona nie wiedziała, co powinna z tym zrobić. I te zdarzające się czasem wybuchy wściekłości, które przypominały jej Roba. Ale Harbour Street zabierała jej cały czas i wyciągała energię, a Stuart całkowicie opanował jej myśli. Już wiele lat temu Ryan przestał się do niej odzywać. Mówiła sobie, że chłopak jest młody, że dzieci są skomplikowane i nigdy nie zwierzą się rodzicom.

George miał żonę, ale dzieci nie mieli. Kiedyś jej to powiedział. Późnymi wieczorami mówił jej wiele rzeczy, kiedy popijał drinka przed snem w saloniku dla gości. Sączył whisky, a ona zerknęła na zegarek i myślała o tym, kiedy wreszcie pójdzie spać. Prowadziła dom z pokojami gościnnymi właściwie sama. Była tylko Margaret do pomocy w kuchni, ale przez ostatnie parę dni nie było z niej wielkiego pożytku.

– Dobrze minął ci dzień, George?

Wiedziała, że prowadzi trudny interes. Z tego też się jej zwierzył. „Kate, nie wiedziałbym, co robić bez tej pracy. Żyję i oddycham książkami”. Wyczuwała, że nie musiał pracować, żeby mieć na życie. Miał tę wyluzowaną pewność siebie i beztróski stosunek do pieniędzy, które przychodzą z rodzinnym

bogactwem. Sądziła, że nie znalazł szczęścia w małżeństwie, chociaż nawet gdy był bardzo pijany, nigdy źle nie mówił o żonie. „Moja Diana jest cudowną, wspaniałą kobietą”, zwykł mawiać.

Teraz wyplątywał się z płaszczem.

– Ten pokój co zwykle, Kate?

– Oczywiście. – George lubił duży pokój w tylnej części domu, z widokiem na morze i nie przeszkadzało mu, że był to najdroższy z pokoi. „Moi szefowie przyzwyczajeni są do cen londyńskich, Kate. Nigdy nie czepiają się moich wydatków”.

– Tym razem przyjechałem na parę dni. Potem znowu wybieram się na południe. Chyba, że śnieżycy będzie tak gęsta, jak zapowiadano. Wtedy możesz mieć niespodziewanego gościa na kolacji świątecznej. – Uśmiechnął się smutno, a ona pomyślała, że jest tym zachwycony. Rodzinny obiad na Boże Narodzenie, z nią i jej dziećmi siedzącymi wokół stołu w piwnicy, a on kroi indyka. Ale w tym roku będzie także Stuart. Nie wiedziała, co George o tym pomyśli. Potajemnie podejrzewała, że George Enderby chciałby ją widzieć pijaniusięnką.

– Zaniósę herbatę do saloniku. – To też należało do rytuału. Siadywał w saloniku z laptopem i książkami, popijał herbatę i jadł herbatniki Margaret. Potem, ponieważ nie serwowała wieczornych posiłków, wyjdzie na kolację – albo do smażalni, albo do Coble – i wróci po kilku piwach, żeby do północy siedzieć i pić whisky.

Kiedy weszła do piwnicy, zobaczyła, że dzieci oglądają telewizję. Pomyślała, że wcześniej oglądały coś innego i zmieniły kanał, kiedy usłyszały ją na schodach. Coś niestosownego. Była maniaczką kontroli i chciała wiedzieć, co oglądają. Czasem zastanawiała się, czy nie jest dla nich zbyt surowa. Może dlatego już nie chciały z nią rozmawiać. W końcu były prawie dorosłe. Widziała, jak zachowują się inne dzieci, co im uchodzi płazem. Ale pamiętała, jaka ona sama była za młodu: seks, narkotyki i scena muzyczna. Nie zdawała egzaminów końcowych, ale dla nich chciała czegoś lepszego.

Nadal nosiły mundurki szkolne i Kate chciała je wysłać, żeby się przebrały, ale się wstrzymała. Nie ma sensu zaczynać sprzeczki. „Zastanów się, kiedy warto walczyć”. Znalazła to w magazynie dla kobiet i pomyślała, że to ma sens.

– W porządku?

Odpowiedzią było stłumione chrząknięcie Chloe. Potem Ryan odwrócił się i uśmiechnął tak, jak robił to jego ojciec. Przeraziła się, bo to było tak, jakby zobaczyła ducha.

W kuchni Kate przygotowała tacę dla George'a: serwetka, liściasta herbata w imbryku, filiżanka i sitko. Mleko w dzbanuszku. Czasem Ryan wyśmiewał jej starania. „Mamo, to jest Mardle! Nie jesteś szefem w Ritzu”. Kate wiedziała, że drażni dzieci, usiłując utrzymać standardy – serwetki z tkaniny na stole, nawet kiedy jedli pizzę, upieranie się przy zachowaniu manier. Ale ona była pewna, że liczą się szczegóły i chciała przygotować je na przyszłość. Chciała dla nich czegoś więcej niż życie na zabitej deskami uliczce w zabitych deskami miasteczku. Dobrze wiedziała, jak z nią kiedyś było – jej ojciec był księgowym we własnej firmie, póki się nie rozpadła podczas recesji – i nadal dokuczało jej, że tutaj skończyła.

Salonik był pusty. George pewnie nadal siedział w swoim pokoju. Kate postawiła tacę, włączyła gazowy ogień i zaciągnęła zasłony. Śnieg za szybą zebrał się w małą zaspę.

Myślała, żeby wyjąć ronderek z lodówki na kolację, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Jeśli to kolejny gość uwięziony w mieście przez pogodę, może go umieścić w pokoju numer 6. Otworzyła drzwi. Na zewnątrz stała ogromna kobieta. Ubrana była w bezkształtny skafander i tweedową spódnicę. Na nogach miała gumowce. Włosy i ciało pokryte miała śniegiem. Za nią stał jeszcze ktoś, ale zasłaniała go jej masa, więc nie można było dostrzec szczegółów.

Kobieta yeti, pomyślała Kate.

Kobieta się odezwała.

– Wpuść nas, kotku, dobrze? Strasznie tu zimno. Nazywam się Stanhope. Inspektor Vera Stanhope.

Telefon zadzwonił, kiedy Vera robiła zakupy. Poczowała radosną ulgę, słysząc komórkę brzęczącą w kieszeni. Rzadko wyjeżdżała do Newcastle, chyba że do pracy, a teraz był to koszmar. Zakupy świąteczne: hordy objuczonych ludzi z szaleństwem w oczach. Jak króliki, kiedy jej ojciec Hector szedł z lampą polować. Hector zmarł przed laty, a Vera nie miała rodziny, żeby coś dla niej kupić. W Boże Narodzenie szła do sąsiadów hippisów na kolację i wszyscy upijali się na sztywno, ale Jack i Joanna nie czekali na prezenty – nie licząc może flaszki przyzwoitej whisky – ona też nie.

Potem Holly, jedna z jej zespołu, wymyśliła ten plan. Tajny Święty Mikołaj: losy w kapeluszu i wyciągasz nazwisko osoby, która dostanie twój prezent. Vera miała nadzieję, że to będzie Charlie. Jemu też doskonale wystarczyłaby butelka whisky. Ale z kapelusza wyciągnęła Holly. Holly perfumowała się, nakładała makijaż i nosiła eleganckie ubrania nawet do pracy. Co miała dla niej wybrać? Teraz więc była tutaj, w domu towarowym Fenwick's, spocona, bo ubrana nadal jak na dworze, otoczona eleganckimi, lśniącymi ludźmi. Tylko czekała, żeby stąd uciec, kiedy zadzwonił telefon. Telefonował Joe Ashworth. Gdyby był tutaj, ucałowałaby go.

– Co dla mnie masz, Joe? – zapytała melodyjnym głosem. Kosmetyczka w białym fartuchu gapiała się na nią, oklejając podkładem kobietę w średnim wieku, siedzącą na fotelu jak u dentysty.

– Morderstwo – powiedział Joe, a w niej aż serce skoczyło, zanim pojawiło się poczucie winy, bo wiedziała przecież, że ofiara jest czymś krewnym i przyjacielem. Nie umierali dla jej rozrywki. – Cios nożem w metrze.

– Bójka wyrwała się spod kontroli? – To byłoby dziwne. Tego rodzaju rzeczy zdarzają się późnym wieczorem, nie wczesnym popołudniem.

– Nie. – Znała go tak dobrze, żeby wiedzieć, że sprawa nie będzie łatwa, i to też ją ucieszyło. Lubiła niewielkie komplikacje. Wyzwania. – To starsza pani. Byłem pierwszy na miejscu zabójstwa. Kryminaliści są w drodze.

– Do Holly też zadzwonił. – Vera ostatnio bardzo uważała, żeby włączać Holly w sprawy, bo dziewczyna zrobiłaby awanturę na całą Anglię, gdyby doszła do wniosku, że się ją pomija. Zrobiła przerwę na oddech i już przepychała się przez tłum do wyjścia, szukała w kieszeni płaszcza kluczyków. – I wygrzeb Charliego z jego nory. Kto znalazł ciało?

– Jessie – odparł Ashworth. – Moja córka Jessie.

Dotarcie na stację metra w Partington zajęło Verze więcej czasu, niż się spodziewała. Parę centymetrów śniegu i świat zwariował. Samochód wpadł w poślizg w Benton i zablokował jedno pasmo ruchu. Jechała land roverem Hectora, który przeczył wszelkim przepisom policyjnym, taki był stary. Ale dzisiaj była z tego zadowolona. Stacja była zamknięta, otoczona taśmą policyjną i strzeżona przez dwóch inspektorów metra, delektujących się każdą minutą swojej chwili chwały. Daleko, na peronie, zobaczyła Joego Ashwortha. Jej sierżanta, zastępczego syna, jej faworyta. I jej sumienie. Śnieg padał wokół niego, a on stał tyłem do niej i rozmawiał przez komórkę. Ani śladu córki. Sal wyrwała ją pewnie siłą. Oboje chronili swoje dzieci. Vera pomyślała, że Jessie wolałaby pewnie zostać i zobaczyć, jak ojciec pracuje. Dziewczyna była żywa jak iskierka, a to napawało Verę nadzieją.

Włożyła kalosze, które trzymała w samochodzie. To wymagało wysiłku – nogi ledwie jej się zmieściły. Ale i tak straciła na wadze. Nowe buty, rok wcześniej w ogóle by w nie nie weszła. Peron był śliski, szła ostrożnie. Gdyby upadła, potrzeba byłoby

dźwigu, żeby ją podnieść. W jasno oświetlonym przedziale pociągu zobaczyła postacie w bieli przy pracy. Miała nadzieję, że na czele zespołu kryminalistyków stoi Billy Wainwright. Ciało nie zobaczyła, nie wpuszczą jej do środka, póki nie skończą.

– Joe! – Odwrócił się i zaczął iść w jej stronę, skończył rozmowę telefoniczną i włożył ręce do kieszeni.

Gdy się zbliżył, Vera zobaczyła, że ma zmarszczone czoło. Miał pewnie inne plany na ten wieczór. Chciał go spędzić z Sal i dziećmi. Może pakowałoby prezenty, gdy dzieci będą już leżały w łóżku. Sal była bardzo zorganizowana, nie zostawiłaby świątecznych zakupów na ostatnią chwilę. Ale Vera wiedziała, że Joego nudziło perfekcyjne domowe życie, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, nawet wobec siebie. Możliwe, że to morderstwo dla niego też było kołem ratunkowym.

– Co dla mnie masz, Joe? – Przeszli pod dach hali dworcowej. Joe oparł się o jedną z maszyn z biletami. Padał tak gęsty śnieg, że pociąg widzieli przez ruchomą białą zasłonę. Nie jest źle, pomyślała Vera. Ludzie będą winić pogodę, a nie nas, za zmiany w rozkładzie jazdy metra.

Słuchała, jak opisywał drogę z miasta, zatłoczony pociąg, beczelną młodzież i zalanych biznesmenów. Na tym etapie nie robiła notatek. Notatki nie pozwalały się jej skoncentrować. Musiała wyobrazić sobie wagon, posłuchać, o czym żartowano.

Słuchała, póki nie skończył mówić.

– A więc wszyscy w dobrych nastrojach? Nic, co mogłoby doprowadzić do świątecznego wybuchu wściekłości? Ofiara nie robiła uwag, że dzieci przeklinają albo kładą nogi na siedzeniach?

– Nie widziałem i nie słyszałem. Było pełno ludzi, ale gdyby była jakaś awantura, pewnie bym zauważył. Nawet kiedy pociąg się zatrzymał i wszyscy musieliśmy wysiąść, nikt się nie awantuował.

– Co wiemy o ofierze? – To była ulubiona chwila Very podczas śledztwa. Była wścibska, lubiła grzebać w prywatnym życiu innych ludzi. Pewnie dlatego, musiała to przyznać, że nie miała

własnego życia prywatnego.

– Tylko to, co było na jej miesięcznym na metro ze zniżką emerycką. Miała torebkę, ale w niej tylko portmonetkę, klucz do domu i chusteczkę do nosa.

– Pieniądze w portmonetce? – Tam byli narkomani, którzy za działkę zadźgaliby babcię. Ale prawdopodobnie nie w metrze i nie późnym popołudniem, pomyślała.

– Pięćdziesiąt funtów i trochę drobnych.

Czyli jej nie obrabowali.

– Co o niej wiemy?

– Nazywa się Margaret Krukowski i ma siedemdziesiąt lat. Adres w Mardle. Harbour Street jeden. – Joe zająknął się na nazwisku.

– Po jakimu to? Po rosyjsku, po polsku?

Joe pokręcił głową. Skąd miał wiedzieć?

– Była niedaleko domu – zauważył. – Jeszcze tylko jeden przystanek i byłaby bezpieczna. – Vera pomyślała, że to najbardziej sentymentalny glina, jakiego знаła.

– Widziałeś, gdzie wsiadała?

– Tak, w Gosforth.

Jedno z eleganckich przedmieść Newcastle. Stojące znacznie wyżej niż Mardle pod względem klasy i aspiracji.

Joe domyślił się, o czym myśli Vera.

– Sądząc z jej wyglądu, bardziej Gosforth niż Mardle – stwierdził.

Vera przez chwilę zastanawiała się, gdzie ją samą umiejscowiliby ludzie na drabinie społecznej. Śmieciarka? Chłopka?

– No to chodźmy, co? – zapytała. – Zobaczymy, czy ktoś czeka w domu na Margaret Krukowski.

Przez chwilę siedzieli przed domem w land roverze. „Pensjonat Harbour”. Drewniany sztyl obok drzwi frontowych, litery prawie niewidoczne spod śniegu.

– Czasem przywozimy tutaj dzieci, do smaźalni ryb w Mardle – powiedział Joe. – Uczta. Podobno tu są najlepsze ryby z frytkami na północnym wschodzie.

Vera miała własne wspomnienia z Mardle. Hector przekupywał pewnego rybaka, żeby w środku nocy zabierał ich na Coquet Island. W domu strażnika na krańcu wyspy nadal paliło się światło. Muzyka, hałas, trwała tam jakaś zabawa. Bała się, że ich nakryją, przyłapią Hectora na zbieraniu jaj rybitwy różowej. On zawsze uwielbiał ryzyko. Pomyślała, że bardziej motywowało go niebezpieczeństwo niż obsesja, żeby kraść i wymieniać jaja rzadkiego ptaka.

– No – rzucił Joe. – Wchodzimy? Mam dom, do którego chciałbym wrócić.

Skinęła głową i wysiadła z samochodu, próbując sobie przypomnieć, czy w czasach jej dzieciństwa był tutaj pensjonat. Pamiętała, że ulica była zapuszczona, niemal nędzna, ale to było ponad czterdzieści lat temu. Nacisnęła dzwonek.

Kobieta, która otworzyła, była w odpowiednim wieku, żeby pasować na córkę ofiary. Trochę przed czterdziestką, trochę po czterdziestce. Falujące czarne włosy i brązowe oczy koloru kasztanów, miły, niemal profesjonalny uśmiech. Verze przypominała pielęgniarkę. Kiedy Vera przedstawiła się, cofnęła się w bok, żeby ich wpuścić.

– Co się stało?

Kiedy w drzwiach pojawia się policja, ludzie czują się winni albo się boją. Vera nie mogła się domyślić, z którą reakcją miała tutaj do czynienia. Poszła za kobietą na tył domu, do ciepłego salonu z ciężkimi meblami. Wyglądałyby nie na miejscu w mniejszym pomieszczeniu. Usiedli na wygodnych, aksamitnych kanapach. Pod jedną ze ścian stało pianino, nuty na pulpicie, a pod drugą kredens z karafkami i butelkami z alkoholem. Vera pomyślała, że kapka dobrej whisky to jest to, czego potrzebuje po zimnej stacji metra, ale wołała nic nie mówić. Zastony były zaciągnięte, a salon przystrojony świątecznie ostrokrzewem, pomalowanymi na srebrno szyszkami sosny, ułożonymi wzdłuż

półki nad kominkiem i wysokimi czerwonymi świecami na stolikach. Typowy wiktoriański salonik.

Salon był pusty, ale na stolyczku stała taca z herbatą. Obecność tacy chyba jakoś kłopotowała ich gospodynię. Ciągłe przepraszając zerknęła w jej stronę. Joe wszedł za nimi i usiadł obok gazowego ognia na kominku.

– Ładnie tu – powiedział. – Przytulnie.

Kobieta uśmiechnęła się i na chwilę trochę się odprężyła.

– Mogłaby pani podać nam swoje nazwisko? – spytał Joe.

– Dewar. – Kobieta stała teraz plecami do Very. – Kate Dewar.

Otworzyły się drzwi i przerwał im wielki, łysy mężczyzna o miłym uśmiechu i bezpośrednich manierach.

– Cześć – przywitał się. – Więcej gości, Kate? Więcej rozbitków z burzy? – Odwrócił się tak, żeby objąć uśmiechem Verę i Joego. – Jesteście mile widziani. – Jakby to był jego dom. – Może herbaty? W imbryczku jest jej na pewno mnóstwo, a Kate przyniesie więcej filiżanek.

– To nie są goście, George. To policjanci. – Czy w tych słowach było ostrzeżenie? „Uważaj na to, co mówisz”.

– Ach – westchnął. Zatrzymał się na mgnienie oka i dziwnie się rozejrzał. – Więc przeszkadzam. Nie chcę się narzucać. Zabiorę herbatę do pokoju, dobrze? – Wziął tacę i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Vera pomyślała, że ona byłaby zbyt zaciekawiona, żeby tak postąpić. Zapytałaby, czy może pomóc, znalazłaby jakąś wymówkę, żeby zostać i dowiedzieć się, o co chodzi.

– Gość? – Skinęła głową w stronę drzwi.

– George Enderby, jeden z moich stałych gości.

– A Margaret Krukowski? Czy jest jednym z pani stałych gości? Podała ten dom jako swój adres.

– Margaret? Zachorowała? Dlatego tu jesteście?

Vera wyczuła ulgę w głosie i zastanowiła się, czego jeszcze mogłaby się ta kobieta obawiać ze strony policji.

– Margaret tutaj mieszka? To krewna, tak?

– Nie krewna. Przyjaciółka. I pracownik. Chyba. Pomaga w

domu. Razem prowadzimy pensjonat. – Króciutki uśmiech. – Bez niej nie dałabym sobie rady.

Vera nachyliła się do przodu i łagodnym głosem powiedziała:

– Margaret Krukowski nie żyje. Zasztyletowano ją w metrze dziś po południu, kiedy wracała do domu. Chcę, żeby mi pani o niej opowiedziała.

Siedząc w ciepłym salonie, Vera zastanawiała się, czy śnieg jeszcze pada. Jeśli tak, to chyba nawet land roverem nie wjedzie po stromym zboczu pagórka do domu, w którym mieszkała od dzieciństwa. Ale sprawa i tak zapowiadała się na całą noc, nie było sensu martwić się na zapas.

Kate Dewar siedziała na brzeżku jednej z ciężkich kanap, płakała. Bez krzyków, hałasów, tylko ciche łzy. Joe Ashworth dał jej paczuszkę z chusteczkami. Zawsze przygotowany, jak skaut.

– Jak długo znała pani Margaret? – Czasem Vera myślała, że najlepiej zacząć od prostych faktów. Coś, czego człowiek może się przytrzymać, żeby odwrócić myśli od wstrząsu i żalu.

Kate otarła oczy.

– Od dziesięciu lat – odparła. – Dzieci były małe. Moja ciocia umarła – była daleką krewną przez małżeństwo. Nie znałam jej, mieszkaliśmy wtedy dalej, na wybrzeżu. Ale zostawiła mi w testamencie ten dom. Wtedy nie był to pensjonat, zamieniono go w kupę mieszkań i kawalerek. Wszystkie zaniedbane. Większość pusta. Margaret była jedyną lokatorką płacącą za wynajem. – Przerwała, żeby złapać oddech. – Byłam zmęczona. To nie był najlepszy czas mojego życia. Mąż pracował głównie z dala od domu. Ryan już chodził do szkoły, Chloe do zerówki. Myślałam, że to będzie dobry interes, że notowania Mardle idą w górę i że wkrótce zaczną się zjeżdżać turyści. Trochę się pomyliłam, prawda?

Smutno wzruszyła ramionami.

– Z początku myślałam, że Margaret będzie kłopotliwa... że będzie, powiedzmy, wchodzić mi w drogę. – Kate znów przerwała i uśmiechnęła się szerokim, ślicznym uśmiechem. –

Ale nic nie mogło być dalsze od prawdy. Była cudowna, bez niej to byłby koszmar. Była jak matka i najlepsza przyjaciółka w jednym. Ubiłyśmy interes. Zatrzyma swoje mieszkanie na strychu, bez czynszu, i pomoże w domu. A ja będę jej płaciła, kiedy będę mogła. Odpowiednią pensję zaczęła dostawać, kiedy przybyli pierwsi goście.

Vera zobaczyła kątem oka, że Joe Ashworth robi notatki, ale sama starała się wyobrazić sobie remont tego wielkiego domu, budowlanych w środku, dwie kobiety pełne planów i pomysłów na przyszłość, małe dzieci pod nogami. To zbliża, poczuła ukłucie straty... nigdy nie miała najlepszej przyjaciółki, nikogo, z kim mogłaby się podzielić marzeniami. Najbliższy tego był Joe Ashworth.

– Margaret Krukowski – zaczęła – to polskie nazwisko?

– Tak, ale Margaret nie była Polką. Z krwi i kości mieszkanka północnego-wschodu, z szacownej rodziny z Newcastle. Wyszła za polskiego marynarza, kiedy była bardzo młoda. Jej rodzice byli oburzeni, ale mówiła, że to były lata sześćdziesiąte, a on taki przystojny i uchodźca, więc wszystko było jeszcze bardziej romantyczne.

– Co się z nim stało? – Vera już polubiła ofiarę, polubiła jej złożoność. Joe mówił, że Margaret wyglądała bardziej na Gosforth niż na Mardle, ale zakochała się w ubiegającym się o azyl Polaku i skończyła samotnie w obskurnej kawalerce. Mimo to nadal podtrzymywała pozory. Elegancka, w pantofelkach, z czerwoną szminką, w długim płaszczu, który gdyby był nowy, kosztowałby fortunę.

– Zostawił ją parę lat po ślubie. Uciekł z kobietą, która miała więcej pieniędzy. Mówiła, że złamał jej serce, ale była zbyt dumna, żeby wrócić do rodziców. Wyuczyła się księgowości i pracowała dla kilku miejscowych spółek. Kiedy ją spotkałam, była już na emeryturze. Albo ją zwolniono. – Kate znowu się uśmiechnęła. – Była czarodziejką liczb, wiele razy obroniła mnie przed człowiekiem ze skarbówki.

– Ale zachowała nazwisko męża? – Vera pomyślała, że przed

laty nie mogło z tym być lekko. Samotna kobieta z pretensjami do wyższych sfer i dziwnym nazwiskiem, starająca się utrzymać styl.

– Powiedziała mi, że nigdy nie przestała go kochać – odparła Kate. – Jak mówiłam, zawsze była romantyczna.

– A pani mąż? – zapytała Vera. – Wciąż pracuje z dala od domu?

Na chwilę zaległa cisza.

– Nie – zaprzeczyła Kate. – Umarł. Wypadek przy pracy na Morzu Północnym. Platforma wiertnicza. Utonął. Ciała nie odnaleziono. – I znowu zaczęła płakać.

Kate poprowadziła ich po schodach do mieszkania Margaret.

– Gdy się zestarzała, zapytałam, czy chciałaby przeprowadzić się do któregoś z pokoi na dole, ale ona powiedziała, że tam czuje się teraz jak w domu, a schody utrzymują ją w formie.

– Zatem była zdrowa? Jak na swój wiek? – Mimo nowej diety i wypraw na basen Vera dostała zadyszki i słowa wychodziły z niej w małych sapnięciach.

– O tak. Interes idzie teraz całkiem dobrze. Mamy regularnych gości, ale Margaret twierdziła, że nie myśli o przejściu na emeryturę. – Kate zatrzymała się pod drzwiami. Joe wyjął pęk kluczy, które kryminalistycy znaleźli przy zwłokach.

– Nie ma pani klucza uniwersalnego? – Vera oparła się o ścianę, żeby złapać oddech.

– Do wszystkich innych pokoi, ale nie do tego. Zaproponowałam, że zatrzymam jeden klucz na wszelki wypadek, ale nie chciała. Sprzątaczką tutaj nie przychodziła, chociaż chętnie zapewniłabym jej taką obsługę jak wszystkim innym. Mags lubiła prywatność.

– Miewała jakichś gości?

– Od czasu do czasu zapraszała mnie na popołudniową herbatkę – wyjaśniła Kate. – Cudownie. Zawsze coś trochę

niezwykłego. Czasem wędzony łosoś ze smażalni na małych naleśnikach. Czasem wymyślne ciasto, które sama upiekła. Raz butelka różowego szampana, bo powiedziała, że coś świętuje. Nigdy nie widziałam, żeby przychodził do niej z wizytą ktoś inny.

Zatrzymała się niepewnie na podeście, najwyraźniej zastanawiając, czy ma wejść z nimi do pokoju.

Vera wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia.

– W porządku, kotku. Pokój możemy obejrzeć stąd.

Kate skinęła głową i odwróciła się, żeby zejść ze schodów. Joe Ashworth zaczął, aż dojdzie do połowy schodów, i dopiero wtedy wypróbował, który klucz pasuje do zamka. Były trzy. Vera myślała o pozostałych dwóch – jeden pewnie do drzwi wejściowych do pensjonatu. A ten drugi? Joe otworzył pchnięciem drzwi.

Tak jak mówiła Kate, mieszkanie było bardzo małe, pod dachem, jedna ściana miała zaledwie metr osiemdziesiąt wysokości i łączyła się z opadającym sufitem. Trzy facjatkowe okna wychodziły na port. Były tu dwa pokoje i maleńka łazienka, wygospodarowana z kąta sypialni. Ale i tak całość trzymała styl. Kuchnia, która była również salonem, miała wypolerowaną na ciemno drewnianą podłogę, pokrytą dywanikiem mieniącym się kolorami – niebieskim i zielonym. Pod jednym oknem stare biurko i fotel z wygiętym oparciem. Mały szeszlony pokryty szarym welwetem. Zlew, piecyk i lodówka oddzielone od reszty pomieszczenia wyszorowanym sosnowym stołem. Większość patelni zwisała z haków w suficie, drewniane łyżki i szpatułki stały w emaliowanym na zielono garnku na drugim parapecie. Jedna ściana cała pokryta była półkami z książkami, porządnie ułożonymi, między którymi gdzieś leżały kamyczki, kawałki drewna wyrzuconego przez morze i muszle. Pokój był ciemny, bo okna były małe, a ściany grube, ale ciepły i urządony jak klejnocik. Oświetlała go tylko lampa na biurku i punktowe światło w kuchni.

– Nie ma telewizora – zauważył Joe. Vera zrozumiała, że to dla niego wstrząs. Otworzył drzwi do sypialni z nadzieją, że tam

znajdzie telewizor. Stanęli w drzwiach, żeby zajrzeć. Ten pokój wyłożony był bladozielonym dywanem. Stało tam łóżko okryte ręcznej roboty kołdrą z patchworku, a po jego obu stronach szafki z szufladami. Wąska szafa. Wszystkie meble były pomalowane na biało. Żadnych rupieci, żadnych brudnych ubrań. Pomieszczenie z prysznicem było bez skazy.

– Nie ma telewizora – powtórzył. Pewnie była to jedyna rozrywka, której oddawali się z Sal wieczorami, i nie potrafił sobie wyobrazić życia bez tego.

– Pierwsze, co zrobimy, to sprowadzimy zespół, żeby to przeszukał. – Vera podeszła do okna i wyjrzała. Nadal padał śnieg, ale płatki były już mniejsze. Cieszyła się, że to nie ona będzie wyciągać szuflady i przeglądać bieliznę Margaret. Była wścibska, ale to taka obrzydliwa ingerencja.

Joe patrzył na półki.

– Tylko jedno zdjęcie. – Nie wziął go do ręki, wskazał na nie. Przedstawiało parę. Zdjęcie ślubne. Ona w prostej sukience mini ze sztucznym futerkiem na rąbku, w białych, lśniących butach po kolana i krótkiej futrzanej kurtce. Trzymała bukiet żółtych i białych frezji. Ciemnowłosa mężczyzna był w garniturze z szerokimi kłapami, z kwiatem w butonierce. W tle drzwi kościoła.

– Czy to ona? – zapytała Vera. – Czy to Margaret Krukowski i polska miłość jej życia?

– O tak, to ona. – Odpowiedź była natychmiastowa i jednoznaczna. – Nasza ofiara ma takie same usta i kości policzkowe. – Vera zobaczyła, że Joe nie może oderwać wzroku od zdjęcia.

– Śliczne maleństwo. – Powiedziała to lekkim tonem. Nikt nigdy jej nie mówił, że jest śliczna.

– Jest piękna – zgodził się Joe i cicho się roześmiał, jakby zrozumiał, jaki z niego głupiec, bo zakochał się w fotografii sprzed pół wieku. Ale mimo to dokończył: – Dla takiej twarzy mężczyzna gotów jest zabić.

Na środkowym podeście Kate wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do Stuarta, swojego kochanka, pierwszej prawdziwej miłości, odkąd Rob zginął na platformie wiertniczej. Stuart częściej bywał w domu na wzgórzach niż w pensjonacie, ale potrafił cudownie grać na saksofonie i teraz zaczęła o nim myśleć. Nie odbierał, zostawiła wiadomość: „Oddzwon proszę”. Schodząc, myślała o tym, jak powiedzieć dzieciom, że Margaret nie żyje. Znały ją prawie przez całe swoje życie. Była ich opiekunką i traktowały ją jak babcię. Ryan nadal spędzał z nią mnóstwo czasu. W tym roku, kiedy pojawił się Stuart, a Kate miała mnóstwo nowych planów, już musiały zaakceptować zmianę. Kate zwolniła kroku, żeby dać sobie czas na dobranie słów i zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak zareagują dzieci. Już wyrosły, oddaliły się od niej, nie mogła zaufać instynktowi, rozmawiając z nimi.

George Enderby musiał usłyszeć jej kroki, a może czekał i nasłuchiwał, bo drzwi jego pokoju otworzyły się, a on wystawił głowę.

– Wszystko w porządku, Kate? – W jego głosie zabrzmiała prawdziwa troska. Przepraszam, nie chciałem być wścibski – dodał lekko zakłopotany.

– Margaret nie żyje. – Nagle zawirowało jej w głowie, oparła się o ścianę.

– Och, jak mi przykro! – Zaczął wychodzić na korytarz, ale przypomniał sobie, że drzwi za nim zamkną się i automatycznie zatrzasną, zrobił więc małego, śmiesznego susa, przytrzymał drzwi stopą, ale wychylił się w jej stronę.

– Nie znałem jej dobrze, ale nigdy nie myślałem, że jest starą kobietą. Czy to coś nagłego? Atak serca?

– Została zamordowana – powiedziała Kate. – Zasztyletowana w metrze, gdy jechała z miasta do domu. – Znowu świat się wokół niej zakręcił. Usiadła na ostatnim schodku i oparła głowę na dłoniach.

George zniknął na chwilę, zobaczyła, że sięga do środka po klucz. Potem usiadł obok niej i objął ją ramieniem. Poczula zapach jego płynu po goleniu i słodki zapach herbatnika, którego zjadł przed chwilą. Cynamon i imbir. Kate pomyślała o tym, jak inaczej wszystko by wyglądało, gdyby Rob był taki uprzejmy jak George Enderby. Siedziała przez chwilę, cieszył ją fizyczny kontakt, potem łagodnie się odsunęła.

– Muszę powiedzieć dzieciom.

– Oczywiście. – Wstał i podał jej rękę, żeby pomóc jej się dźwignąć. – Gdybym mógł ci jakoś pomóc, to powiedz, proszę. – Znowu zniknął w swoim pokoju, jakby myślał, że jego obecność potęguje jej cierpienie.

W piwnicy Ryan był w swojej sypialni. Słyszała dźwięk jego komputera. Jakaś gra o potworach i końcu świata. Chloe siedziała przy stole ze stosem książek obok, pisała coś w notatniku. Była blada, wyglądała na zmęczoną.

– Ryan, chodź tutaj. Chcę porozmawiać z wami obojgiem!

– Dobrze. – Ale nie przyszedł. To był cały Ryan. Zawsze się z nią zgadzał, a potem robił swoje. Chloe odwróciła się na krześle i zobaczyła, że matka płacze.

– O co chodzi?

Słowom towarzyszyło krótkie, niechętnie spojrzenie, standardowa reakcja nastolatków na niecodzienne zachowanie rodziców. Potem dotarło do niej, że to poważne, że to nie z powodu jakiegoś domowego dramatu. Wstała.

– Mamo, o co chodzi? – I kiedy Kate znowu zaczęła płakać, Chloe krzyknęła na brata. Tym razem wyszedł ze swojego pokoju. Stał i patrzył na nie z bezsilną niepewnością, jakby kobiety były innym gatunkiem i najbezpieczniej było się nie mieszać w ich sprawy.

Przenieśli podręczniki na komodę i usiedli wokół stołu. Chloe

wyjęła z lodówki butelkę wina i otworzyła ją z łatwością, która w innych okolicznościach zmartwiłaby Kate. Nalała Kate do pełna.

– Powiedz, o co chodzi.

– Margaret nie żyje.

– Jak? – Ryan dopiero teraz się odezwał. Popatrzyły na niego.

– To znaczy, jak umarła? Wypadek? Kiedy rano wychodziłem, wyglądała świetnie. – Zmarszczył brwi i Kate znów przypomniała sobie Robbiego.

– Zamordowano ją. – Kate pomyślała, że to brzmi jak refren jednej z piosenek, które Ryan odtwarza na swoim iPodzie. Wykrzyczany hałas. Jeśli będzie to często powtarzała ludziom, którym musi to powiedzieć, może sama w to uwierzy. Popatrzyła na dzieci. W ich twarzach zobaczyła jakby błysk podniecenia, zanim przeważyły niedowierzenie i rozpacz. Morderstwo to samo gęste w plotkach. Wyobraziła sobie, jak oboje wydzwanianą do kolegów i koleżanek z klasy, kiedy tylko pozwoli im odejść od stołu. „Nie uwierzysz, co się stało w naszym domu...” To będzie ich pięć minut sławy, której oboje tak pożądali.

– Dlaczego ktoś miałby zamordować Margaret, taką starą kobietę?

Kate popatrzyła na Chloe, pomyślała, że ostatnio straciła na wadze. Czy Kate była tak zajęta Stuartem i tak w nim zadurzona, że zaniedbała dzieci?

– Nie wiem. Nigdy nie myślałam o niej jak o starej kobiecie. Miała tyle energii.

– Gdzie ją zamordowali? – Wyglądało na to, że Ryanowi potrzebne są szczegóły, żeby zaspokoić ciekawość. Nagle zobaczyła w nim kogoś obcego. Był przystojnym chłopcem, będzie z niego pożeracz serc. Widywała go w Mardle z atrakcyjnymi dziewczynami, ale nigdy ich jej nie przedstawiał. Jej dzieci nie przyprowadzały przyjaciół do domu.

– Chyba w metrze. W drodze z miasta do domu. – Kate popatrzyła na niego. – Mówiła ci, dokąd się wybiera, kiedy rano się z nią widziałeś?

Pokręcił głową.

– Myślę, że policja będzie chciała się dowiedzieć.

– Policja? – Zadał pytanie z udawaną obojętnością. Ale oczywiście, chciał usłyszeć o dochodzeniu. Więcej strzępków informacji, żeby wrzucić je na Facebooka.

– Są w pokoju Margaret. Stąd wiem, że ona nie żyje.

Zapadła cisza.

– Biedna Margaret – powiedziała Chloe. – Gdzie ona jest? To znaczy, jej ciało? Będzie pogrzeb?

– Myślę, że policja chce przeprowadzić sekcję zwłok. I że potem będzie pogrzeb. Nie wiem, jak te sprawy wyglądają.

Chyba to ja będę musiała zorganizować pogrzeb, pomyślała. Bo kto inny? Potem przyszło jej do głowy, że będzie musiała omówić to z ojcem Gruskinem, którego nie lubiła. Nagle poczuła, że jest bardzo głodna.

– Wyjmę zapiekankę z lodówki. Przecież musimy jeść. – Z ulgą wstała i wyszła na chwilę z pokoju.

Była po drugim kieliszku wina, nakrywała stół do kolacji, kiedy w jej mieszkaniu pojawiło się dwoje detektywów. Myślała, że już ich pożegna, przynajmniej na dzisiaj. Sądziła, że każą się wyprowadzić z domu. Teraz stali w ciemnym, piwnicznym korytarzu. Domyślała się, że będą chcieli czegoś więcej.

– Może państwo wejdziecie?

– Przykro mi, że znowu pani zawracamy głowę. – Ale Vera Stanhope uśmiechała się i Kate pomyślała, że wcale jej nie jest przykro. – Chcielibyśmy skontaktować się z rodziną pani Krukowski, z jej przyjaciółmi, ale nie możemy znaleźć notatnika z adresami w jej mieszkaniu. Może pani nam pomoże.

Kate zaprowadziła ich do kuchni. Ryan i Chloe zniknęli już w swoich pokojach. Jak nieśmiałe zwierzątka unikali towarzystwa dorosłych. Chloe pewnie wróciła do pracy. Ryan nasłuchiwał za drzwiami. Był ciekawski, już go przyłapywała na podsłuchiwanie.

– Margaret nigdy nie mówiła o rodzinie – powiedziała Kate. Zapiekanka kręciła się w mikrofalówce, odmarzała. Chciała, żeby przyszedł Stuart. Piecyk zabrzączał. – Jak wam mówiłam,

zerwała z nimi stosunki, kiedy wyszła za mąż. Nie sędzę, żeby później się z nimi widywała. Jej rodzice pewnie już nie żyją, nie przypominam sobie, żeby poszła na ich pogrzeb.

– Żadnych braci, sióstr?

– Nie, w każdym razie nie słyszałam.

– Mówiła pani, gdzie dorastała? – Vera Stanhope usadowiła się za kuchennym stołem. Była wielka, miało się wrażenie, że zajmuje całą przestrzeń. Tak się kokosi, jakby chciała tu przenocować, myślała Kate.

– W Gosforth – oznajmiła Kate. – W jednym z tych wielkich szeregowców niedaleko High Street. – Zobaczyła, że policjanci wymieniają się spojrzeniami i pomyślała, że ta informacja może mieć jakieś znaczenie.

– A przyjaciele? – zapytała Vera. Spojrzała na Kate. – Od dawna mieszkała w Mardle i nie była odludkiem ta wasza Margaret. Musiała mieć przyjaciół, nawet jeśli nie zachodzili do niej z wizytą. – Vera uśmiechnęła się. – To znaczy przyjaciół poza panią.

Kate się zamyśliła. Margaret chyba nigdy nie szukała przyjaciół poza Harbour Street, ale nie chciała, żeby detektywi uznali Margaret za jakąś samotnicę.

– Wydaje mi się, że większa część jej życia towarzyskiego, nie licząc tego, co tutaj, obracała się wokół kościoła – powiedziała. – Powinniście zapytać księdza, ojca Gruskina.

– A gdzie go znaleźć? Czy w Mardle jest kościół katolicki?

– To kościół anglikański. On jest księdzem w kościele Świętego Bartłomieja, po drugiej stronie ulicy. Ale każe tak do siebie mówić. – Kate słyszała niechęć we własnym głosie i pomyślała, czy detektywi to wychwycili. Vera jednak ostentacyjnie rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na stos podręczników na komodzie, na pulpit z nutami w rogu.

– Ile lat mają pani dzieci?

– Chloe czternaście, Ryan skończy szesnaście.

– Pozwoli pani, że porozmawiamy z nimi? To nic formalnego, po prostu szybka pogawędka tutaj, w kuchni, żeby się

dowiedzieć, kiedy po raz ostatni widzieli Margaret. To Joe będzie zadawał pytania. Ma dzieci w podobnym wieku. Zgadza się, Joe, prawda?

Przystojny sierżant się uśmiechnął.

– Trochę młodsze – odparł. – Chociaż czasem zachowują się jak nastolatki. Nie powiem, żebym czekał, aż dojdą do tego wieku.

No i Kate nie miała wyboru, musiała zawołać dzieci, chociaż w tej chwili myślała tylko o jedzeniu i chciała się jeszcze napić wina. Wyglądało to na jakąś konferencję, wszyscy zasiedli wokół stołu, każde trochę spięte i poważne. Ale dzieci napęłniły ją dumą. Ryan uprzejmie odpowiadał na pytania i nawet Chloe całą uwagę skupiła na detektywach.

– Opowiedzcie mi o Margaret. – Tak zaczął sierżant. Dzieci popatrzyły na siebie, w końcu Ryan odezwał się pierwszy.

– Była kochana – powiedział. – Kiedy byliśmy mali, zabierała nas na spacer. Do dziś lubię spędzać z nią czas.

– Co robiliście? – zapytał sierżant.

– Zajmowała się dobroczynnością – powiedział Ryan. – Czasem pomagałem jej w kwestach. Grzechotałem puszką na datki przed domem towarowym. – Przerwał. – Lubią mnie starsze panie, zawsze chętnie dawały. – Kate pomyślała, że to prawda, ale nie cała. Ryan czuł się bezpieczny z Margaret. Kiedy był mały, Margaret siadywała przy nim, gdy śniły mu się koszmary.

I wtedy wtrąciła się Chloe z własną historią o Margaret, która zabierała ich do teatru w Newcastle, o ich pierwszej wyprawie na sztukę dla dorosłych.

– Znała się na tym. Na sztukach i filmach. W soboty, kiedy mama była zajęta, często zabierała mnie do biblioteki. Zachęcała mnie, żebym dobrze się uczyła. „Kobiety mogą być, kim zechcą”. Przecież ciągle tak mówiła, prawda?

Kate pokiwała głową.

– A teraz? – zapytał Joe Ashworth. – Teraz, kiedy jesteście starsi. Nadal byliście z nią blisko?

Milczenie.

– Nie spędzaliśmy z nią aż tyle czasu – tłumaczyła Chloe. – Ale wiedzieliśmy, że tu jest, gdybyśmy jej potrzebowali.

– Nadal jej pomagałem – dodał Ryan – ale nie tak często. Teraz dostałem tę dorywczą pracę przy łodziach.

Oczywiście, nawet nie pomyśleli, że Margaret może tęsknić za ich towarzystwem czy za ich zwierzeniami. Że to właśnie ta starsza kobieta mogła ich potrzebować. Kate uznała, że nastolatki to najbardziej egoistyczni ludzie we wszechświecie.

Sierżant przeszedł do bardziej szczegółowych pytań.

– Widzieliście dzisiaj Margaret?

– Ja tak – powiedział Ryan. – Widziałem ją po szkole.

– Gdzie była?

– Sprzątała stoły po śniadaniu w jadalni dla gości. Na noc zostały tylko dwie osoby, ale wtedy już ich nie było. Zobaczyła mnie przez otwarte drzwi i zawołała do mnie na dzień dobry.

– Do której szkoły chodzicie? – Policjant rozparł się w krześle. Kate pomyślała, że wygląda na zmęczonego.

– Do ogólniaka w Mardle – rzuciła Chloe. – To jest tuż za linią metra.

– Miejskowa państwowa szkoła średnia – dodała Kate i znów się zamyśliła, czy nie lepiej by im było w innej szkole, gdzieś, gdzie są mniejsze lasy. Gdyby nie przerwała pracy, pewnie byłoby ją na to stać.

Wtedy Vera wtrąciła pytanie skierowane do Kate.

– A ci goście? Ma pani ich szczegółowe dane?

Kate domyśliła się, że sierżant był przyzwyczajony do wtrącania się szefowej.

– Oczywiście. Claire Gordon jechała do Edynburga, żeby odebrać syna z uniwersytetu. Jest stałym gościem, mieszka gdzieś w Hertfordshire i zatrzymuje się tutaj na początku i na końcu każdego semestru, bo robi sobie przerwę w podróży. Drugim gościem był Mike Craggs, profesor Craggs. Jest biologiem morskim w Uniwersytecie Newcastle i zawsze się tutaj zatrzymuje, kiedy ma pracę w terenie. Claire wyjechała

wcześnie. Według prognozy pogody miał spaść śnieg i chciała już być w drodze. Mike, kiedy pracuje, zawsze wychodzi z domu przed innymi. – Kate pomyślała, czy nie powiedziała więcej, niż potrzebowała inspektor, czy nie wysłała na wścibską gospodynię. Ale Vera Stanhope kiwnęła głową, wyglądała na zadowoloną.

– A ty? – Joe zwrócił się do Chloe. – Widziałas dzisiaj Margaret?

– Nie – odparła. – Wysłałam z domu przed Ryanem. W ogóle się z nią nie widziałam.

Potem detektywi wstali i Kate myślała, że wreszcie sobie pójdą, że będzie mogła zjeść kolację, napić się wina i w spokoju pomyśleć o Margaret. Chciała sprawdzić telefon, czy Stuart do niej oddzwonił. Ale okazało się, że policjanci chcą od niej jeszcze czegoś.

– Ten facet, z którym wcześniej się spotkaliśmy – powiedziała Vera. – To też stały gość, prawda?

– O tak. – Kate się uśmiechnęła. – George przyjeżdża raz w miesiącu i zostaje na dwie doby. Potem jeszcze na jedną dobę, jak skończy pracę w Szkocji. Można według niego regulować zegarek.

– Tak sobie myślę, że moglibyśmy zamienić z nim parę słów.

– Vera też się uśmiechnęła, ale przepraszająco. Jakby wiedziała, że Kate chce się ich pozbyć.

– Obiecuję, że potem zostawię panią w spokoju.

Ale Kate pomyślała, że niewiele tego spokoju będzie na Harbour Street, dopóki się to nie skończy. Dopóki nie dowiedzą się, kto zabił Margaret Krukowski.

Idąc korytarzem i po schodach za tą kobietą, Joe Ashworth doznał uczucia *déjà vu*, Miał wrażenie, że już spotkał tę rodzinę albo prowadził podobne przesłuchanie przy wcześniejszej okazji. Było to tak irytujące, jak kiedy ma się słowo na czubku języka, ale nie można go sobie przypomnieć. Może coś w dzieciach – raczej uprzejme, ale ostrożne i nieufne – przypominało mu własne dzieci, kiedy mają coś do ukrycia.

Dotarli do pokoju Enderby'ego. Otworzył drzwi niemal w chwili, kiedy Kate zapukała. Było oczywiste, że nie zaprosi detektywów do środka. Enderby był miły, trochę wypłoszony, ale miał też doświadczenie w stawianiu na swoim.

– Salonik chyba najlepiej nada się na pogawędkę, prawda, Kate? Znowu włączę gaz, żeby było przytulnie. I skoczę do kuchni, żeby zaparzyć herbatę, jeśli nie żądam zbyt wiele. Ty niczego nie będziesz musiała robić.

Przesłuchanie odbyło się więc w pięknym salonie, z lśniącymi czarnymi meblami pachnącym pastą z pszczelego wosku. Enderby zapalił kilka czerwonych świec i wyłączył główne oświetlenie, toteż Joe niemal się spodziewał, że weźmie ich za ręce, żeby wywoływać zmarłych, jakby to był seans spirytystyczny.

Kate Dewar wróciła do swojego mieszkania. We troje pili herbatę, jedli herbatniki i siedzieli przez chwilę, patrząc w gazowe płomienie. Kiedy czekali, aż Enderby przyniesie tacę, Joe odciągnął zasłony, żeby wyjrzeć przez okno i sprawdzić, czy przestał padać śnieg. Niebo było teraz bezchmurne, z gwiazdami i wielkim białym księżycem. Odtworzył sobie przesłuchanie Kate Dewar i jej dzieci, zastanawiał się, co pominął. Myślał też o tym, co wydawało mu się tutaj tak znajome.

Pytania zadawała Vera i już było widać, że między nią a Enderbym zapanowało zrozumienie. Właściwie to nie uwodziła go, ale czuć było, że nawiązali dobre stosunki. Joe stwierdził, że Enderby jest czarujący. Zazwyczaj ludzie nie starali się oczarować Very i Joe pomyślał, że to jej pochlebia.

Uśmiechała się teraz nad filiżanką, mocząc trzeci herbatnik domowego wypieku w herbacie.

– Proszę pana, co zatem sprowadza pana do Northumberland?

– Proszę mi mówić George. – Szeroki, miły uśmiech. – Praca, obawiam się. Ciągłe sobie obiecuję, że znajdę czas na zwiedzanie hrabstwa, ale moja żona myśli, że na północ od zatoki Wash jest dzikie i niezbadane terytorium, a ja tyle czasu spędzam z dala od domu, że nie chciałbym przyjeżdżać tutaj na urlop bez niej.

– A gdzie pan pracuje?

– Jestem reprezentantem handlowym spółki wydawniczej. Gatunek niemal na wymarciu, ale jestem jednym z nielicznych, którzy przetrwali, i mam nadzieję, że dociągnę do emerytury. I naprawdę to uwielbiam. – Popatrzył z zadumą na ogień. – Rozumie pani, ja czytam. To nałóg. Co prawda, w pracy tego nie wymagają. Właściwie to nawet przeszkadza. Trudno wcisnąć tytuł niechętnemu księgarzowi, jeśli samemu uważa się, że to bzdura. Ale zdołałem już rozbudować sobie kontakty. Życzliwych nabywców. Menedżerów w paru wielkich sieciach detalicznych, właścicieli garstki miłych księgarni niezależnych. Wiem, co dla nich najlepsze.

– Pomyślałabym, że to dziwna pora roku na sprzedawanie książek. – Vera mówiła tak samo lekkim, prawie zalotnym tonem. – W sklepach na pewno mają już towar na święta. Na pewno wy wszyscy wolelibyście wrócić do Londynu. Przyjęcia biurowe. Wczesny powrót do domu, żeby napętnić skarpety niespodziankami dla dzieci.

Enderby pochylił się do przodu.

– Właściwie, pani inspektor, nie urządzam Bożego Narodzenia. Przyprawia mnie o panikę. Cieszyłem się, że mogę

uciec. I oczywiście mam nowe, świąteczne tytuły do zaprezentowania – powiedział poważnym tonem.

– Oczywiście. – Cisza. – Dlaczego zatrzymuje się pan przy Harbour Street, kiedy przyjeżdża pan na północ? – Odstawiła filiżankę na niski stolik obok. Znak, że teraz zaczyna poważniejszą rozmowę. – Miasteczko jest niezbyt wygodnie położone w stosunku do autostrady.

– Ale można świetnie odpocząć i podoba mi się tutaj. Pięć lat temu znalazłem to miejsce przez stronę Northumberland Tourism i od tego czasu korzystam z pensjonatu. Mam awersję do mdłych i anonimowych hoteli, a Kate jest skrzętną i miłą gospodynią. Bardzo dobrze o mnie dba.

Joe pomyślał, że Enderby za dużo mówi. Każdy z tych powodów z osobna by wystarczył.

– Znał pan Margaret Krukowski?

– Oczywiście – odparł Enderby. – To była cudowna kobieta. – Przerwał. – Tworzyły wspólny zespół, ona i Kate. Mam nadzieję, że Kate da radę pociągnąć to sama. Ale może ma teraz inne plany.

– Rozmawiał pan czasem z Margaret? – Vera patrzyła mu prosto w oczy. – Wydaje mi się, że pan interesuje się ludźmi, mógł pan wdać się z nią w rozmowę przy śniadaniu.

– Och, wie pani, zwyczajowe uprzejmości. – Enderby sięgnął po imbryk.

– I czego się pan o niej dowiedział?

– Zdumiewająco mało! Zawsze była przyjazna, ale powściągliwa. Jakby trzymanie w tajemnicy swojego życia stało się jej nawykiem. – Nagle uśmiechnął się czarująco. – Wymyślam sobie historyjki o ludziach. Fantazuję. Może dlatego, że tak dużo czytam. Czasem myślę, że sam mógłbym napisać powieść.

Joe miał wrażenie, że stracił teraz wątek rozmowy, nie miał pojęcia, do czego zmierza Enderby i czy to może być ważne dla śledztwa, ale Vera najwyraźniej nadążała.

– A jaką historyjkę wymyślił pan o Margaret Krukowski?

– Że była szpiegiem, który został na lodzie po zakończeniu

zimnej wojny. Nadano jej nową tożsamość. – Znowu uśmiechnął się, twarz mu się rozjaśniła. – Oczywiście, to śmieszne. Tylko dlatego, że nosiła polskie nazwisko! Zawsze pozwalałem, żeby ponosiła mnie wyobraźnia.

Vera też się uśmiechnęła, ale zaciskając usta z przyganą, jak nauczycielka, która zaczyna tracić cierpliwość dla ulubionego ucznia.

– Cóż, trzymajmy się rzeczywistości, dobrze? Po pięciu latach pan musi coś wiedzieć o tej kobiecie.

– Obawiam się, że rzeczywistość była cokolwiek bardziej prozaiczna. Margaret Krukowski była elokwentna, inteligentna i czytana. Jak na jej wiek nadal atrakcyjna. Wylądowała w Mardle, a to dziwne miejsce jak na nią. Mógłbym ją sobie wyobrazić w całkiem ładnym mieszkaniu w Tynemouth albo Jesmond. Ale domyślałem się, że nie miała pieniędzy. Była dobrą kucharką – to są jej herbatniki. Wypiekała bułki i ciasta na śniadanie. Regularnie uczęszczała do kościoła. Oddana dobrym sprawom. Kosztowała mnie fortunę w losach na loterie dobroczynne od stowarzyszenia ratowników morskich po Czerwony Krzyż. – Przerwał. – Zastanawiałem się, czy nie była kiedyś ofiarą przemocy domowej. Jednym z celów jej działalności dobroczynnej było schronisko dla kobiet. Wydawało się, że poświęca się temu bardziej niż innym formom dobroczynności. Parę tygodni temu przyjechałem specjalnie, żeby zagrać rolę Świętego Mikołaja na zimowym jarmarku w schronisku. Była bardzo przekonującą kobietą i oddaną właśnie tej sprawie. – Nagle zamilkł. – Przepraszam, pani inspektor, niech pani nie zapisuje... znowu opowiadam historyjki. Chaotycznie.

Joe pomyślał, że Vera Stanhope też w ten sposób pracowała. Podczas śledztwa zawsze wymyślała historyjki. Tylko że nazywała je teoriami.

– Czy wspominała o swojej rodzinie? – Vera wróciła do szczegółów.

Enderby zamilkł na chwilę, wpatrywał się w ogień. Joe nie był

w stanie zgadnąć, czy próbuje sobie przypomnieć, czy gra na czas.

– Nie – powiedział. – Temat rodziny chyba nigdy się nie pojawił. Kobiety w jej wieku zazwyczaj kogoś mają, prawda? Wnuki, innych krewnych. Pokazują zdjęcia pod każdym pretekstem. Ale nie Margaret. Od czasu do czasu wspominała o byłym mężu. Sądząc z tego, co mówiła, to kawał drania. Drań i cwaniak.

Joe zastanawiał się, jak Vera znosi uwagi na temat samotnych starych kobiet, ale jeśli poczuła się urażona nie dała tego po sobie poznać.

– Czy widywała się z nim, odkąd rozstali się przed laty?

Enderby się roześmiał.

– Och, nie sądzę. Znacznie łatwiej przekonać się do uczucia we wspomnieniach niż w rzeczywistości. Myślę, że ten człowiek całkowicie ulotnił się z jej życia. Według Margaret, jakby zniknął z powierzchni planety.

– Kiedy widział ją pan ostatni raz? – Vera znów patrzyła na niego.

– Na początku miesiąca. Ostatnim razem, kiedy się tu zatrzymałem. Mogę sprawdzić datę w moim terminarzu, jeśli chce pani dokładnie wiedzieć. – Rozsiadł się w fotelu, zrelaksowany i chętny do udzielania pomocy.

– Dzisiaj w ogóle jej pan nie widział?

– Przykro mi, pani inspektor, jeśli chodzi o dzisiaj, nie mogę pani w ogóle pomóc. Przyjechałem dopiero, kiedy się ściemniało. Kate to pani potwierdzi. Wpuściła mnie. – Przeciągnął się i ziewnął.

Vera wyglądała, jakby miała zasnąć. W pokoju było teraz bardzo ciepło. Joe dyskretnie spojrzął na zegarek. W domu najmłodsze dziecko powinno już leżeć w łóżku. Chciał, żeby Vera przyspieszyła sprawę. To oczywiste, że facet nie ma im już do powiedzenia niczego użytecznego. Chociaż przestał padać śnieg, droga powrotna będzie koszmarem. I wyglądało na to, że nawet Enderby traci cierpliwość, bo dyskretnie zakaszłał. – Pani

inspektor, jeśli w niczym innym nie mogę okazać pomocy...

– Oczywiście – uśmiechnęła się do niego. – Właśnie tkalam własne historyjki.

Enderby wstał.

– Prawdę mówiąc, zgłodniałem. W złym guście jest myśleć o wygodach własnego ciała w takiej chwili, ale wstałem wcześniej i nie poszedłem na lunch, bo miałem nadzieję, że dojadę, zanim pogoda się załamie. Miałem zamiar skoczyć do Coble, żeby wrzucić coś na ząb. – Popatrzył na nich. Vera też wstawiała, z trudem. – Jak pani myśli, czy wiadomość o morderstwie się rozeszła?

– O, jestem pewna. – Wyprostowała spódnicę, tweedową, trochę postrzępioną na rąbku. – Lokalne media niczego tak nie cenią, jak dobrego morderstwa.

Enderby nachylił się, żeby wyłączyć gazowy ogień. Włączył światło i zdmuchnął świece.

– Zostaję tutaj jeszcze jedną noc, a potem znowu jadę do Szkocji. – Wyjął portfel z marynarki i wyciągnął z niego wizytówkę. – Tu jest numer mojej komórki. Proszę się kontaktować, gdybyście uznali, że jakoś mogę pomóc. – Podniósł tacę z herbatą, zawahał się i znowu ją postawił. – Lepiej tutaj zostawię. Myślę, że Kate chce zostać sama z dziećmi. Jeśli nie przyjechał Stuart, żeby się nią zająć.

– Stuart?

– Ach, nowy mężczyzna Kate. Byliśmy zachwyceni, że wreszcie kogoś sobie znalazła. Myśleliśmy, że to najwyższy czas.

Obdarzył ich ostatnim, skromnym uśmiechem i wyszedł z salonu.

Joe spodziewał się, że Vera pójdzie za nim, ale przeszła po dywanie i oparła się o pianino, nachyliła się, żeby dotknąć ozdobnej tkaniny, którą pokryty był stół.

– Co o nim sądzisz? – Słowa zabrzmiały jak ostre warknięcie, Joe był zdziwiony.

– Bo ja wiem. Wyglądał na dość sympatycznego. – Joe znowu popatrzył na zegarek, tym razem mniej dyskretnie.

– Myślisz, że mówił prawdę?

– Tak, nie widzę powodu, żeby kłamał.

– Potrzebne nam są szczegóły dotyczące nowego chłopaka Kate Dewar – powiedziała Vera. – To ktoś nowy w tym domu.

Joe kiwnął głową. I nagle przypomniał sobie, co znajomego zobaczył w kuchni.

– Ta kobieta – zaczął. – Kate Dewar. To Kate Guthrie, piosenkarka.

Vera miała obojętny wyraz twarzy.

– Musisz pamiętać. Była kimś, kiedy byłem młody. Jej przebojem był *White Moon Summer*. – Zamilkł, cofnął się w czasie. Przy tej piosence zalecał się do Sal. Myślał o długim lecie, pełnym uczucia i napięcia. Przyjęcia na plaży i rozmowy aż do wczesnego rana. Dziwne, że dzisiaj byli tymi samymi ludźmi. Wbrew sobie zanucił kilka tonów.

– Joe Ashworth, marnujesz się w policji z takim głosem.

Nigdy nie był całkowicie pewien, kiedy Vera sobie kpi.

– Hm, cóż – westchnął. – Nasza Jessie ma to po mnie.

– Więc nasza Kate Dewar była sławna?

– Przez parę lat była prawdziwą gwiazdą – stwierdził Joe. – Potem wypadła z łask. Albo zniknęła z pola widzenia. Jakby z dnia na dzień.

– Jak to jest? – mówiła Vera prawie do siebie. – Być sławnym, mieć wpływy i nagle jest się nikim.

Joe pomyślał, że Vera pewnie mówi o własnej emeryturze i o tym, jak sobie z tym da radę. Nie odpowiedział, przez chwilę panowała cisza.

– Więc co dalej? – Popatrzyła na niego wyzywająco, jakby go sprawdzała.

– Rozmowa z księdzem – odparł Joe. – Mogła mu się zwierzać na temat swojej rodziny, co naprawdę działo się w małżeństwie.

– Mówisz, że się spowiadała? – Vera zachichotała cicho.

– Bo ja wiem. – Joe poczuł się zmieszany. Wychował się w rodzinie metodystów, a metodyści tego nie robią. – Myślę, że raczej z nim rozmawiała.

– A on może wiedzieć o schronisku dla kobiet. – Teraz Vera mówiła jakby do siebie. – To mógłby być motyw, jak sądzisz? Brutalny typek, za dużo wypił, wini naszą Margaret za to, że jego dziewczyna wreszcie znalazła odwagę, żeby go rzucić.

Gazowy ogień syczał, przygasając.

– Pewnie chcesz, żeby cię podrzucić do domu?

– Tak, jeśli można. – Co za ulga. Myślał, że będzie go tak trzymać godzinami, a w drodze powrotnej zaproponuje drinka, żeby obgadać sprawy.

Zapadła cisza.

– Słuchaj – powiedziała Vera. – Może wzięłbyś taksówkę? Przestało padać, wyjechały piaskarki, wrócisz bez trudu. Wpisz to do wydatków. Po drodze wpadnij na dół i wydobądź szczegóły dotyczące nowego mężczyzny Kate. Chciałabym trochę się powłóczyć po mieście.

– Też mam zostać? – Zazwyczaj chciała, żeby został.

– Nie. – Szelmowski uśmieszek. – Wracaj do Sal i dzieci. Nie chcę znaleźć się znowu na jej czarnej liście. Przy okazji, jedzie tutaj Holly.

Vera patrzyła, jak Joe Ashworth odjeżdża taksówką. Domyślała się, że był rozdarty i może nawet wolałby trwać z nią na zimnie. Tak łatwo było podzielać mu na ambicję, że doprawdy nie było w tym żadnego wyzwania. Nie powinna go dręczyć. W kościele św. Bartłomieja paliło się światło i przez chwilę kusiło ją, żeby wejść i zapytać o ojca Gruskina, o którym wspomniała Kate Dewar. Ale chciało się jej jeść i nie potrafiła dobrze pracować na głodnego.

Było tak zimno, że z trudem chwytiała powietrze, a rozmawiając przez komórkę z Holly, widziała kłęby pary wydobywające się z jej nosa i ust. W świetle ulicznej latarni wyglądało to tak, jakby para zamieniała się w lód.

– Hol, gdzie jesteś?

– Zadaję się z kryminalistykami, proszę pani, tak jak mi pani mówiła. – Klasyczna Holly, zgryźliwa i nerwowa jednocześnie.

– Możesz przyjechać do Mardle? Joe wrócił na łono rodziny, a ja sobie poradzę, jak będę miała pomoc. Będę w smażalni ryb obok portu. Mam zamówić coś dla ciebie?

– Nie, dziękuję, proszę pani, już jadłam. – Istotnie, już to zrobiła. Plastikowy pojemniczek z listkami sałaty i jabłkiem. Żadnego nasyczonego tłuszczu dla dbającej o zdrowie Holly. – Będę za dwadzieścia minut.

Vera poszła ulicą przyciągana zapachem smażonej ryby. Wielka i rozmamłana kobieta w rajstopach z oczkami i krótkiej sukience wytoczyła się z pubu. Vera pomyślała, że pewnie mocno się przeziębi. Ze środka ktoś krzyknął za nią, słowa były niezrozumiałe, ale ton obraźliwy i z lekka rozbawiony. Vera poczuła sympatię dla niej. Zamarzający śnieg skrzypiał pod nogami.

W smażalni Vera usiadła za stołem – na ponad połowie przestrzeni urządzonego restaurację. Miło było przejść obok kolejki do okienka na wynos, patrzeć, jak kelnerka podchodzi natychmiast, żeby odebrać od niej zamówienie. Vera zastanawiała się, czy klasowość jest w Anglii tak zakorzeniona, że dopadła ją nawet tutaj, w smażalni w Mardle, czy też poczucie, że jest się troszkę lepszym, jest naturalną – choć pełną poczucia winy – przyjemnością. W środku było ciepło, skroplona para wodna służyła po szybach w tle słychać było telewizor z jakimś głupim show. Podeszła kelnerka z tacą. Herbata w imbryku, chleb i masło na porcelanowym talerzyku, naleśniki chrupkie i cienkie, a ryba – łupacz – miękka. O tak, pomyślała Vera, to jest klasa!

Holly pojawiła się, kiedy Vera właśnie kończyła posiłek. Była chuda i elegancka, nawet teraz, ubrana na tę pogodę. Czy naprawdę można kupić designerski skafander? Jeśli tak, to Holly taki nosiła. Usiadła naprzeciwko szefowej, wytarła serwetką stół przed sobą.

– Skończyli już na miejscu zbrodni?

– Zabrali ciało do kostnicy. – Holly mówiła z południowym kulturalnym akcentem. Nie jej wina. – A pociąg cofnął się do remizy w Heaton. Billy Wainwright mówi, że to koszmar. Tyle śladów i odcisków butów. Zostaną tam jeszcze parę dni. Może dłużej. Ale przynajmniej linia metra została odblokowana. Otworzą ją dzisiaj, najpóźniej wieczorem, jak nie spadnie za dużo śniegu.

– Ta nasza ofiara to interesująca kobieta. – Vera rozparła się w krzesło. – Wyszła za faceta z Polski tuż po ukończeniu szkoły. Rozwiedli się parę lat później i od tamtego czasu chyba żyła samotnie. Najwyraźniej poświęcała się religii i dobroczynności. Mieszkała bezpłatnie w pensjonacie trochę dalej przy tej ulicy, ale wydaje mi się, że raczej traktowano ją jak członka rodziny. Gospodynią jest Kate Dewar, wdowa z dwojgiem nastoletnich dzieci i nowym facetem, który z nimi nie mieszka.

– Więc nie jest to kobieta, która nadawała się do roli ofiary. –

Holly trzymała na stole jakiś elektroniczny gadżet i wpisywała coś w niego.

Vera zwalczyła ochotę, żeby zapytać, co jest nie tak ze zwyczajnym notatnikiem.

– Nie jest. – Wczesna, wieczorna godzina szczytu skończyła się i w smażalni było teraz ciszej, kolejka się rozładowała. Vera wstała.

– Chodź ze mną.

– Dokąd się wybieramy? – Holly wyłączyła urządzenie i włożyła je do torebki.

– Idziemy na spotkanie z księdzem.

W kościele nadal paliło się światło, ciężkie drzwi otworzyły się, kiedy je popchnęły, ale w środku było pusto. Czuć było wilgoć, pleśń i kadzidło, i tę samą pastę do mebli, której używano w domu Kate Dewar. Ciekawe, czy Margaret Krukowski sprzątała także tutaj. Jeśli tak, będą musieli poszukać innej parafianki, żeby przejęła domowe usługi. Nie było tu ozdób bożonarodzeniowych i jedyne barwy docierały z witraża nad ołtarzem.

– Hej! Jest tu kto? – W kościołach zawsze brakowało jej szacunku.

Przed nimi rozległo się szuranie i z drzwi po lewej wyłoniła się ciemna postać. Vera pomyślała, że to chyba najbrzydszy mężczyzna, jakiego spotkała w życiu. Był młodszy, niż się spodziewała, może po trzydziestce. Czarne włosy, czarne brwi jak gąsienice, grube wargi, które poruszały się nawet, gdy nie mówił, i wąskie oczy. Wielki i chaotyczny Jaś Fasola. Powinien zostać stand-uperem. Wystarczyłoby, żeby wyszedł na scenę, a przywitalby go pełen przerażenia, nerwowy śmiech.

– Tak? – Ubrany był w czarną sutannę, na nią narzucony miał czarny płaszcz. Człowiek, który lubi swój mundur. W sposobie, w jaki do nich podszedł, nie było niczego zachęcającego.

– Ojciec Gruskin? – Nie czekała, aż odpowie, ale błysnęła legitymacją policyjną. Zmrużył oczy, jakby był krótkowidzem. – Obawiam się, że mam dla księdza złe wiadomości o jednej z

parafianek.

Zaprowadził je do zakrystii, gdzie było cieplej. Syczał grzejnik gazowy, a wyziewy z niego drapały Verę w gardle.

– Tak?

– Może ksiądz już słyszał – zaczęła Vera. – Popętniono morderstwo w metrze, dzisiaj wczesnym wieczorem. Ofiarą jest Margaret Krukowski. Wydaje mi się, że należała do osób regularnie uczęszczających do tego kościoła.

Patrzył na nich z przerażeniem, potem usiadł ciężko na krześle przy prostym drewnianym stole i zakrył twarz dłońmi.

– Nie mogę uwierzyć. – Vera pomyślała, że jest naprawdę przygnębiony i przez chwilę mu współczuła. – Do czego to dochodzi, że szlachetna starsza dama zostaje zamordowana w miejscu publicznym? – Mówił wykwintnym językiem, ale pochodził stąd. Wychował się w tym mieście, wywnioskowała Vera. Delikatny. Wyglądał, jakby potrafił unosić się w powietrzu.

– Ksiądz dobrze ją znał? – Holly wtrąciła swoje trzy grosze, ale przynajmniej ksiądz podniósł wzrok i odpowiedział. Na komentarze Very nie zareagował.

– Regularnie przychodziła i zawsze chętnie się angażowała – powiedział. – W dzisiejszych czasach większość kościołów działa dzięki wysiłkom starszych kobiet. Mój ojciec był duchownym, a ja wychowywałem się w miejskiej parafii. Ale już wtedy było mniej więcej tak samo. – A więc była to rodzinna tradycja noszenia sutanny.

– Próbujemy odnaleźć jej rodzinę. – Holly nie majstrowała przy elektronicznym gadżecie, lecz całkowicie skupiła się na nim. – Mógłby ksiądz nam jakoś pomóc?

– Nie sędzę. Mieszkała po drugiej stronie ulicy, w pensjonacie Harbour. Może pani Dewar będzie wiedziała. Byli prawie jak rodzina. Margaret przyprowadzała jej dzieci do szkółki niedzielnej.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Margaret pracowała z księdzem jako wolontariuszka?

– Tak. – Wyglądał na czymś zajętego. Vera zastanawiała się,

czy nie usiłuje zmienić grafiku sprzątanania i myśli o innej starej kobiecie, która zastąpiłaby Margaret. W każdym razie uważnie słuchał. – Tak, w Przystani.

Vera uznała, że czas przejąć sprawę.

– Przystań to schronisko dla maltretowanych kobiet?

I znów wydawało się, że prosta odpowiedź przekracza jego możliwości.

– Nie, nie bardzo. To hostel dla bezdomnych kobiet. Niektóre z nich opuściły domy ze względu na przemoc w rodzinie, ale opiekujemy się wszystkimi kobietami w potrzebie, którym potrzebny jest dach nad głową. Niektóre były w więzieniu, niektóre w przytułku.

– I prowadzi to kościół?

– Prowadzi to fundusz charytatywny. Jestem jednym z członków zarządu, razem ze starszym pracownikiem socjalnym i miejscowym księgowym. Ale wspieramy projekt jako kościół. Finansowo, praktycznie i modlitwami. Margaret czyniła cuda dla niektórych z tych kobiet. Chyba stała się dla nich namiastką matki. Będą za nią bardzo tęskniły.

– Czy księdzu przychodzi do głowy ktoś, kto chciałby skrzywdzić Margaret? – Od oparów gazowego kominka Verze zakręciło się w głowie, omal nie zemdląca.

– Oczywiście, że nie! – Odpowiedź była natychmiastowa. – Tego nie mógł zrobić nikt przy zdrowych zmysłach, pani inspektor. To był zły i przypadkowy akt przemocy. Znak czasów.

– Czy miała jakichś bliskich przyjaciół w kongregacji księdza? – Holly powiedziała to pełnym szacunku tonem, a on znowu odpowiedział w mocno wyważony sposób. Siedział twarzą w jej stronę, tyłem do Very.

– Bliskich przyjaciół? Nie. – Zawahał się, zaczął ostrożnie dobierać słowa. – Kościół to wspólnota rozmaitych osobowości. Oczywiście, powinniśmy wzajem nauczać się chrześcijańskiego miłosierdzia, ale jesteśmy tylko ludźmi.

Vera przerwała.

– Zebrać do kupy ileś tam kobiet i zacząć się spiski, plotki. To

musi być koszmar!

Odwrócił się do niej i po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Nie zawsze jest łatwo.

– Czy Margaret należała do którejś z grup? – To znowu Vera. Duszna atmosfera pokoju była męcząca. Wołałaby być na zewnątrz, gdzie powietrze jest czyste i zimne, chciała przyspieszyć rozmowę.

– Nie – zaprzeczył kapłan. – Nie znosiła plotek i trzymała się raczej z osobna. To miałem na myśli, kiedy mówiłem, że nie nawiązała bliższych przyjaźni. Zawsze była uprzejma i poświęcała się całkowicie życiu kościoła, ale nie sądzę, żeby komuś się zwierzała.

– Nawet księdzu?

– Tak. – Tym razem uśmiech był nieco smutny. Nawet mnie.

– A ten hostel. Przystań? Gdzie go znajdziemy?

– To dawna plebania. – Tym razem Gruskin uśmiechnął się, zaciskając wargi, z urazą. – Myślę, że w innych czasach mógłby być moim domem. Kiedyś status duchowieństwa był trochę inny. Nawet w czasach mojego ojca mieszkał tam proboszcz. Ale teraz trudno usprawiedliwić tak wielki dom dla jednego człowieka i diecezja wynajęła go na działalność dobroczynną za rozsądny czynsz. Stoi trochę za miastem. Tam było główne osiedle, zanim rybołówstwo nie przeważało nad rolnictwem. – Westchnął, a Vera pomyślała, że byłby znacznie szczęśliwszy jako wiktoriański ksiądz; mieszkałby w wielkim probostwie, kontaktował się z miejscowym ziemiaństwem i prawił kazania chłopom siedzącym w tylnych ławach kościelnych.

– Nie dostaniecie się tam dziś wieczór – powiedział. – Droga jest marna, a przy tej pogodzie... Kobiety ciągle narzekają na izolację. Chyba to nie jest dla nich najlepsze miejsce.

Na dworze zrobiło się spokojniej. Smażalnia była zamknięta, zasłony w pensjonacie Harbour zaciągnięto. Twardy, błyszczący mróz skuł powierzchnię śniegu. Gruskin drżał. Przez dłuższą chwilę się nie ruszał. Vera pomyślała, że musi mu być bardzo zimno w samym płaszczu zarzuconym na ramiona. Wreszcie

oddalił się od nich chodnikiem. Kiedy Vera odwróciła się, żeby na niego popatrzeć, rozmawiał przez komórkę.

Malcolm Kerr stał przy barze w Coble. Za nim czterech starszych mężczyzn grało w domino, kłóciło się o pulę i o to, czyja kolej, żeby pójść do baru. Malcolm miał wrażenie, że ci sami czterej mężczyźni siedzieli przy tym samym stole i przez cały czas się kłócili, odkąd ojciec po raz pierwszy zaprowadził go do pubu. Ich kłótlive głosy i krzyk mew składały się na muzyczne tło jego życia.

Tutaj nic się nie zmieniło od trzydziestu lat.

Tyle że tego wieczoru Malcolm był pijany. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mu się to zdarzyło. Może kiedy Tłusta Val była gospodynią, a on był młody, sprawny i trochę zapalczywy. Nad barem wisiał portret Val, patrzyła na niego z wyrzutem. Miała syna, Ricka, cwanego kanciarza. Przypominając sobie tych dwoje, Malcolm poczuł nagle ukłucie winy. Nosił w sobie poczucie winy jak te kilka funtów nadwagi na brzuchu i tak się przyzwyczaił, że tego nie zauważał. Raczej nie powinien zrzucać za to winy na drinki. Ostatnimi czasy nie pijał dużo – wpadał do Coble prawie co wieczór, po pracy w warsztacie szkutniczym. Wypijał parę dużych piw. Czytał „Chronicle”. Oglądał w telewizji *Look North*, jeśli nie szedł program sportowy. Potem wracał do swojego domku przy Percy Street – tylko na taki mógł sobie pozwolić po rozwodzie.

Ale tego wieczoru stracił rachubę wypitych drinków. Najpierw piwo, potem czerwone piwo, kiedy jego pęcherz nie mógł już przyjąć ani kufła. Tyle że bez mocnych alkoholi. Był dumny, że nie przeszedł do whisky. I dumny, że nadal stoi.

Rozmawiał tylko z Johnnym, barmanem, i wyśmiewał się ze starej dziwki, Dee, kiedy włóczyła się po pubie, próbując wyłudzić drinka albo poderwać klienta. Boże, pomyślał, ależ ty

musisz być zdesperowana. Kolejna chwila dumy, że nie upadł tak nisko.

Potem, w pijanym widzie, usłyszał za sobą jakąś rozmowę. Nagle ożywione głosy. Nazwisko, które rozpoznawał, chociaż nie wymawiano go prawidłowo. Odwrócił się i zobaczył parę w średnim wieku. Znał ich słabo, z widzenia, chociaż chyba z mężczyzną chodził do szkoły. Ale nie był w stanie wyłowić nazwiska z pamięci.

– Co powiedzieliście?

– Popelniono morderstwo. – Kobieta była koścista. Zdjęła zakiet i została w różowym topie z głębokim dekoltem. Widział pionowe zmarszczki między jej piersiami. – Musieli zatrzymać metro.

– Nie – zaprzeczył Malcolm. – To przez śnieg. – Sięgnął po kieliszek wina, zobaczył w lustrze nad barem, że zostały mu po nim w kącikach ust plamy, jak kły. Wytarł je wierzchem dłoni. Palce miał stwardniałe i brudne, chociaż umył je po pracy.

– Popelniono morderstwo. – Głos kobiety był piskliwy, niósł się po barze. Zapanowała cisza, wszyscy słuchali, a ona napawała się ich uwagą. – Dziewczyna Wora ma męża, który pracuje jako urzędnik w gminie, właśnie przesłała nam esemesa. Będzie o tym w wieczornych wiadomościach.

– Powiedzieli ci, kto został zabity? – Malcolm pomyślał, że już wie kto.

– Mieszkała tutaj, tam dalej, przy ulicy. – Podniecenie kobiety było oczywiste. Malcolm pomyślał, że gdyby dano jej szansę obejrzeć zwłoki, pobiegłaby do kostnicy. Żeby się gapić. Prawie ślinić. – Mówili, że na imię ma Margaret. I dziwne nazwisko.

– Krukowski.

– Tak, właśnie! – Teraz popatrzyła na niego z większym zainteresowaniem i czymś w rodzaju szacunku. – Znałeś ją?

Zamilkł na chwilę, odepchnął się od baru.

– Kiedyś – powiedział. – Dawno temu. – Stał przez chwilę, żeby złapać równowagę, i wytoczył się na zimno.

Na ulicy znów musiał się zatrzymać, żeby się podeprzeć o

przepelniony pojemnik na śmieci. W smaźalni było ciemno, a na ulicy cicho. Nagle w głowie pojawiło mu się mnóstwo wspomnień i obrazów: słoneczny dzień na łodzi, w drodze na Coquet Island, kobieta w długiej, luźnej sukience i sandałkach, z kieliszkiem wina w dłoni, śmieje się. Grupa ludzi stoi przed Coble, ustawiona do zdjęcia. Potem płomienie, ogień jak język żmii liże drewno. Zapach dymu i smoły.

Przyszło mu do głowy, że mógłby zastukać do drzwi pensjonatu i zapytać nadętą Kate, co wie o Margaret, ale zimno na tyle go otrzeźwiło, że zdał sobie sprawę, iż to nie jest dobry pomysł. Rano złapie Ryana i dowie się od niego.

Poszedł w stronę oświetlonego znaku metra. W przeciwnym kierunku szedł ksiądz, ojciec Gruskin, i przez chwilę Malcolm zastanawiał się, dokąd idzie. Przecież nie do pubu? Ale kiedy Malcolm skręcił w Percy Street, zobaczył, że Gruskin zmienił kierunek i idzie tak szybko, że czarny płaszcz rozwiewa się za nim, upodabiając go do wielkiego czarnego ptaka. Gruskin wyglądał jakoś dziwnie – tak nie po ludzku – i Malcolm poczuł się przez chwilę nieswojo, korciło go, żeby pobiec do domu jak dziecko, które przestraszyło się wyimaginowanych potworów. Ale ksiądz wszedł na kładkę nad linią metra prowadzącą w stronę miasta i Malcolm poszedł dalej. Nad alejką górowała masa kościoła św. Bartłomieja i tylko dwie latarnie stały po obu stronach. Malcolm rzucał cień najpierw z przodu, a potem z tyłu na twardo ubity śnieg. Musiał sobie ulżyć. Szybko rozejrzał się i oddał mocz tam, gdzie stał, przy zakończonym szpicami płocie, oddzielającym tory metra od chodnika. Wydawało mu się, że usłyszał głosy w uliczce. Zawstydzony odwrócił się i pospieszył do domu.

W domu było prawie tak zimno jak na ulicy, wilgotny chłód przenikał go do kości. Zapalił światło i gaz na kominku w salonie. Wydawało mu się, że widzi pokój po raz pierwszy. Bezdzuszny. Ten dom jest bezdzuszny.

Leżał tutaj ten sam dywan we wzory, który zastał, kiedy kupił dom, stała kanapa obita sztuczną skórą i stolik ze szklanym

blatem. Telewizor.

Pięćdziesiąt lat harowałem jak wół i to wszystko, czym mogę się pochwalić.

I porządną łodzią, pomyślał. Ta myśl dała mu krótką chwilę ulgi. Warto było walczyć o „Lucy-May” i Deborah nie położyła na niej łapy. Włączył telewizor z myślą, że zdąży jeszcze obejrzeć późne lokalne wiadomości. Stojąc tak nadal w płaszczu, stwierdził, że wcześniejsze wspomnienia znowu krążą mu w głowie: złamane światło na wodzie, odbijające się od twarzy młodej, roześmianej kobiety. Ciepłe deski pokładu pod jego plecami i rybitwy nad głową splatające dziwne pętle na niebie. Potem trzask łamanego drewna, jak smagnięcia biczem i huk iskier, kiedy pożar się rozszerzał.

Czekając na wiadomości, pokręcił głową, żeby rozproszyć obrazy, które tłoczyły mu się w głowie, i podszedł do okna zaciągnąć zasłony. Dotarło do niego, że już nigdy nie zobaczy, jak Margaret Krukowski idzie Harbour Street do kościoła albo do metra. Wyprostowana, z oczami wpatrzonymi przed siebie. W głowie ma dobroczynność i zbożne prace. Niczego już nie zażąda. Nie wiedział, czy przyjąć tę myśl z zadowoleniem, czy z niepokojem.

Stały na dworze, na chodniku. Vera przestępowała z nogi na nogę. Próbowwała się ogrzać, ale i obudzić.

– Co powinniśmy teraz zrobić? – Holly nigdy pierwsza nie powie, że czas zakończyć pracę. Jej kariera zawodowa polegała na perswadowaniu kolegom, że nie jest takim mięczakiem jak oni. – Chcesz spróbować w tym hotelu?

– Nie – powiedziała Vera. – Pójdziemy tam jutro, jak poprawi się pogoda.

– Więc co teraz? – Cierpliwość nie była jedną z cnót Holly Clarke.

– Do domu – odparła Vera. – Mieszkasz w mieście, prawda? Drogi powinny być w porządku. Odprawa rano, o ósmej. Paul Keating planuje sekcję zwłok na dziesiątą.

– A co ty zrobisz? – Pytała bardziej z ciekawości niż ze współczucia. Cały zespół uważał za szaleństwo, że mieszka w domu swojego ojca i regularnie jest odcinana przez śnieg i powodzie.

– Hol, o mnie się nie martw. Znajdę sobie nocleg.

Poszły razem do końca Harbour Street, po drodze zaskoczył je odgłos pociągu zatrzymującego się na stacji. Metro znów działało. Wszystko wróciło do normalności.

Vera stała na ulicy i patrzyła, jak Holly odjeżdża. Kusily ją światła i ciepło Coble, czuła, jak ognista whisky spływa jej w gardło. Ale kobieta bez towarzystwa w pubie, w Mardle, przyciągałaby uwagę. Może nie była ubrana jak jakaś laska, ale ludziska i tak gapiliby się i dziwowali.

Pod wpływem impulsu wróciła do pensjonatu Kate Dewar. Jej land rover nadal stał zaparkowany przed domem, przednia szyba była teraz pokryta lodem. Zamek był zamarznięty i musiała

ciągnąć za klamkę, żeby drzwi się otworzyły. Z tyłu leżała jej torba. Zmiana bielizny, szczoteczka do zębów i pasta do zębów. Zawsze miała to przy sobie, na wszelki wypadek.

Zapukała do drzwi. Nie było odpowiedzi. Zapukała jeszcze raz i wtedy usłyszała kroki. Pojawiła się Kate Dewar. Za nią stał jakiś mężczyzna. Był starszy od Kate, przed sześćdziesiątką albo zaraz po, ubrany w kraciatą koszulę i sweter. Siwa broda i zniszczona przez pogodę cera. Vera popatrzyła na zegarek. Wpół do dziesiątej.

– O, to pani. – W głosie Kate była irytacja i ulga.

– A pani myślała, że kto?

– Dzwonili z prasy. Z gazet w Newcastle.

Oczywiście, pomyślała Vera, śmierć starszej kobiety byłaby za mało efektowna dla pism ogólnokrajowych.

– Wyłączyłam telefon, ale to nie jest dobre dla interesów. – Wyglądała na bliską łez, drobne niedogodności prawie ją załamały.

– Oczywiście – powiedziała Vera. – A ja właśnie jestem tu w interesach. Pani interesach. Czy miałyby pani łóżko na noc? Naturalnie, pełna zapłata. Śniadanie chciałabym dostać wcześniej. Mieszkam w połowie drogi do Cheviot i nie chciałabym próbować dotrzeć przy takiej pogodzie do domu. Dalej od wybrzeża zawsze jest dziesięć razy gorzej. Byłabym bardzo wdzięczna.

Kate nagle przestawiła się na tryb zawodowy.

– Oczywiście. Proszę wejść. Pokój numer 6 jest wolny. Mogę pani przynieść herbatę do salonu? – Mówiła trochę za szybko i co chwila spoglądała na Verę, myśląc, że za pozornie prostą prośbą kryje się coś złowrogiego.

Vera nie odpowiedziała natychmiast. Oparła się o drzwi i omijając Kate, wyciągnęła dłoń do mężczyzny.

– Jestem Vera Stanhope. Miło pana poznać.

– To Stuart Booth, mój narzeczony. – Twarz kobiety się rozpromieniła. Wyglądała jak po raz pierwszy zakochana nastolatka. Vera zastanowiła się, czy sama kiedykolwiek tak się

czuła.

– Zatem miło cię poznać, Stuart. – Vera uśmiechnęła się. Uścisk jego ręki był suchy i mocny. – Wiesz, czego naprawdę bym chciała? To był cholerny dzień. Prawdziwego drinka. Ale nie wydaję mi się, żebyś miała koncesję.

– Koncesję dla gości? Oczywiście mam.

Vera uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Więc poproszę dużą whisky. A może dołączycie do mnie? Sądzę, że możesz sobie wypić... po takim dniu. – Ściągnęła gumowce i podreptała do salonu w rajstopach. Kate i Stuartowi nie pozostało nic innego, jak pójść za nią. Usiadła na jednym ze skórzanych foteli, czekając, aż Kate naleje drinki, a potem, trzymając szklankę oburącz, popatrzyła na nich.

– Od dawna jesteście ze sobą?

Popatrzyli na siebie.

– Jakiś rok. – Stuart mówił z północnym, ale nie miejscowym akcentem. Yorkshire?

– Stuart uczy w szkole, do której chodzą moje dzieci. – Kate popatrzyła na niego, jakby był jakimś cudem, jakby z trudem przychodziło jej uwierzyć, że jest prawdziwy.

– Jak z tym jest? To musi być koszmar, kiedy nauczyciel przychodzi i skarży się mamie. – Vera postawiła szklankę na poręczu fotela.

– Nie jest to dla nas łatwe. Ale ja nie chodzę na skargę. – Miał powolną, precyzyjną manierę mówienia, jakby rozważał każde słowo. Wziął Kate za rękę.

Mój Boże, pomyślała Vera, są jak para nastolatków.

– Znałeś Margaret Krukowski?

– Oczywiście – powiedział Stuart. – Była jakby członkiem rodziny – uśmiechnął się nieśmiało. – Miała prowadzić Kate do ślubu.

– Macie zamiar wziąć ślub? – Verę kusilo, żeby zapytać po co, ale ugryzła się w język.

– Tak, ustaliliśmy termin. – Popatrzył na Kate, żeby to potwierdziła. Skinęła głową. – Dzieci nie było w domu,

zaprosiliśmy ją na dół, na kolację.

– Więc tu nie mieszkasz?

– Nie – powiedział. – Czasem zostaję na noc, ale jak powiedziałaś, Chloe i Ryan uważają to za niewłaściwe. Myślimy, że łatwiej to zaakceptują, kiedy się pobierzemy.

Zapadła cisza. Stuart objął Kate ramieniem. Vera poczuła się niewygodnie, jakby im przeszkadzała, i pomyślała, że dzieci musiały się tak czuć przez cały czas.

– Stuarcie, czego pan uczy? – Rozmowy nigdy nie szły jej łatwo. To była jedna z tych wspólnych z Hectorem spraw. Pomyślała, że człowiek, który siedzi naprzeciwko niej, też musi się z tym zmagać.

– Muzyki – odparł. A ponieważ tego nie skomentowała, dodał: – Prowadzę też orkiestrę młodzieżową hrabstwa. I zespół jazzowy.

Vera lekko się uśmiechnęła.

– To pewnie jedna z tych rzeczy, które was łączą: muzyka. – Zwróciła się do Kate. – Mój sierżant powiedział, że kiedyś była pani gwiazdą. Dlaczego pani zrezygnowała?

– No cóż. Obowiązki rodzinne. Dzieci. – Kate pokręciła głową, jakby rozmowa o tym sprawiała jej przykrość.

– Ale ja namawiam ją, żeby odbudowała karierę. – Stuart powiedział to poważnym tonem, prawie jakby chciał, żeby Vera zaaprobowała nowe przedsięwzięcie. Poglaskał Kate po włosach, a ładunek intymności znowu sprawił, że Vera poczuła się niezręcznie. Powiedziała, że drugiego drinka i herbatę zabierze do pokoju.

Sypialnia była ładnie umeblowana, wygodna, z oknem na ulicę. Vera usiadła przy nim z herbatą i whisky, a kiedy szklanka była pusta, napełniła ją z butelki, którą trzymała w torbie. Też na wszelki wypadek, jak szczoteczkę do zębów i czyste majtki.

Myślała o Margaret Krukowski, która przez całe lata mieszkała w tym domu. Co zatrzymało ją w Mardle? Bieda czy jakaś

apatia? Może przyzwyczaiła się do tego miejsca i nie potrafiła stawić czoła zmianie. I lubiła tę rodzinę, doszła do wniosku. Lubiła patrzeć, jak dzieci rosną, stanowić część życia Kate Dewar. Być częścią czegoś. Mogła być kobietą samowystarczalną, zamkniętą w sobie, ale nie chciała być całkiem samotna. Co Margaret sądziła o Stuarcie Boocie, który był bliższy wiekiem jej niż Kate? Czy myślała, że jej życie się zmieni, kiedy Kate wyjdzie za mąż?

Dlaczego ją zabito? Dlaczego właśnie dziś, w śnieżne popołudnie, kiedy wszyscy żyli świętami? Dlaczego ją zasztyletowano? Verze przypomniała się jakaś stara informacja prasowa: szpieg czy dysydent dźgnięty końcówką parasola, czubkiem, który zawierał jakąś śmiertcionośną tajną truciznę. Wtedy myślała, że to jakieś śmieszne. Były łatwiejsze sposoby zabijania ludzi, a ten wyglądał na zabawę małych chłopców w wielkie przygody. Potem przypomniała sobie, jak George Enderby fantazjował, że Margaret Krukowski była szpiegiem, ostańcem z czasów zimnej wojny, i pomyślała, że wie, co mogło podkreślić jego wyobraźnię. Egzotyczne wschodnioeuropejskie nazwisko oczywiście, ale także świadomość, że ta kobieta, tak bardzo ceniąca prywatność, ukrywała jakieś tajemnice.

Margaret Krukowski, podzieli się ze mną swoimi sekretami. Pomóż mi znaleźć swojego zabójcę.

Vera wstała i poszła do łazienki. Spojrzała na zegarek, była już jedenasta. Siedziała tutaj ponad godzinę. Odciągnęła zasłonę i wyjrzała na ulicę. Zamknęli Coble, garstka pijaków wracała do centrum miasteczka. W kościele paliło się światło. Kiedy patrzyła, światło zgasło i otworzyły się drzwi. Wyszedł ksiądz, nadal ubrany w czarne szaty.

Za co się modliłeś, ojcze? Za nieśmiertelną duszę Margaret Krukowski? Czy za własną duszę?

W komisariacie w Kimmerston było lodowato. Śnieg uszkodził linię wysokiego napięcia i odciął elektryczność na całą

noc. Prąd już był, ale mechanizm zegarowy nie działał i ogrzewanie dopiero zostało włączone. Siedzieli w kurtkach, szalikach i rękawiczkach. Dobrze przespana noc i porządne angielskie śniadanie sprawiły, że Vera była w doskonałej formie.

Stała przed białą tablicą. Wisiało na niej ostatnie zdjęcie Margaret Krukowski, które dała im Kate. Zrobiono je, kiedy kobieta się nie spodziewała. Stała przy stole w piwnicznej kuchni z wycinarką do herbatników w ręce. Spojrzała w obiektyw w ostatniej chwili. Miała zaskoczoną i rozbawioną minę. Vera przyniosła także z pensjonatu fotografię ślubną Margaret. Czasem myślała, że młodszy członkowie jej zespołu uważają starszych za odmienny gatunek. Tak czy inaczej blisko im do śmierci, nie są więc wariaci tego samego wysiłku co dziecko czy nastolatek. Nigdy by tego nie powiedzieli, pewnie świadomie nawet nie pomyśleliby o tym, ale Vera miała nadzieję, że zdjęcie młodej i pięknej kobiety wyrwie ich z takiego myślenia. Kiedyś była młoda, dokładnie tak, jak wy.

– Margaret Krukowski. Zasztyletowana w metrze wczoraj popołudniu. Zdaje się, że nikt tego nie widział – ale metro było tak zatłoczone, że nie jest to takie niemożliwe, jak się wydaje. Ludzie usłyszeli by głośny krzyk, ale prawdopodobnie nie zauważyliby jęku. Koszmarny scenariusz, tym razem jednak mamy szczęście, bo na miejscu, przez cały czas, był świadek z kwalifikacjami. Zgadza się, Joe?

Joe się uśmiechnął. Pomyślała, że wszystkie jego dzieci musiały dobrze spać i miał za sobą dobrą noc. Aktualnie był z Sal w dobrych stosunkach, a to zawsze poprawiało mu nastrój.

– Byłem w tym samym wagonie – odparł. – Ale daleko od niej. Metro było zapchane. Wiesz, jak to jest tuż przed Bożym Narodzeniem w godzinach szczytu.

Vera skinęła głową.

– A jednak – powiedziała. – Powiedz nam, co pamiętasz. – Słuchała, jak ponownie opowiadał swoją historię, i spisywała postacie, które sobie przypominał. Nie było pominięć i przeróbek. Był dobrym świadkiem. Wyszkoliła go tak, jak trzeba.

Vera mówiła dalej.

– Mieliliśmy koszmar z punktu widzenia kryminalistyki. Tyle materiału, że tygodniami będą się przez niego przedzierać. Jedyne, co w tym dobre, to że Billy Wainwright będzie zajęty przez święta. Przyjęcia biurowe za bardzo go podniecają, a on jest za stary na taki tryb życia.

Rozległo się parę śmiezków. Szef zespołu kryminalistyków Billy cieszył się opinią seryjnego cudzołożnika.

– Najważniejsze działania na dzisiaj: zgłosiło się paru ludzi, który byli w metrze. To był kurs o czwartej trzydzieści z Newcastle Central Station, zatrzymany przez pogodę w Partington. Margaret siedziała w pierwszym wagonie. Musimy wydać oświadczenie dla mediów, w którym poprosimy wszystkich podróżnych z tego pociągu o kontakt. Potem rozrysujemy plan, gdzie kto siedział albo stał i co widział. – Popatrzyła na słuchających jej policjantów. – Holly, to dla ciebie. Zorganizuj konferencję prasową. Prośba o nadanie przez BBC w *Look North*, jeśli nam się uda. Skontaktuj się z biurem rzecznika prasowego i powiedz im, o co nam chodzi. Potem ty zajmiesz się napływającymi zgłoszeniami, zorganizujesz plan miejsc siedzących i zobaczymy, co się z tego skleci.

Holly była zadowolona z siebie, a Vera pogratulowała sobie w myśli: coraz lepiej idzie jej manipulowanie młodą detektyw z jej zespołu. Holly uwielbia występować w telewizji i dobrze jej pójdzie zestawienie informacji od pasażerów. Gdyby Vera poprosiła ją, żeby ograniczyła się do pracy papierkowej, Holly dałaby się przez dwa tygodnie. Vera potrafiła właściwie zarządzać zespołem. Nie potrzebowała kursów menedżerskich.

– Kolejna sprawa. Co Margaret robiła w Gosforth? Uważamy, że tam się wychowywała. Czy ma rodzinę, która tam nadal mieszka? Sprawdziliśmy metryki. Jej nazwisko panieńskie brzmiało Nash. Charlie, zobacz, co ci się uda wytropić. Może któreś z rodziców jeszcze żyje, jeśli wziąć pod uwagę wiek, do którego obecnie dożywamy. Możemy to sprawdzić w Departamencie Pracy i Emerytur i w okolicznych domach

opieki? Ludziom w Mardle nie mówiła o rodzinie, ale jedyne, co wiemy o Margaret, to że bardzo pilnowała swojej prywatności. Możliwe, że do Gosforth pojechała, żeby odwiedzić krewnych.

Charlie skinął głową. Vera zauważyła, że ostatnio Charlie wyglądał schludniej. Kiedy zostawiła go pierwsza żona, mógł uchodzić za jednego z bezdomnych, którzy włóczyli się wokół stacji autobusowej w Kimmerston, ale nigdy nie był brudny. W każdym razie nie za często. Przemknęło jej przez myśl, że może znalazł sobie inną kobietę albo pogodził się z tym, że został sam, i zaczął o siebie dbać. Zawsze myślała, że bardziej mu żal tego, że sam musi sobie prac niż towarzystwa żony.

Zrobiła przerwę, żeby odetchnąć. Na zewnątrz pojaśniało. Jasny, lodowaty promień oświetlił przez okno jej twarz, aż zmrużyła oczy.

– Wiemy także, że Margaret była zaangażowana w dobroczynność – ciągnęła. – Wszelkiego rodzaju dobroczynność, ale szczególnie udzielała się w organizacji charytatywnej, która nazywa się Przystań.

– To miejsce dla upadłych kobiet w Holypool Village. – Charlie podniósł wzrok znad kubka z kawą.

– Upadłych kobiet? – Holly pisnęła przeraźliwie. – W którym ty żyjesz wieku?

– Ironizowałem. – Charlie przesłał jej uśmiech.

Vera pomyślała, że na pewno coś się wydarzyło w jego życiu. Wcześniej nigdy by nie napomknął o ironii.

– Skąd wiesz o Przystani?

– Aresztowałem kiedyś młodą ćpunkę. W celach nie było miejsca, a według mnie nie nadawała się na to, żeby wyrzucić ją na ulicę. Bałem się, że może popełnić samobójstwo. Pracownicy socjalni zaproponowali, żebym tam ją zawiózł.

– Joe, sprawdźlibyś Przystań? Dobrze ci idą prace społeczne, kiedy się do nich przyłożysz. Jeśli Margaret była stałą wolontariuszką, mogła zaprzyjaźnić się z ludźmi z kierownictwa, mówić im o rodzinie, znajomych. Możliwe, że któraś z kobiet była do niej wrogo nastawiona. Gruskin powiedział, że są

wrażliwe. Ktoś, kto miał incydent z chorobą psychiczną, podatny na podejrzenia i wybuchy wściekłości? Albo była kryminalistka z siekierą w garści.

Joe skinął głową i zapisał adres.

Holly podniosła rękę.

– Jeśli tam przebywają ofiary przemocy domowej, Margaret mógł namierzyć były partner.

– Mógł, mógł, Hol. – Vera była zadowolona, że mają chociaż wyznaczone linie postępowania w śledztwie, ale nadal uważała, że jądro dochodzenia znajduje się na Harbour Street. Oparła się o biurko i zamknęła oczy, bo raziło ją słońce. – A ta właścicielka pensjonatu, Kate Dewar – znana również jako piosenkarka Katie Guthrie – ma nowego mężczyznę. Stuarta Bootha. Żadnych śladów w archiwach policyjnych, nie ma nawet mandatu za przekroczenie szybkości, ale sprawdźmy, czego można się o nim dowiedzieć. Namierz jakieś byłe partnerki. Jakaś przemoc? I będziemy musieli pogadać z dyrektorem szkoły, w której uczy. Pozostali: zorganizowaliśmy przesłuchania ludzi, którzy byli w pociągu i udało się do nich dotrzeć. Traktujcie ich grzecznie, ale pamiętajcie, że każdy z nich może być zabójcą. Więc nie wykluczajcie eleganckiego faceta w garniturze, bo to nie ten typ. Musimy się dowiedzieć, gdzie siedzieli albo stali i czy nie widzieli czegoś nadzwyczajnego. Margaret trudno umiejscowić w jakiejś grupie, mogła mieć do czynienia z różnymi ludźmi. Szczególnie interesują nas ludzie, którzy wsiedli w Gosforth. Czy któryś widział Margaret na peronie albo zauważył, skąd nadeszła?

Charlie kaszlnął.

– Proszę pani?

– Tak? – Uniosła brew.

– Czy obecnie metro nie ma kamer przemysłowych?

– Zazwyczaj ma, ale ta w naszym pociągu była wyłączona. – Uśmiechnęła się szeroko. – Szukamy motywu, a więc jesteśmy uzależnieni od pracy policyjnej w starym stylu. I zanim ktoś zapyta, tak, przed stacją była kamera, ale śnieg padał tak gęsto, że nic nie widać.

Machnęła ręką, żeby wracali do swoich biur.

– Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę u profesora Keatinga na sekcji zwłok.

Kate Dewar prawie nie spała. Stuart poszedł do domu wkrótce po tym, jak Vera Stanhope odeszła do swojego pokoju.

„Muszę dokończyć sprawozdania za semestr”, powiedział. I „Dzieci będą chciały ciebie dla siebie”. Omal nie poprosiła, żeby został, ale nie chciała się narzucać. Widział, że jest zdenerwowana, i nie potrafił jej pomóc. Jej smutek mógł go krępować. Nigdy dobrze mu nie wychodziło mówienie o uczuciach. Tak długo był samotny, że musiałby się tego uczyć jak nowego języka. A był człowiekiem życzliwym. Widziała, że rodzaj śmierci Margaret zasmucił go, chociaż znał ją od niedawna.

To nie strach nie pozwalał jej zasnąć w nocy. Nie spodziewała się, że zabójca Margaret włamie się do domu i zamorduje ich w łóżkach. Mogły ją prześladować takie myśli – miała żywą wyobraźnię – ale obecność Very, rzetelnej i nieprzejednanej, jakoś sprawiała, że ta myśl wydawała się śmieszna. Inne, bardziej subtelne niepokoje nie pozwalały jej zasnąć: interesy, rodzina, zorganizowanie odpowiedniego pogrzebu dla Margaret. Leżała na boku, sztywna z napięcia, co godzinę patrzyła na zegar przy łóżku. Wydawało się jej, że ledwie zasnęła, a budzik zaczął dzwonić.

Zazwyczaj podawała śniadanie od siódmej, ale Vera poprosiła, żeby śniadanie było wcześniej: „Płatki i tost wystarczą, nie chcę ci sprawiać kłopotu”. W jej głosie była jednak jakaś tęsknota, a że Kate nie dopatrzyła się w Verze zwolenniczki zdrowego jedzenia, położyła na grill bekon i kiełbasę, tak na wszelki wypadek, żeby inspektor była zadowolona. Zawsze chciała, żeby ludzie byli zadowoleni – na tym głównie polegał jej problem. Gdyby wychodząc za mąż, myślała, czego ona oczekuje po tym związku, a nie próbowała się domyślić, co uszczęśliwi Robbiego,

pewnie sprawy potoczyłyby się lepiej.

Vera Stanhope na pewno była dzięki niej szczęśliwa. Wymiotła talerz w minutę i się rozpromieniła.

– Podobno powinnam uważać na to, co jem, ale nic złego się nie stanie, jeśli raz na jakiś czas zrobię sobie przyjemność, co? – Nie pytała już o Margaret. W ogóle nie wspominała o morderstwie. Zapłaciła gotówką, a kiedy Kate zaproponowała jej rachunek, machnęła ręką.

– To nie wina policji, że mieszkam w dziczy. Nie dam rady wpisać tego w kosza.

Potem wyszła za drzwi i pomachała ręką, a Kate, nie wiadomo dlaczego, poczuła się samotna. Była to powtórka uczucia, które ogarnęło ją, kiedy zdała sobie sprawę, że Margaret nie żyje.

George Enderby zjawił się w jadalni dokładnie o ósmej. Może chciał uchodzić za wolnego ducha, ale Kate zauważyła, że był wielkim zwolennikiem rutyny. Dzbanek kawy i jajka sadzone na brązowych tostach. Zamówienie było zawsze takie samo. Myła naczynia, kiedy dzieci wyszły do szkoły. Przez okno patrzyła, jak Ryan wlecze się ulicą, z ciężką torbą zwisającą z ramienia. Nie spieszy się na lekcje. Ostatnio znacznie chętniej pomagał Malcolmowi Kerrowi w warsztacie skutniczym, niż chodził do szkoły. Chloe wyszła parę minut później. Trochę dalej, na ulicy, dołączył do niej chłopak, którego Kate nie знаła.

– George, dokąd się dzisiaj wybierasz? – Walizka na kółkach pełna książek stała już pod schodami.

– Do Newcastle – uśmiechnął się trochę smutno. – Wyzwanie. Trudno zainteresować księgarzy naszymi wiosennymi tytułami, kiedy wszyscy mają w głowach Boże Narodzenie.

– Ta inspektor policji została na noc. Nie mogła wrócić do domu ze względu na pogodę.

– O? – Nagle się zainteresował. Kate pomyślała, że szok już minął, wszyscy byli zainteresowani śmiercią Margaret. To było jak spektakl telewizyjny. Nawet dzieci, miłe i ostrożne poprzedniego wieczoru, wróciły do normalności, dokuczania i kłótni.

– Wyszła przed godziną. Oczywiście nic nie powiedziała o śledztwie. Chyba muszą być dyskretni. – Ściereczką trzymaną w zwiniętej dłoni Kate starła okruszki z sąsiedniego stołu.

– Tak – powiedział George. – Chyba muszą.

Później, kiedy w domu było spokojnie i czysto, usiadła na kanapie w kuchni i trochę się zdrzemnęła; nowy zespół folkowy polecany przez Stuarta grał w tle, a głosy brzmiące jak fale na kamykach, były zamazane i usypiające. Poderwał ją dzwonek u drzwi. Detektyw powiedziała, że rano przyjdzie kilku policjantów, żeby przeszukać pokój Margaret. Tej informacji nie przekazała George'owi Enderby'emu. Jego zapał do omawiania śmierci Margaret wydał się jej cokolwiek pozbawiony smaku, nie w stylu jego zwykłej uprzejmości. Teraz uznała, że to ekipa, która ma dokonać przeszukania, i pospieszyła, żeby ich wypuścić. Nie chciała, żeby ojciec Gruskin i jego sabat podstarzałych wielbicielek zobaczył na progu grupę policjantów w mundurach. Plotki rozchodziły się po Mardle z szybkością błyskawicy.

Ale na ulicy nie było policjantów. Stał tam natomiast Malcolm Kerr, szkutnik. Czasem Ryan pomagał mu w warsztacie. Od syna dowiedziała się tego i owego o rozwodzie sąsiada i przeprowadzce z wielkiego domu w Warkworth do dawnego mieszkania komunalnego. Skóra mu poszarzała. Źle się ogolił, a oczy miał jednocześnie żółte i przekrwione. Ponieważ cofnął się ze stopnia na chodnik, ich twarze były na tym samym poziomie, wyczuła zapach przetrawionego alkoholu w jego oddechu.

Nie zaprosiła go do środka. Chociaż sama słabo go знаła, miał opinię dziwnego – milkliwy, ciągle pojękujący. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to że Ryan zrobił coś, co go zirytowało. Zawsze sądziła, że Malcolm lubi, kiedy Ryan kręci się po jego warsztacie, ale syn stał się dla niej tajemnicą.

– Chodzi o Margaret – zaczął Malcolm. – Mogę wejść? – I szybko wszedł po schodkach, a jej natychmiastową reakcją było zejście mu z drogi, zanim ją przewróci. Był już w domu.

Zaprowadziła go do salonu dla gości, bo był najbliżej drzwi wejściowych; jakoś lepiej się czuła, rozmawiając z Malcolmem, kiedy wiedziała, że może uciec. Coś w tym mężczyźnie przerażało ją, coś silnego i niespokojnego. Sądziła, że jego warsztat stał przy Harbour Street wiele lat przed tym, jak się tu wprowadziła. Malcolm był stałym elementem, jak kościół i pub. Przejął po ojcu interes, woził ludzi na Coquet Island i do niedawna był sternikiem na łodzi ratunkowej. Całkowicie oddany miastu. Gderliwy, ale godny zaufania. Kate niewiele o nim wiedziała. Teraz zastanawiała się, czy aby nie choruje na jakąś chorobę umysłową.

– Czego chcesz, Malcolmie? – Stał dość daleko od niej, w rogu, przy kominku. Mówiła łagodnym głosem. Ważne, żeby go nie zdenerwować.

– Chodzi o Margaret.

– Jeśli wiesz coś o Margaret, powinienesz przekazać to policji. – I pod wpływem nagłego natchnienia dodała: – Będą tutaj wkrótce. Chcą przeszukać jej pokój.

– Mogę go zobaczyć? – Te słowa wypaliły mu z ust jak strzał. Jakby sformowały się bez jego wiedzy.

– O co ci chodzi?

– Czy mogę zobaczyć jej pokój? Ten, w którym mieszkała?

– Oczywiście nie! – Była teraz bardziej rozdrażniona niż wystraszona. On wyglądał raczej staro, był zmieszany, siedział na krześle z wysokim oparciem, z rękami na kolanach, jak pensjonariusz domu opieki. – Nie mam klucza, poza tym to kwestia prywatności.

Wtedy zobaczyła, że Malcolm płacze. Wielkie, okrągłe łzy spływały mu po policzkach. Wydało jej się, że jest tak nieprzyzwyczajony do płaczu, że nie wie, co z tym zrobić. Wyjęła chusteczkę higieniczną z kieszeni i przeszła po dywan, żeby mu ją dać.

– Nie wiedziałam, że byliście tak zaprzyjaźnieni – powiedziała łagodniej.

Wziął chusteczkę i osuszył twarz.

– Margaret Krukowski pracowała dla mnie. Wiele lat temu. Żył jeszcze mój ojciec. Prowadziła nasze księgi, wysyłała faktury, odbierała telefony w biurze, przyjmowała rezerwacje.

– Ach – westchnęła Kate. – Nie wiedziałam. – Przyszło jej na myśl, że nie wiedziała mnóstwa rzeczy o Mardle. Jej dzieci były tu bardziej zdomowione niż ona. Szczególnie Ryan przynosił wiele informacji ze szkoły. Tajemnice innych rodzin. Plotki o interesach przy Harbour Street. Kate, zamknięta w domu, wiedziała bardzo mało, a Stuart w ogóle się tymi sprawami nie interesował. Był bardzo niezależny. Potrzebował tylko swojej muzyki i jej. Plotki docierały do niej z drugiej ręki, od dzieci i z podsłuchanych fragmentów rozmów w sklepach i kawiarniach.

– Przyszły trudne czasy. – Malcolm mówił prawie do siebie. – Musieliśmy ją zwolnić. I był pożar, więc i biuro straciliśmy.

– Przykro mi. – Bo co innego miała powiedzieć?

Nagle wstał, siła zawarta w tym ruchu, ogrom Malcolma znów ją wystraszyły, cofnęła się.

– Pogrzeb – rzucił.

– Nie wiem, kiedy będzie – odparła szybko Kate. – Chyba będziemy musieli poczekać, aż policja wyda jej ciało.

– Ale chciałbym pomóc. We wszystkim, co będzie potrzebne.

Zobaczyła, że znowu jest bliski łez.

– Poinformuję cię. Naprawdę. – Poszła w stronę drzwi, miała nadzieję, że pójdzie za nią. Poszedł, ale zatrzymał się u podnóża schodów i popatrzył do góry. Przez chwilę bała się, że znów zrobi się nieprzewidywalny, że pójdzie po schodach do pokoju Margaret. Czowała, że bywał już w tym domu i wiedział, jak się po nim poruszać.

Chciała to powiedzieć: „Musisz widzieć tutaj zmiany”. Bo istotnie, dom zupełnie się zmienił po tym, jak go przejęła, a on ostatnio tutaj nie bywał, prawda? Margaret nigdy nie przyjmowała gości u siebie. Ale zanim zdołała coś powiedzieć, Malcolm odwrócił się i prawie zbiegł po schodkach na chodnik. Jakby go ścigano. Podniósł rękę, żeby pomachać jej na do widzenia, ale nie odwrócił się i nie zatrzymał.

Kate zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, potem wróciła do kuchni. Muzyka nadal szemrała, jakby nic się nie stało, a jej przez chwilę wydawało się, że spotkanie z Malcolmem Kerrem to temat piosenki. Vera Stanhope zostawiła wizytówkę służbową na stole śniadaniowym, kiedy zbierała się do wyjścia. „Tak na wszelki wypadek, gdybyś przypomniła sobie coś, co mogłoby się przydać”. Kate wzięła ją z komody i przytrzymała palcami. Pod wpływem impulsu sięgnęła po telefon.

„Nie ma znaczenia, co to takiego”, stwierdziła wtedy Vera. „To szczegóły czynią różnicę”.

Kate znów poczuła się jak dziecko. Dobra dziewczynka przed klasą chce, żeby nauczyciel ją lubił. Chętna, żeby się przypodobać. Powiedziała Verze, że Malcolm był w domu i że Margaret pracowała dla niego i jego ojca.

– Mam przeczucie – powiedziała Kate, kiedy Vera cierpliwie wysłuchała jej wyjaśnień – że byli czymś więcej niż przyjaciółmi.

Vera nigdy nie przejmowała się sekcjami zwłok. Martwi ludzie nie zrobią nikomu krzywdy; to żywych trzeba się bać. Paul Keating, anatomopatolog, pochodził z Belfastu. Był człowiekiem religijnym, milczącym i godnym, i wielkim przyjacielem od golfa szefa kryminalistów Billa Wainwrighta. Vera zastanawiała się, o czym ci dwaj mogą rozmawiać na polu golfowym albo po grze, w barze. Czasem myślała, że nie mają niczego wspólnego poza zmarłymi.

W kostnicy było zimniej niż zazwyczaj, myślała, czy ze względu na silne opady śniegu w szpitalu też odcięto na noc elektryczność, tak jak w wyziębionym komisariacie. Kobieta leżąca na stole z pewnością wyglądała na zimną. Zamarzniętą. Vera nie była przeczulona, ale żałowała, że nie przykryto jej kocem.

Keating mówił, nagrywał swoje pierwsze wrażenia. Vera przysłuchiwała się jego słowom, ale myślała, że Margaret dobrze wyglądała jak na swój wiek: Mało luźnego ciała, nie licząc odrobinki tłuszczu wokół talii. I te kości policzkowe, za które można było umrzeć. Vera przypomniła sobie podziw Joego dla młodej Margaret ze zdjęcia ślubnego i poczuła ukłucie zazdrości. Jej nie podziwiano, nawet kiedy miała dwadzieścia lat. Joe najwyraźniej lubił cienkie laseczki, jego Sal to skóra i kości.

Keating zrobił przerwę, żeby nabrać tchu. Wykorzystała okazję i zadała pytanie, które nurtowało ją od początku śledztwa.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Jak to możliwe, że nikt nie zauważył. Metro zapchane ludźmi. Przecież by krzyknęła, prawda? Joe jej nie słyszał, ale stał w drugim końcu wagonu. Powinna być krew.

– Nie – odparł Keating. – Krwi prawie nie było. Za mało, żeby

ktoś zauważył. – Z pomocą asystenta przewrócił Margaret na bok. – Dźgnięto ją nożem o bardzo wąskim ostrzu. Długim i cienkim. Poczowała to, ale raczej jako przykrość niż prawdziwy ból. Ukłucie szpilką. Potem, jeśli podskórny tłuszcz zamknął się wokół rany, mało prawdopodobne, żeby wystąpił zewnętrzny krwotok. Umarła, zanim ona czy ktokolwiek zdał sobie sprawę, co się dzieje.

Vera zastanowiła się, czy to dobry sposób na śmierć. Tuż przed Bożym Narodzeniem, w zatłoczonym pociągu, w otoczeniu podnieconych dzieci i dorosłych opitych piwem. Mogła sobie wyobrazić gorsze sposoby.

– Więc wiedział, co robi – podsumowała. – Miałam na myśli mordercę.

Keating wzruszył ramionami.

– Albo tak, albo miał szczęście.

– Dźgnięto ją od tyłu? – Vera nie rozumiała, jak to przebiegło. Kobieta siedziała. Joe opisał ze szczegółami, jak zajęła jedyne wolne miejsce w wagonie. A zatem jak mogła zostać dźgnięta w plecy?

– Bezsprzecznie od tyłu.

Wrócił do nagrywania raportu, ale Vera przewijała w kółko ten obraz w myśli. Dobrze ubrana Margaret wsiada z zaśnieżonego peronu do pociągu, znajduje miejsce i się opiera. Vera tworzyła scenariusze, żeby wyjaśnić ranę od noża w plecach, ostrą klingą przebijającą kaszmirowy płaszcz. Może ktoś szedł za Margaret od Gosforth i dźgnął ją, kiedy jeszcze stała. Ale jeśli tak, dlaczego zabójca czekał, żeby zaatakować, dopiero jak wsiadła do zatłoczonego pociągu? W ciemnych, cichych podmiejskich uliczkach znalazłby z pewnością lepszą okazję. A może Margaret odwróciła się na siedzeniu, żeby wyjrzieć przez okno, kiedy pociąg dojeżdżał do stacji, i zabójca zaryzykował. W obu wypadkach zabójca mógł wysiąść z pociągu na każdej stacji między Gosforth a Partington. Założyli, że Margaret zamordowano niedaleko ostatniego przystanku, ale jeśli śmierć była tak dyskretna, jak twierdził Keating, wcale tak nie musiało

być.

Słowa Keatinga dźwięczały jej w myśli, ale nagle dotarła do niej cisza.

– O co chodzi? – Gwałtownie wróciła do teraźniejszości, do mroźnej kostnicy i smrodu ludzkich szczątków.

– Nasza ofiara była chora. – Keating stał przez chwilę, marszcząc brwi. – Rak jelit. Znalazłem objawy na wątrobie. Choroba rozprzestrzeniła się z jelit.

– Uleczalny? – Vera nie była pewna, czy to może być ważne. Kobieta nie dźgnęła się sama w plecy. To nie było rozpaczliwe samobójstwo na oczach ludzi.

– Może. Ale nie ma śladów, żeby go leczono.

– Może dopiero co wystawiono rozpoznanie. – Vera mówiła do siebie, przeglądając prawdopodobieństwa. Więcej scenariuszy. Więcej wersji. – Będę musiała znaleźć jej lekarza.

To nieprawdopodobne, żeby Margaret poszła do przychodni w popołudnie swojej śmierci. W pobliżu stacji metra Gosforth nie było dużych szpitali.

Na dworze świeciło słońce, ale nadal było bardzo zimno. Dzieci zrobiły sobie ślizgawkę na chodniku i Vera omal nie rąbnęła jak długa. Sprawdziła telefon, czy nie przeoczyła czegoś ważnego podczas sekcji. Komórka natychmiast zaczęła dzwonić. Z początku nie rozpoznała głosu, dopiero po kilku sekundach rozmowy zdała sobie sprawę, że rozmawia z Kate Dewar. Słuchała, jak kobieta opisuje przybycie Malcolma Kerra do pensjonatu.

– Prowadził wyprawy dla obserwatorów ptaków na Coquet Island. – Vera przypomniwała sobie chudego młodego człowieka, nieporadnego na brzegu, ale zwinnego na łodzi. – Ze swoim tatą.

Kate najwyraźniej była zdumiona tymi słowami.

– Jego ojciec umarł wiele lat temu – rzuciła Kate.

– I Malcolm wyglądał trochę nienormalnie?

– Sposób, w jaki mówił o Margaret, był dziwny – odparła Kate.
– Myśle, że byli więcej niż przyjaciółmi.

Parkując land rovera przy Harbour Street, Vera miała niemal wrażenie, że wraca do domu. Kate musiała jej wypatrywać, bo drzwi otworzyły się natychmiast.

– Pozwolisz, że porozmawiamy w kuchni? – zapytała. – Ciasto jest w piecu.

Vera poszła za nią na dół, do piwnicy, zadowolona, że nie będą siedziały w wypolerowanym na wysoki połysk salonie, który – jak nagle zdała sobie sprawę – przypominał jej zakład pogrzebowy albo ozdobną kaplicę.

– Pił – powiedziała Kate. – Wczoraj wieczorem, jeśli nie dzisiaj rano. Czułam to od niego. Wszyscy wiedzą, że lubi w Coble wypić duże piwo na wieczór i parę puszek, kiedy pracuje w swojej szopie, ale nigdy nie widziałam go pijanego. Nawet kiedy odeszła od niego Deborah.

Włączyła maszynkę do kawy, woda, sącząc się przez filtr, napełniała kuchnię aromatem.

– Deborah?

– Jego była żona. – Kate otworzyła piecyk i wyciągnęła tacę z kruchym ciastem. – Nie będzie takie dobre jak ciasto Margaret.

– Może nie będziesz musiała zawracać sobie głowy pieczeniem, jeśli znowu zaczniesz karierę muzyczną. – Vera zerknęła na nią. Nie rozumiała, o co chodzi z tą muzyką. Czy to było tylko marzenie, podtrzymywane przez Stuarta Bootha, czy konkretne plany?

– Tak – powiedziała Kate. – Może. Ale szaleję z zachwytu na samą myśl o tym. To niebezpieczny biznes. Stuart też nie należy do tych zwariowanych marzycieli. – Uśmiechnęła się jednak, a Vera pomyślała, że Kate w skrytości ducha entuzjazmuje się tym zestawem – muzyka i mężczyzna.

– Kiedy Malcolm i Deborah się rozeszli? – Vera najbardziej lubiła rozmowy o ludziach, którzy otarli się o morderstwo. Plotka, ale uprawniona, bo to była praca.

– Przed pięciu laty? Jakoś tak. Deborah zainwestowała w

interes Malcolma i musiał ją spłacić. Kiedyś mieli ładny dom na wybrzeżu, w Warkworth, ale sprzedał go, żeby mieć dla niej pieniądze. Teraz mieszka w ciasnym mieszkanku, kiedyś komunalnym, przy Percy Street.

– Czy to w Mardle?

– Tak. – Kate naląła kawę. – Tuż za kościołem.

– Czy wiedziałaś wcześniej, że Malcolm i Margaret byli blisko ze sobą? – Vera popatrzyła na ciasto, ale Kate chciała chyba je zostawić, żeby wystygło.

– Nie, ale nie wiedziałam też, że Margaret kiedyś dla niego pracowała. Mówił, że w biurze. To musiało być, zanim się tutaj wprowadziliśmy. – Przerwała. – Margaret nigdy o tym nie wspominała, a Malcolm nie ma teraz biura, tylko tę paskudną szopę.

Na chwilę zaległa cisza, potem Vera zapytała:

– Czy w Mardle jest ośrodek zdrowia?

Pytanie padło znienacka i Kate najwyraźniej pomyślała, że Vera zwariowała.

– Tak, zaraz za torami metra, w stronę miasta. Nowy budynek blisko szkoły średniej.

– Wygodnie. – Vera napiła się kawy. – Czy to tam przyjmuje lekarz Margaret?

Kate myślała przez chwilę.

– Nie wiem. Czy to nie dziwne? Mieszkałyśmy w tym samym domu przez te wszystkie lata, a ja nie wiem, gdzie chodziła do lekarza. Może dlatego, że nigdy nie chorowała. Zaproponowałam jej kiedyś, żeby zaszczepiła się przeciwko grypie. Wszyscy w miasteczku to robili. A ona nie. Twierdziła, że nie lubi igieł.

– Była sobą w ostatnie dni?

Tym razem odpowiedź przyszła szybciej.

– Właściwie to nie bardzo. Była czymś zaabsorbowana, jakby chodziła we mgle. Pytałam ją, czy coś się stało, ale powiedziała, że ma tylko parę spraw do załatwienia.

Znowu ta obsesyjna prywatność. Te wszystkie tajemnice. Och, Margaret Krukowski, co miałaś do ukrycia?

Światło na dworze było dziwne, mleczone. Cienka chmura przesłoniła słońce i Vera pomyślała, że w powietrzu czuć śnieg. Postanowiła wracać do domu, gdy tylko zacznie padać. Potrzebowała nocy spędzonej we własnym łóżku, szansy na przemyślenie spraw. Jej sąsiedzi do tej pory odśnieżyli podjazd i postarają się, żeby rano mogła wyjechać. Był czas lunchu. Dzieci ze szkoły ustawiały się w kolejce przed kioskiem z frytkami, niektóre tylko w szkolnych sweterkach, jakby nie czuły zimna. Wydawało się jej, że widzi Chloe Dewar z jakimś chłopakiem, ale nie była pewna. Wszystkie nastoletnie dziewczyny były dla niej jednakowe.

Warsztat szkutniczy Kerra otoczony był wysokim parkanem zakończonym szpicami, na podwórze wchodziło się przez podwójną drewnianą bramę. Przekopując pamięć, Vera pomyślała, że spotkała już tych mężczyzn wieczorem tego dnia, kiedy wybrała się z Hectorem na jaja rybitw różowych. Potem poszli do portu i wsiedli do łodzi. Nie do łodzi wycieczkowej „Lucy-May”, ale do małej łódki z potężnym silnikiem zaburtowym. Próbowwała przypomnieć sobie jakieś biuro, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Kłódka na bramie była otwarta, ale brama osunęła się w dół na zawiasach i musiała ją podnieść i pchać przez śnieg, żeby wejść. Kerra nigdzie na zewnątrz nie było, ale ślady w śniegu prowadziły do szopy z desek i blachy falistej. Tam go znalazła. Szopa miała jedno okienko, tak brudne, że trudno było zajrzeć do środka, ale rozpoznała ciężko siedzącą na obszarpanym fotelu postać i zastukała w szybę. Postać nie poruszyła się i przez chwilę poniosła ją wyobraźnia. Kolejne morderstwo. Albo samobójstwo. W takim miejscu jest mnóstwo narzędzi, żeby dźgnąć kobietę. I noży, żeby podciąć sobie nadgarstki, jeśli za bardzo się przeżywa winę.

Znowu zastukała w szybę, tym razem mocniej i Kerr poruszył się w fotelu, a potem wstał. Zanim zdążył do niej wyjść, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Nagle zrobiło się bardzo ciepło. W kącie stał mały piecyk na drewno, śmierdziało potem i dymem. Wypił za dużo i za mało się wyspał. Rozpoznawała objawy.

– Kim pani, kurwa, jest?

– Vera Stanhope – powiedziała. Nie miała za złe pytania. Ona też bywała jak niedźwiedź, którego boli głowa po przepiciu. – Detektyw inspektor.

– Stanhope. – Powtórzył nazwisko, jakby je rozpoznawał.

– Tak, pan chyba znał mojego tatę. – Pomyślała, że Hector musiał pracować z tym człowiekiem przez parę dobrych lat. Kerr nie zapamiętałby nazwiska po jednym rejsie. Dokąd jeszcze zabierał Hectora w swojej gumowej dingi? Jakie jeszcze jajka razem kradli?

– Mój Boże, ty jesteś córką Hectora – parsknął, było to coś między kaszlnięciem a chichotem. – Glina. On się w grobie przewraca!

Vera podniosła stos starych tygodników ze stołka i usiadła.

– Margaret Krukowski – rzuciła.

Usiadł głęboko w fotelu i zagapił się w przestrzeń.

– O co chodzi?

– Pracowała dla ciebie?

– To było dawno temu. – Teraz zrobił się czujny, zdecydowany, żeby niczego nie powiedzieć. Vera myślała, co jeszcze ma do ukrycia przed policją, poza wyprawami do rezerwatu na wyspie. Prawie na pewno uniki przed podatkami i zwroty VAT. Nielegalne rybołówstwo? Przemycane fajki i alkohol?

– Interesuje mnie tylko morderstwo – oznajmiła. – Wszystko, co możesz powiedzieć o Margaret, pewnie się przyda.

– Pracowała dla nas przed wielu laty, mniej więcej wtedy, kiedy poznałem twój ojca. Wtedy interesy szły lepiej. Zabieraliśmy turystów na wyspę, ale było też łowienie ryb. I czartery. Na podwórku mieliśmy wtedy małe porządne biuro, coś jak drewniany barak. Margaret była prawie dzieckiem. Eleganckim dzieckiem szukającym pracy. Mój ojciec przyjął ją, bo pomyślał,

że będzie ładnie mówić przez telefon. Z klasą.

– Była zamężna? – zapytała Vera.

Zawahał się.

– Nic nie wiem o jej prywatnym życiu.

– Hej, Malcolm, chłopie, kogo chcesz oszukać? Taka chudzina. A ty, młody mężczyzna w kwiecie wieku. Pamiętałbyś, czy była samotna, czy nie.

Podniósł wzrok i popatrzył na nią z wściekłością.

– Mówiłam ci – powtórzyła Vera. – Interesuje mnie tylko odnalezienie mordercy. Wydaje mi się, że ciebie też.

– Myślę, że mogła być zamężna. – Przerwał. – Z jakimś zagranicznym marynarzem. To długo nie potrwało. Chyba zrobiła to na złość swoim staruszkom.

– Tłukł ją? – Vera zadała pytanie tak, jakby to była najnormalniejsza w świecie rzecz.

– Dlaczego tak myślisz? – Znowu gniew, znowu podejrzenia.

– Według księdza była wolontariuszką w schronisku dla bezdomnych kobiet. Zastanawia mnie, czy tu może być jakaś zależność. Na tym polega moja praca – szukać zależności.

– Nie – odparł wreszcie. – Nie sądzę, żeby ją uderzył. Margaret była w nim zakochana po uszy. Była młoda i głupia, a on przystojny i taki romantyczny. Chyba byli dość szczęśliwi, aż znudziło go to, że nie ma pieniędzy, i uciekł z inną.

– Myślałeś, że masz szansę, kiedy on odszedł? – Vera popatrzyła nad Kerrem w okienko. Kilka płatków śniegu stopiło się na szybie i spłynęło w stronę ramy.

Pokręcił głową.

– Nigdy nie wyszłaby za miejscowego chłopaka, bo myślała, że Paweł wróci.

– Tak miał na imię?

– Tak. – Kerr niechętnie je przeliterował.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

Zawahał się.

– Wczoraj rano. Była na Harbour Street, szła w stronę przystanku autobusu na rogu.

– Rozmawiałaś z nią? – Vera pomyślała, że to jest jak wyrwanie zęba.

– Tylko powiedziałem cześć. Miałem ją na ulicy. Szedłem tutaj. Miałem czarter zarezerwowany przez jednego z gości pani Dewar.

– Komu chciałoby się wypływać w taką pogodę?

Po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął.

– Szalonemu profesorowi. Nazywa się Mike Craggs. Pracuje na uniwersytecie jako biolog morski. Bada temperaturę wody, a ja zabieram go na wyspę, na parę godzin co dwa tygodnie. Chyba zbiera też próbki z brzegu lądu stałego.

– O której wróciliście do portu?

Kerr wzruszył ramieniem.

– Późnym popołudniem. Była zła prognoza pogody i profesorek chciał dojechać do domu. Wtedy jeszcze nie padał śnieg, ale było prawie ciemno.

– A co robiłeś potem? – Vera mówiła cierpliwym głosem. To była rozmowa, nie przesłuchanie.

– Wróciłem na chwilę do domu. Byłem przemarznięty, potrzebna mi była gorąca kąpiel i ciepłe jedzenie. Potem poszedłem do pubu. – Podniósł wzrok. Było to wyzwanie, żeby zapytała o szczegóły, ale ona nie chwyciła przynęty. Mogła zapytać w Coble, o której tam się pojawił.

– Dlaczego byłeś taki przybity, kiedy usłyszałeś o jej śmierci? – zapytała cicho i łagodnie. – Zaprzyjaźniliście się przez te lata?

Nachylił się do przodu, owinał dłoń szmatą, żeby się nie oparzyć, otworzył drzwiczki piecyka i wrzucił kawałek drewna.

– Nie – powiedział. – Nic z tych rzeczy. Chyba przypominała mi moją młodość. – Znów przerwał. – Dobre czasy.

Holypool był zaledwie kilka kilometrów w głąb łądu od Mardle, ale Joe Ashworth miał wrażenie, że jest w innym świecie, kiedy tam podjeżdżał. Zawsze lubił wieś i od czasu do czasu wyobrażał sobie, że mieszka w nowym osiedlu domków dla menedżerów tuż za pubem. Po obu stronach wąskiej głównej ulicy stały kamienne domki z długimi, wąskimi ogrodami od frontu. Latem słychać tam będzie śpiew ptaków. Słońce i ruch uliczny z poprzedniego i tego dnia oczyściły ulicę, ale na dachach zostało dość śniegu, żeby miejscowość wyglądała jak z kartki bożonarodzeniowej, którą mogłaby mu wysłać jego niania.

Przyczepiła się do niego piosenka *White Moon Summer*, która przyniosła Katie Guthrie sławę. Melodia przychodziła i odchodziła podczas jazdy, wspominał siebie i Sal, prawie jeszcze dzieci, i miesiąc, w którym zdali egzaminy, i nic się nie liczyło, tylko oni dwoje i ich plany na przyszłość.

Przystań mieściła się w odsuniętym od drogi domu, ukrytym za drzewami, otoczonym polami uprawnymi. Podjazd zamykała drewniana brama i kiedy Joe wysiadł z samochodu, żeby ją otworzyć, usłyszał kapiącą wodę – stopiony śnieg spadający z gałęzi. Podjazd był pełen dziur, miejscami wypełnionych popiołem i łupkiem. Musiał jechać powoli. Zastanawiał się, co mieszkanki myślą o tym miejscu. Pewnie większość jest z miasta i musi im się wydawać, że to koniec znanego wszechświata. Jak sobie dają radę w nocy z zimnem i ciszą? Nawet on zadrżał na myśl o tym. Pasma chmur przykryło słońce. Wyjechał pomiędzy drzew i zatrzymał się na wybrukowanym dziedzińcu, otoczonym z dwóch stron kamiennym domem, a z trzeciej kilkoma zaniedbanymi przybudówkami.

Kobieta w dżinsach i swetrze wyszła z otwartej drewnianej

konstrukcji, która kiedyś mogła być rozwalającym się garażem. Pchała taczkę wypełnioną drewnem, postawiła ją, żeby popatrzeć na niego. Bez ruchu obserwowała, jak wysiada z samochodu i podchodzi do niej. Czuł się niezręcznie, bo nie potrafił jej umiejscowić. Była pensjonariuszką czy pracownicą? Lepiej się czuł, kiedy mógł człowieka zaszeregować.

– Czym mogę służyć? – Te słowa nie zdradzały jej statusu. Akcent był nieokreślony, a ton trochę wrogi. Przynajmniej ostrożny. Joe odwzajemnił się spojrzeniem, próbował ustalić, czy już jej nie widział, czy może jest jedną z osób z metra, z popołudnia, kiedy dokonano morderstwa. Nic nie zaświtało mu w głowie. Ludzi było wielu, widział ich krótko, pewnie nic z tego.

Już miał zapytać o kierowniczkę, kiedy otworzyły się drzwi domu i wypadł z nich złoty labrador, a za nim wyszła kobieta w średnim wieku. Była niska i pulchna, ubrana w purpurową spódnicę ze sztruksu i utrzymany w jasnych kolorach ręcznej roboty rozpinany sweter, który sprawiał, że wyglądała na jeszcze grubszą. Zawołała psa, który w podskokach biegł do Joego.

– Sandy, wracaj tutaj. – Była Szkotką, jej głos brzmiał, jakby się śmiała.

Potem powtórzyła słowa młodej kobiety.

– Czym mogę służyć? – Były przyjazne, ale musiało się na nie odpowiedzieć.

Joe został tam, gdzie był. Miał uraz do dużych psów, odkąd w pierwszym dniu szkoły jeden taki podskoczył i ugryzł go. Jeszcze jedna rzecz, którą Vera Stanhope może mu dokuczać. Przedstawił się.

– Zakładam, że ma pan jakąś legitymację. Zawsze jesteśmy trochę ostrożne wobec obcych mężczyzn, którzy pojawiają się w Przystani, prawda, Laurie?

Młoda kobieta parsknęła.

– Nie ma potrzeby – powiedziała. – To pies. Czuję to na kilometr. – Nachyliła się do rączek taczki i poszła z nią za róg domu.

Joe pomachał legitymacją w stronę starszej kobiety.

– Niech pan wejdzie, jest zimno – zaprosiła go. – Postawimy czajnik na ogniu. Zbliża się czas lunchu, gdyby chciał pan do nas dołączyć.

W domu nie było dużo cieplej niż na dworze. Podłoga holu też była wykładana kamiennymi płytami. Musiał się przedrzeć przez górę gumowców, dziecięcy trójkołowiec i staromodny wózek. Hol był szeroki i wysoki, a w jednym z kątów stała wielka choinka ozdobiona ręcznej roboty papierowymi łańcuchami i gwiazdkami z folii. Kobieta poprowadziła go dalej do biura, którego umeblowanie stanowiły stare biurko, kanapa tak zapadnięta pośrodku, że prawie sięgała podłogi i dwa kuchenne krzesła.

– Powinnam się przedstawić. Jane Cameron. Prowadzę ten zakład, za swoje grzechy. – Potem zostawiła go tam, gdzie stał, i zniknęła. Usłyszał, jak krzyczy w oddali do kogoś, żeby był taki kochany i przyniósł dzbanek kawy. Wróciła, a jej osoba zdawała się wypełniać pokój i ogrzewać go. Pomyślał, że jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak ona.

– No dobrze, panie sierżancie, może powie mi pan, o co tu w ogóle chodzi. – Przycupnęła na biurku, on usiadł na kanapie, patrzyła więc na niego z góry. Czuł, że skierowała na niego całą swoją uwagę.

– Mieliście wolontariuszkę, Margaret Krukowski?

– Tak. – Zmarszczyła brwi. – Co się stało?

– Nie oglądała pani wczoraj wieczorem lokalnych wiadomości? Nie dzwonił ojciec Gruskin, żeby pani powiedzieć?

– Nie miałam wiadomości od Petera przez ostatnie kilka dni, a telewizji wczoraj wieczorem nie oglądałyśmy. Między szóstą a jedenastą nie było prądu. Wszystko bardzo teatralnie. Musiałyśmy zadowolić się świecami i ogniem na kominku. Kobiety narzekały, ale myślę, że chyba podobał im się ten dramatyzm. Zanim zapaliło się światło, wszystkie byłyśmy w łóżkach.

– Margaret Krukowski została zamordowana – powiedział Joe.
– Rozmawiamy z wszystkimi, którzy ją znali.

Jane Cameron patrzyła na niego. Nagle zrobiła się starsza, bledsza.

– Nie wierzę. Kto chciałby zabić Margaret?

– Po to tutaj jestem – stwierdził Joe. – Myślałem, że może mi pani w tym pomóc.

Rozległo się stukanie do drzwi i weszła kobieta, którą spotkał wcześniej. Niosła tacę z dzbankiem kawy, plastikową butelkę mleka i dwa kubki. Na talerzu leżały herbatniki podobne do tych, które już jadł w pensjonacie przy Harbour Street. Więc Margaret tutaj także robiła wypieki. Laurie postawiła tacę na biurku. Popatrzyła na Jane, zauważyła w niej zmianę.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Potem Jane zdała sobie sprawę, że kobieta jest zaniepokojona. – Naprawdę, wszystko w porządku. Załatwimy i wyjaśnimy sprawę. Daj nam tylko parę minut.

Laurie spojrzała wściekle na Joego Ashwortha, jakby winiła go za cierpienia Jane, i wyszła z pokoju.

Jane, nieobecna duchem, nalala kawę, zaproponowała mleko i cukier.

– Przepraszam – powiedziała wreszcie. – Nie jestem w stanie tego zrozumieć. Margaret wyglądała na niezniszczalną. Miała więcej energii niż ktokolwiek, kogo znam. I wszystkie będziemy za nią bardzo tęsknić. Była jak członek rodziny. Czasem nawet przyprawiała ze sobą dzieci Kate. Robiła to i teraz, od czasu do czasu, kiedy urządzałyśmy jakąś imprezę. Parę tygodni temu miałyśmy jarmark zimowy, żeby zebrać trochę gotówki. Kate przyszła z dziećmi – uśmiechnęła się szeptowo. – Zawsze nam tutaj brakuje pieniędzy. Zawsze grozi nam zamknięcie, a z tych imprez nigdy nie ma tyle, ile bym chciała.

– Niech pani opowie o Przystani.

– Działa od około dwudziestu lat. Jestem tutaj przez cały ten czas, a Margaret zaczęła działać społecznie wkrótce po moim przybyciu. To dom dla kobiet, które muszą gdzieś bezpiecznie pomieszkać przez określony czas. Nie tylko schronienie dla ofiar domowej przemocy, ale dla kobiet z uzależnieniami, albo dla

tych, które potrzebują wsparcia po wyjściu z przytułku, albo wypuszczono je z więzienia lub szpitala psychiatrycznego. Możemy także przyjmować dzieci rezydentek, chociaż teraz nie ma u nas ani jednego. – Podniosła wzrok i się uśmiechnęła. – Pracowałam jako starszy pracownik opieki socjalnej. Ale tu jest szansa na intensywną pracę z ludźmi i budowanie wspólnoty. Nadal jestem w kontakcie z byłymi rezydentkami. Czasem mamy zjazdy – mnóstwo kobiet pojawia się na jarmarkach. To wspaniałe, kiedy człowiek dowiaduje się, co niektóre z nich osiągnęły. Zostanę tu do emerytury – to praca mojego życia. – Uśmiechnęła się, żeby pokazać, że nie bierze tej myśli, albo siebie, nazbyt poważnie.

– I pani tutaj mieszka? – Joe zastanawiał się, jak to może być. Sal uważała, że każdą wolną chwilę Joe poświęca pracy. „Twoja dusza należy do tej grubej”. Ale Jane Cameron nie mogła od siebie uciec.

– Mam własne mieszkanie – powiedziała Jane. – Kobiety zazwyczaj szanują moją prywatność. I mam przyjaciół w mieście – mogę u nich przenocować, jeśli potrzebuję przerwy albo trochę kultury.

„Ale żadnej własnej rodziny? Żadnego partnera?”, zapytałaby Vera, ale on nie potrafił się zmusić, żeby poruszyć tę kwestię.

– Musiała pani mieć problemy przez wszystkie te lata – powiedział. – Brutalni mężowie. Dilerzy. Alfonsi. Przychodzą i sprawiają kłopot.

– Ze wszystkim – odparła. – Nawiązałyśmy bardzo dobre stosunki z lokalną policją, która przybywa z pomocą, kiedy trzeba. Ale ostatnio nie było kłótni. I nie było powodu, żeby ktoś zabił Margaret. Była wolontariuszką i miała dyskretny styl życia. Zaprzyjaźniała się z kobietami, jak tylko tu przyjeżdżały. Przed wszystkim zaś nie miała związku z namawianiem ich, żeby tu zamieszkały.

Joe napił się kawy.

– Muszę porozmawiać z pani rezydentkami. Margaret mogła się im zwierzać, powiedzieć im, co ją martwi. – Popatrzył na nią.

– Nie mówiła pani niczego takiego?

Jane pokręciła głową.

– Na samym początku dowiedziałam się, że Margaret jest bardzo skryta. Nie mówiła o sobie. Jeśli już, to ja mogłam się jej zwierzać. Będzie mi jej brakowało. – Zamilkła. – Chociaż kiedy tu była ostatnim razem, rzeczywiście powiedziała, że chciałaby czasem trochę pogadać, że przydałaby się jej rada. Byłam zajęta i zapytałam, czy może być przyszły tydzień. – Pracownica socjalna podniosła wzrok ze zgrozą. – Powinnam znaleźć dla niej czas. Tyle godzin nam ofiarowała, a ja nie mogłam wycisnąć paru minut ze swojego planu zajęć. Ale zwłoka chyba jej nie przeszkadzała. Przynajmniej tak powiedziała.

– A pani nie ma pojęcia, co ją tak zmartwiło?

Jane ze smutkiem pokręciła głową.

– Może pójdzie pan i spotka się z innymi. Margaret mogła z którąś z nich rozmawiać. Zbliży się czas lunchu, może pan zjeść z nami. Ostrzegam, będą bardzo zdenerwowane. Jak mówiłam, Margaret była prawie członkiem rodziny. Dla nich była bardziej matką czy babką niż wolontariuszką. Może pan być pewny, że żadna z naszych rezydentek nie zabiła Margaret.

– Przepraszam – odparł Joe. – Na tym etapie nie mogę nikogo wykluczyć.

Nagle uśmiechnęła się szeroko.

– Nawet mnie? Oczywiście doceniam otwartość umysłu, ale doprawdy tym razem byłoby szaleństwem prowadzić śledztwo według tej koncepcji. Panie sierżancie, jak mówiłam, żadna z naszych rezydentek nie zabiła Margaret. Wczoraj była taka parszywa pogoda, że w ogóle nikt stąd nie wychodził. Były tutaj całe popołudnie. Mogę za to ręczyć. – Popatrzyła na Joe'go z wyzwaniem, żeby jej zaprzeczył, ale Joe nic nie powiedział.

Rezydentki siedziały w wielkiej, niechlujnej kuchni. Tutaj było cieplej – gorąco promieniowało z obdrapanego i brudnego pieca. Do ścian przyklepione były dziecięce rysunki z rogami pozawijanymi ze starości. Obok pieca w koszyku leżał zwinięty pies. Ciasta z nadzieniem bakaliowym chłodziły się na drucianej

tacy na ławie. Joe rozpoznał Laurie, która wozila taczką polana, było jeszcze pięć innych, od nastolatki o chudej, nerwowej i bladej anielskiej twarzy, z długimi, falującymi włosami – po starszą kobietę mieszającą zupę na płycie kuchenki.

– Dziewczyny, to jest sierżant Ashworth, przyszedł z nami porozmawiać. Zaproponowałam, żeby zjadł z nami lunch. – Jane położyła bułki na talerzu i wzięła z lodówki tubę z margaryną.

Laurie, która nakrywała stół, podniosła wzrok.

– Czego chce?

Joe odpowiedział jej spojrzeniem.

– Wczoraj zamordowano Margaret. – Pomyślał, że lepiej mieć to za sobą. Zupa smakowicie pachniała, ale nie mógł sobie wyobrazić, że siada z nimi do stołu i zadaje pytania w czasie jedzenia. To Vera była ekspertką od miłych pogawędek. On wolał stosowną formalność.

Żadna się nie poruszyła. Jakby nie mogły przyjąć tej informacji. Zobaczył lzy spływające po policzkach starej kobiety przy piecu, która mieszała w rondlu. Dziewczyna z długimi włosami zamarła jak posąg.

– Dlaczego, kurwa, ktoś miałby zabić Margaret? – To była Laurie. Była tak spięta i zła, że Joe uznał ją za zdolną do morderstwa. Jane objęła ją ramieniem i mocno przycisnęła, trochę żeby ją pocieszyć, trochę, żeby powstrzymać. Laurie mówiła dalej, rozglądając się po kuchni.

– No? Była cudowna, prawda? Wszyscy tutaj ją uwielbiali. – Popatrzyła na Joego. – Chyba pan nie myśli, że miałyśmy coś z tym wspólnego?

– Myślę, że możecie nam pomóc znaleźć zabójcę.

W kuchni zapanowała cisza. Na zewnątrz nagle zrobiło się bardzo ciemno i powiew wiatru uderzył gałęzią o okno. Jane odeszła od Laurie, żeby włączyć światło.

– Jedzmy – powiedziała. – Wiecie, jak Margaret lubiła dobre jedzenie. Możemy jeść i wspominać ją, i opowiedzieć Joemu wszystko, co o niej wiemy.

Wbrew swoim zamiarom i tumanom śniegu grożącym odcięciem go od świata Joe zasiadł za stołem, jadł z siedmioma kobietami i słuchał ich wspomnień o Margaret Krukowski.

Nerwowa nastolatka, Emily, jak się okazało, przybyła do Przystani dwa miesiące temu.

– Margaret była kochana, ale tak naprawdę to jej nie znałam. Jednego dnia poszłyśmy na spacer, ale to ja tylko narzekałam, a ona słuchała. Lepiej porozmawiaj z innymi. – Mówiąc to, nie patrzyła na niego. Głos miała łagodny i kulturalny, Joe zastanawiał się, co robi w schronisku. Nie miała rodziców, którzy by się nią zaopiekowali? Wyglądała na taką, która nadal powinna być w szkole. W pewnym momencie, kiedy jadła zupę, rękaw się jej zawinął. Joe zobaczył nacięcia po wewnętrznej stronie ramienia. Dokonywała samookaleczeń. Niewiele starsza od jego Jessie.

Stara kobieta, która robiła zupę, była albo głucha, albo żyła we własnym świecie. Nadal płakała, ale twarz miała bez wyrazu. Joe nie był pewien, czy to żal po Margaret, czy objaw chronicznej depresji. Najwięcej mówiła Laurie, od czasu do czasu zwracała się do innych, żeby sprawdzić, czy się z nią zgadzają. Jane nie przerywała im.

– Są inne wolontariuszki, ale mają własne powody. Na przykład religijne, albo chcą, żebyśmy im były wdzięczne, bo podrzuciły parę ubranek dla dzieci. Albo chcą dostać pracę w sektorze socjalnym i pomaganie tutaj dobrze wygląda w CV. Ale Margaret nie miała nic wspólnego z takimi pierdołami. Była tutaj, bo chciała być, lubiła nas i chciała pomóc, robiąc proste rzeczy, na przykład piekąc ciasto na czyjeś urodziny. Albo bardziej skomplikowane sprawy, na przykład nadzorując spotkanie, żeby niektóre z nas mogły się zobaczyć ze swoimi dziećmi, bez pracownika socjalnego, który musiałby być przy tym przez cały czas.

– Kiedy po raz ostatni ją widziałyście? – Joe pomyślał, że wszystko idzie bardzo dobrze i Vera byłaby zainteresowana, ale teraz chciał faktów.

– Przedwczoraj. – To znowu była Laurie. Rozejrzała się dokoła, zanim odpowiedziała, żeby upewnić się, że się nie pomyliła.

– Jak tu dojeżdżała? – Tym razem pytanie skierowane było do Jane Cameron i ona na nie odpowiedziała.

– Zazwyczaj autobusem. Czasem ją ją podwoziłam, kiedy wybierałam się do miasta. Ale była zupełnie niezależna. Mówiła, że ma miesięczny. Pewnie z niego korzystała.

– A jej ostatnia wizyta?

– Ktoś ją podwiózł – wtrąciła się Laurie, zanim Jane odpowiedziała. – Pracowałam w ogrodzie i jakiś samochód wyrzucił ją przy bramie.

– Widziałaś kierowcę? – Joe pomyślał, że to ważne. Kate Dewar nie mówiła nic o przywożeniu Margaret do Przystani i każdy kontakt mógł mieć znaczenie.

Laurie zmarszczyła brwi.

– Nie. Nie wysiadł z samochodu. Ale to był srebrny golf. Nie nowy, powtórnie rejestrowany.

– Jesteś pewna? – Joe nie zapamiętywał samochodów, a według jego doświadczenia kobiety jeszcze mniej się do tego nadawały.

– O tak, sierżancie. – Laurie uśmiechnęła się po raz pierwszy. – Jestem ekspertką. Wszystkie moje przestępstwa związane były z samochodami.

Jane zaprosiła go, żeby został na herbatę i ciasto, ale Joe wyjrzał przez okno, na śnieg pokrywający prawie cały grunt i powiedział, że musi jechać. Ledwo wstał, gdy Laurie znów się odezwała.

– Ktoś powinien sprawdzić, czy Dee wie o śmierci Margaret.

– Dee? – Teraz Joe chciał tylko jednego, wydostać się stąd. Przy takiej pogodzie wieś nie wyglądała nazbyt zachęcająco. Już nie był pewien, czy chciałby zamieszkać w Holypool.

– Dee Robson, jedna z naszych byłych rezydentek. – Jane odprowadziła go obok choinki do holu, żeby nie można było ich podsłuchać. Rozmowę kontynuowali przy drzwiach wejściowych.

– Nie została tutaj. Pewnie nie ze swojej winy. Miała niewielkie

problemy z uczeniem się, których nie rozpoznano w szkole, dzieciństwo chaotyczne. – Jane uśmiechnęła się na ułamek sekundy. – Mamy tutaj bardzo niewiele przepisów, ale Dee złamała wszystkie. Alkohol, mężczyźni, agresja – cały zestaw. W końcu inne rezydentki zmusiły ją do odejścia. Ale Margaret zaprzyjaźniła się z nią i nadal była jej mentorką, kiedy Dee już stąd odeszła. Nie osądzała jej. Nie wiem, jak Dee da sobie bez niej radę.

– Gdzie teraz mieszka Dee?

– W Mardle, w mieszkaniu przy Percy Street. – Jane otworzyła drzwi. – Sierżancie, niech pan kogoś tam wyśle, żeby sprawdził, czy z nią wszystko w porządku, dobrze? Będzie miała pracownika socjalnego. Jakąś biedną duszę, która spróbuje zadbać o jej bezpieczeństwo.

Kiwnął głową i zadał sobie pytanie, dlaczego dobroczynność Jane nie posunęła się do tego, żeby to ona powiedziała Dee, że Margaret została zabita. Na dworze było trochę cieplej i śnieg był teraz miękki i mokry. Kiedy odwrócił się w stronę domu, zobaczył Emily, tę bladą nastolatkę, jak patrzy na niego z okna na piętrze. Przypomniała mu się bajka z dzieciństwa, o księżniczce uwięzionej w wieży.

Vera znalazła kawiarnię w centrum Mardle, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko ośrodka zdrowia. Nowy lokal z syczącym ekspresem do kawy i luksusowymi paczkami. Odwiedziła już ośrodek zdrowia, gdzie niechętna do pomocy recepcjonistka oznajmiła jej, że Margaret Krukowski nie była pacjentką i że ona nie może powiedzieć, czy ani gdzie Margaret leczono na raka. Vera wypła herbatę i zjadła kanapkę. Czuli się w porządku, bo wybrała razowy chleb. Kiedy skończyła jeść, zadzwoniła do Holly.

– Muszę namierzyć lekarza Margaret. Mogłabyś to dla mnie zrobić, Hol?

I Holly, nadal pogodna, bo pełno jej było w lokalnych mediach, zgodziła się bez szemrania.

Skończyły się godziny szczytu w porze lunchu i nikomu nie zawadzało, że Vera nadal tam siedzi. Podłoga spływała stopionym śniegiem naniesionym przez ludzi na butach. Czekając na Joego Ashwortha, uśmiechnęła się, myśląc, jak mu poszło w schronisku dla kobiet. Zjadły go żywcem?

Wszedł, kołnierz miał podniesiony ze względu na pogodę. Zawsze wyglądał elegancko. Nawet gdyby go wezwała o czwartej rano, pojawiłby się w świeżo odprasowanej koszuli i garniturze. Coś tu miała na rzeczy protestancka etyka pracy? Albo żona, która nie miała nic lepszego do roboty, jak dbać o męża? Vera zamówiła kolejny kubek herbaty i parę bułek drożdżowych. Potem nakierowała myśli z powrotem na sprawę.

– Coś, co się przyda?

– Tak, chyba tak. – Joe nalał sobie herbaty. – Margaret pracowała w Przystani rano tego dnia, kiedy zginęła. Ktoś ją tam podwiózł. Jedna z kobiet widziała, jak wysiada z samochodu.

– Ale nie widziała kierowcy... – Vera знаła Ashwortha. Nie byłby w stanie zatrzymać dla siebie dobrych wiadomości, gdyby je miał.

– Zastanawiam się, czy to nie był ksiądz – powiedział Joe. – Kościół jest zaangażowany w to schronisko.

– Tak, może. – Ale Peter Gruskin nie wspominał o tym, a on nie jest z takich, którzy ukrywaliby swoją dobroczynność.

– Dziewczyna naprawdę widziała samochód. Starego srebrnego golfa. Powtórnie rejestrowanego. – Joe rozkroił swoją drożdżówkę i schludnie posmarował ją masłem. Vera swoje drożdżówki już zjadła. – Ona jest była kryminalistką, świrowała na tle samochodów. Karana za przywłaszczenie, jazdę bez ubezpieczenia, niebezpieczną jazdę. Sądzę, że wie, co mówi.

Vera próbowała sobie przypomnieć, czy widziała taki samochód na Harbour Street, ale nic jej nie przychodziło do głowy. George Enderby, reprezentant wydawnictwa, jeździłby czymś nowszym i lepszym. Zawsze się jej wydawało, że renault, zaparkowany przed pensjonatem, należał do Kate Dewar.

– Sprawdź, czym jeździ ojciec Gruskin.

– Jest jeszcze jedna kobieta i one mówią, że należałoby z nią porozmawiać. – Joe papierową serwetką otarł okruszki z palców. – Dee Robson. Ją też sprawdziłem. Notowania ciągną się przez dwadzieścia lat. Awantury po pijanemu. Nagabywanie. Kradzieże sklepowe. Mieszka w mieszkaniu na Percy Street, ale najczęściej można ją spotkać w Coble, gdzie przepija swój zasilek, kiedy znajdzie klienta na tyle głupiego, żeby kupić jej drinka.

– Chyba ją widziałam. – Vera przypomniła sobie kobietę w kabaretkach i drwiny, które poleciały za nią z pubu.

– Co Margaret mogłaby mieć z nią wspólnego?

– Mieszkała w Przystani i Margaret zaprzyjaźniła się z nią. Kiedy Dee wyrzucono ze schroniska za to, że się upijała i sprowadzała mężczyzn, nadal występowała w roli mentorki.

– Margaret była chora – powiedziała nagle Vera, bo uświadomiła sobie, że jeszcze nie przekazała tej informacji

Joemu. Chodziło jej to po głowie od sekcji, a nawet teraz, kiedy go słuchała. – Prawdopodobnie śmiertelnie chora. Rak jelit. Paul Keating uważa, że długo i tak by nie żyła. Nie wiem, czy była u lekarza. Ale jeśli wiedziała... Była religijna, prawda? Może była w tym myśl uporządkowania swoich spraw. – Klepnęła dłońmi o stół przed sobą. – Muszę wiedzieć, gdzie była, zanim tamtego dnia wsiadła do metra. – Nagle wstała.

– Dokąd idziemy? – Joe nie dokończył herbaty.

– Spotkać się z Dee Robson. Alkoholiczka i dorywcza pracownicą sektora seksualnego. – Vera podeszła po mokrej podłodze do lady i zamówiła torbę ciastek na wynos.

Śnieg na ulicy zamienił się w szarą breję, mżyło, padał śnieg z deszczem. Mieszkanie znajdowało się w pudełkowatym bloku z lat sześćdziesiątych, zbudowanym na końcu ulicy domów z lat trzydziestych, a Dee mieszkała na samej górze, na trzecim piętrze. Nie było tu tak brudno jak w śródmiejskim wieżowcu, ale w całej klatce schodowej były graffiti i rozchodził się nieuchronny zapach moczu i wilgotnego betonu. Drzwi wyglądały tak, jakby ostatnio ktoś chciał je wyłamać. Nazbyt entuzjastyczny klient, czy coś bardziej złowrogiego? Joe zapukał. Nic. Vera zabębniła w drzwi otartą dłonią i krzyknęła.

– No dalej, kotku. Wpuść nas. Nie zrobimy ci krzywdy.

Za drzwiami dał się słyszeć ruch, ale nadal się nie otwierały. Vera wyciągnęła z torby klucze Margaret i wypróbowała ten, którego do tej pory nie zdołała zidentyfikować. Drzwi się otworzyły. A więc jedna tajemnica rozwiązana. Dee Robson stała tuż za drzwiami, w rozkroku, gotowa do walki. Kiedy zobaczyła Verę, powiedziała głośno z oburzeniem sprawiedliwego.

– Hej, paniusiu, nie można tak sobie wchodzić do mojego domu!

Vera nie zareagowała, rozejrzała się wokół siebie. Gdyby nie to, że wiedziała, jak sprawy stoją, pomyślałaby, że to opuszczone mieszkanie. Panował tu ten sam zapach co na klatce schodowej. Pleśń porastała miejsca, w których ściany łączyły się z ramami

okiennymi. Na lepkiej pod stopami podłodze nie było dywanu. Przez otwarte drzwi zobaczyła sypialnię. Był w niej poplamiony dywanik i podwójny materac przykryty różową kołdrą. Tam Dee musiała zabawiać mężczyzn tak zdesperowanych albo tak pijanych, że dali się namówić na wizytę u niej w domu.

Chwilę stali w korytarzu i patrzyli na siebie.

– No? – zapytała kobieta. – Kto wy, kurwa, jesteście?

Ubrana była w spodnie od dresu i bluzę z kapturem, które śmierdziały, jakby sypiała w nich od wielu dni. Nie zmyła makijażu z poprzedniego wieczoru i tusz do rzęs spływał jej po policzkach. Musiała płakać.

– Słyszałaś o Margaret – powiedziała Vera.

Dee pokiwała głową.

– Mówili o tym w Coble wczoraj wieczorem. Potem to szło w wiadomościach dziś rano. Jesteście z policji. – To nie było pytanie.

Powłokła się do salonu, poszli za nią. Znów naga podłoga, pod ścianą stół kuchenny pokryty laminatem, przy nim dwa plastikowe stolki. Był tam fotel, sprężyny widać było przez pomarańczowe obicie, a w rogu stał mały płaskoekranowy telewizor.

– Margaret dała ci telewizorek. – Vera kiwnęła głową w tę stronę.

– Tak. Powiedziała, że i tak nie ogląda telewizji, a ja szalałam w domu bez tego. – Kobieta nadal była ostrożna. – Nie świsnęłam go, jeśli tak myślicie.

– Jesteśmy tu po to, żeby zapytać o Margaret. Była twoją przyjaciółką, a ty może będziesz mogła pomóc nam znaleźć tego, kto ją zabił. – Vera powiedziała to łagodnym głosem.

Joe Ashworth stał w drzwiach, jakby się obawiał, że może coś złapać. Odkąd wstąpił do policji, musiał wchodzić do setek obskurnych mieszkań, ale styl życia niektórych ludzi nadal go przerażał.

Poczekaj tylko, jak twoja Jessie zostanie studentką. Vera uśmiechnęła się pod nosem.

– Dee, masz herbatę? – zapytała radośnie. – Mleko? Mam wielką ochotę na filiżankę herbaty i przynieśliśmy ciastka. Nigdy nie idę w gości z pustymi rękami.

Kobieta wyglądała, jakby nie rozumiała ani słowa.

– Chodź, Joe. Nastaw czajnik. A jak nie będziesz mógł znaleźć tego, co trzeba, wyskocz do sklepu. Mamy zamiar pogawędzić z Dee.

– Mleko jest! – Dee nagle się ożywiła. – Margaret przyniosła je, kiedy wpadła z wizytą. Zawsze przynosi mleko. Wie, że zapominam.

– Kiedy wpadła ostatnim razem? – zapytała Vera. Usiadła na stołku. Dee wybrała fotel. Z kuchni dobiegł odgłos odkręconego kranu. Joe mył kubki.

– Wczoraj, w porze lunchu. Powiedziała, że jedzie do miasta.

– Mówiła dokąd? – Vera próbowała wyobrazić sobie elegancką, dobrze ubraną kobietę, którą Joe opisał na podstawie tego, co zobaczył w pociągu, jak pije herbatę z niedomytych kubków i rozmawia z Dee.

– Nie, tylko że ma sprawy do załatwienia.

Vera pomyślała, że to może znaczyć wszystko. Wizyta u adwokata? U księgowego?

– Jak wyglądała? – zapytała Vera. – Spokojna? Załamana? Zła?

Ale Dee pokręciła głową, jakby uczucia innej osoby jej nie mogły dotyczyć.

Wszedł Joe, przyniósł herbatę. Vera położyła torebkę z ciastkami i rozdarła papier, żeby Dee zobaczyła, co jest w środku. Joe popatrzył na stół, ale wolał się oprzeć o drzwi.

– A zanim odpowiesz – przynagliła ją Vera – kiedy ostatni raz coś razem robiłyście?

– W ubiegłym tygodniu. – Usta miała pełne kremu. Joe odwrócił wzrok. Wybredny, pomyślała Vera. To słowo go określa. – Poszliśmy do miasta na zakupy. – Nagle ożywiła się i Vera ze smutkiem pomyślała, że wyprawa do Newcastle musiała być jasnym punktem w życiu Dee.

– Margaret robiła ci zakupy?

– Tak, mówiła, że potrzebuję nowej kurtki, bo się przeziębę. Kościół ma fundusz. Głównie dla dziewczyn z Przystani – na te z zewnątrz nie mogą sobie pozwolić – ale Margaret mówiła, że nie ma powodu, żebym trochę z tego nie skorzystała.

– Dlaczego opuściłaś Przystań? – Joe nie mógł się powstrzymać, żeby nie oskarżać. Gdyby dać mu choćby minimalną szansę, przywróciłby domy pracy przymusowej.

Dee coś mruknęła, Vera ledwie zrozumiała, że utkwiała na zadupiu i że jakaś Jane to krowa, która się na nią uwzięła.

– Opowiedz mi, jak było na tych zakupach – powiedziała Vera. Twarz Dee znów pojaśniała.

– Pojechaliśmy metrem. Obiad zjadliśmy w knajpcie. Jadłam rybę z frytkami. Margaret chciała tylko kanapkę. Kurtkę kupiliśmy w New Look. Elegancka jak cholera. – Zaczęła opisywać kurtkę. Gdyby ją chociaż trochę zachęcić, wyjęłaby ją, żeby pokazać.

Vera pozwoliła jej chwile mówić, potem przerwała.

– To były tylko zakupy? Nie poszłyście jeszcze gdzieś? Do biura? A może Margaret spotkała kogoś, kogo znała?

Pauza. Ogromne skupienie.

– Z nikim się nie spotkała, ale kogoś zobaczyła.

– Dee, powiedz nam, co się stało. – Vera sięgnęła po waniliowe ciastko. – Pamiętaj, żadnych historyjek, tylko prawda.

– Szłyśmy Northumberland Street i po drugiej stronie ulicy był ten człowiek. Margaret powiedziała, żebym zaczekała tam, gdzie jestem, i pobiegła za nim. Ale był od niej szybszy i nie mogła go złapać.

– Jak ten człowiek wyglądał? – Vera nie wiedziała, czy można zaufać opisowi przedstawionemu przez Dee. A już na pewno nie mogła sobie wyobrazić tej kobiety jako świadka przed sądem. No i to ciastko waniliowe, które niebezpiecznie jest jeść bez talerza i widelca. Zwróciła się do Joego.

– Czy w kuchni jest nóż? Cała się pobrudzę kremem, jeśli tego nie pokroję.

Dee wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Tak naprawdę, to go nie widziałam. Nie patrzyłam. Po prostu uciekł, kiedy Margaret go zobaczyła.

– Młody był, prawda? Jeśli szybko biegł?

Dee znów się zamyśliła.

– Był szybszy niż Margaret, ale to starsza pani. Prawie każdy może być od niej szybszy.

– I nic nie możesz mi o nim powiedzieć.

– Jak mówiłam, Margaret tylko przebiegła przez Northumberland Street i krzyknęła do mnie, żebym została tam, gdzie jestem. Zaraz wróciła. Zapytałam, co to za facet, ale nie chciała mi powiedzieć. Myślałam, że pójdziemy na herbatę, ale ona stwierdziła, że czas wracać do domu. – Dee spojrzała na Verę. Oczy pandy znad brzegu kubka. – Margaret była zadyszana po biegu. Przez minutę myślałam, że umrze.

Wrócił Ashworth z nożem do chleba i Vera pokroiła ciasto na kawałki, które dawały się włożyć do ust. Wszyscy milczeli. Na zewnątrz mieszkania zastukały czyjeś kroki. Piętro niżej trzasnęły drzwi.

– Dee, gdzie byłaś wczoraj po południu? – Vera mówiła cicho, jakby nie była bardzo zainteresowana. Żadnego nacisku. – Kiedy Margaret sobie poszła.

– Poza domem. – Zacisnęła usta jak pułapkę.

– Musimy to po prostu wiedzieć. – Vera nachyliła się do przodu, w jej stronę. – Nikt nie będzie na ciebie zły, jeśli byłaś całe popołudnie w Coble. Nie nasza sprawa. Ale musimy wiedzieć.

– Byłam w Coble – przyznała Dee. – Potem z kimś się spotkałam.

– Z mężczyzną?

Skinęła głową.

– Dokąd z nim poszłaś? Przeprowadziłaś go tutaj?

– Poszliśmy do niego.

– A gdzie to jest? – Vera pomyślała, że ta kobieta zwariowała. To było dla niej groźne. Pozwoliła sobie dać wyraz

zaniepokojeniu. – Kotku, nie powinnaś chodzić z nieznanymi mężczyznami. To nie jest bezpieczne.

– Nie znalazłam go. Ale widywałam.

– A jak się nazywa?

– Jason. – Dee zachowywała się jak nadąsane dziecko. – Nie wiem, jak się nazywa. I nie wiem, gdzie mieszka.

– Gdzieś w Mardle?

– Nie. Poszliśmy do metra. Nie pamiętam. – Podniosła wzrok, nagle zrobiła się bardzo młoda. – Byłam trochę zalana. – Przerwała. – Kupił mi bilet! – Jakby to usprawiedliwiało wszystko.

– Gdzie wysiedliście? – zapytała Vera. – Na której stacji metra?

– Nie wiem! Gdzieś po drodze do miasta. – Jakby poza Mardle i bezpośrednią okolicą była na obcej ziemi. Vera zdała sobie sprawę, że Dee prawdopodobnie nie umie czytać.

– A potem? – zapytał Joe. – Co się stało potem? – Odepchnął się od drzwi, żeby wziąć udział w rozmowie. Dee po raz pierwszy dobrze mu się przyjrzała i chyba spodobało się jej to, co zobaczyła. Od tej chwili wszystkie odpowiedzi kierowała do niego.

– Wróciłam. Wydałam trochę pieniędzy, które mi dał. Kupiłam jakieś chipsy i wróciłam do pubu.

– Wrócił z tobą?

– Nie! – Była zgorzonna. – Myślałam, że tak będzie, że spędzi ze mną wieczór, ale on tylko wypuścił mnie ze swojego mieszkania i sama musiałam znaleźć stację metra. Padał śnieg, było kurewsko zimno.

– Która była godzina? – spytał Joe.

– Nie wiem. Ale było ciemno.

– I całą drogę do Mardle przejechałaś metrem? – zapytał Joe; Vera wstrzymała oddech.

– Nie, pociąg zatrzymał się w Partington. Ze względu na pogodę. Musieliśmy wszyscy wysiąść i złapać autobus. Nie nadjeżdżał całe wieki. Totalna, kurewska strata czasu za parę funtów.

– W którym byłaś wagonie?

Popatrzyła na Joego, jakby zwariował.

– Co?

– W metrze? Byłaś bliżej początku czy końca?

– Nie pamiętam! A co?

– Bo tam zasztyletowano Margaret – powiedziała cicho Vera. –

W metrze, które zatrzymał śnieg.

– Nie widziałam jej! – Przeżona Dee odwróciła się do niej. –

Gdybym ją widziała, mogłabym ją uratować.

Holly namierzyła lekarza Margaret, miał praktykę w Gosthfor. Sprawna recepcjonistka stwierdziła, że Margaret była na wizycie kilka razy w ciągu ostatniego miesiąca, ale nie w to popołudnie, kiedy zmarła. Jeśli chcą więcej szczegółów, muszą umówić się, przyjść do gabinetu i porozmawiać z lekarzem. Kiedy Holly zadzwoniła do Very, żeby jej o tym powiedzieć, oczekiwała, że przynajmniej ktoś jej podziękuje za całą tę pracę, ale szefowa była chyba rozczarowana.

– No cóż, nic z tego, ale ja naprawdę muszę wiedzieć, co ta kobieta robiła wczoraj w Gosforth. – Po chwili dodała: – A co z innymi sprawami?

– Konferencja prasowa chyba się udała, ale, szefowo, strasznie się robi. To koszmar zestawić wszystkie informacje, które zebraliśmy do tej pory, ale jestem na bieżąco. Nie wydaje mi się, żeby przed wiadomościami z wpół do siódmej zalała nas kolejna fala telefonów.

Było już późne popołudnie. Po telefonach, które rozdzwoniły się w związku z konferencją prasową, Holly spędziła kolejne kilka godzin w komisariacie, nanosząc nazwiska na wielkie płachty papieru milimetrowego. Próbowwała elektronicznie ułożyć miejsca pasażerów wagonu metra, ale w końcu najlepsze okazało się rozłożenie papieru milimetrowego na dwóch zestawionych biurkach, żeby zaznaczyć na wielkich kartach miejsca siedzące i stojące. Nadal było wiele luk. Niektórych ludzi, których zapamiętał Joe – migdałace się dzieciaki i imprezujących biznesmenów – nie udało się nanieść. Inni pasażerowie widzieli, jak Margaret wsiadała do pociągu w Gosforth, ale nie zauważyli, żeby ktoś za nią szedł po peronie.

Na drugim końcu linii na chwilę zapadła cisza i Holly

pomyślała, czy nie dostanie znowu opieprzu za narzekanie. Dla niej każdy kontakt z Verą Stanhope był jak podchodzenie do wielkiego i nieprzewidywalnego psa. Nie było wiadomo, czy zaliże człowieka na śmierć, czy odgryzie mu kawałek nogi.

– Chcesz odpocząć od pracy za biurkiem?

– Nie miałabym nic przeciwko temu! – Holly pożałowała tych słów niemal zaraz po tym, jak je wypowiedziała. Kłopot z Verą polegał na tym, że wykorzystywała okazje. Mogła posłać Holly na szukanie wiatru w polu, zupełnie bez znaczenia dla śledztwa.

– Zamień słówko z profesorem Michaeliem Craggsem – powiedziała Vera. – Nie widzę w nim podejrzanego, ale zahacza się do śledztwa. Zatrzymuje się regularnie w pensjonacie, gdzie mieszkała i pracowała Margaret, i może dostarczyć jakiegoś alibi Malcolmowi Kerrowi.

– A kto to jest Kerr? – Holly znowu pomyślała, czy nie umknął jej uwagi jakiś fragment odprawy, i czekała na wrzask za brak uwagi.

– Przepraszam, Hol. Powinam wyjaśnić. Kerr to szkutnik. Jest właścicielem zaniedbanego podwórka przy porcie i mieszka na Percy Street tuż za torami metra. Margaret Krukowski pracowała dla niego, kiedy była młodą kobietą. Dzisiaj rano Kerr pojawił się u Kate Dewar i był trochę wytracony z równowagi. Kate odniosła wrażenie, że on i Margaret mogli być kochankami. Przy okazji, on mówi, że go nie było, kiedy zasztylowano Margaret, bo wypłynął na Morze Północne, żeby zbierać próbki z profesorem Craggsem. Sprawdź to alibi, ale dowiedz się też, czy Craggs może nam coś powiedzieć o ofierze. Do tej pory nie znaleźliśmy rodziny ani bliskich przyjaciół, a profesor jest od lat stałym gościem pensjonatu przy Harbour Street.

Holly odłożyła słuchawkę, wstrząśnięta, bo szefowa ją przeproszała i wyszukała numer telefonu na uniwersytet. Powiedziano jej, że profesora nie ma tego dnia na miejscu, ale pracuje z grupą studentów w Dove Marine Laboratory w Cullercoats. Wzięła z garażu samochód i pojechała na wybrzeże.

Cullercoats leży na wybrzeżu, na południe od Mardle, w pięknej zatoczce między szerokimi zakosami plaż w Tynemouth i Whitley Bay. Parę restauracji i winiarnia z widokiem na morze. Latem jedzono tu i pito przy stolikach na trotuarze, przyglądając się dzieciom bawiącym się na plaży. Holly spędzała w tej wsi szczęśliwe wieczory z przyjaciółmi. Teraz, kiedy światło przygasało, a od morza wiał zimny wiatr, miejsce było szare i ponure. Zaparkowała w bocznej uliczce i poszła główną ulicą ciągnącą się wzdłuż brzegu. Światło paliło się na końcu moło. Z rzadka jakiś samochód rozbrzygiwał pokryte lodem kałuże, ale na ulicy nie było nikogo.

Laboratorium mieściło się w willi z czerwonej cegły z nowoczesną dobudówką stojącą niemal na plaży. W środku studenci kończyli pracę, wyjmowali płaszcze i kurtki i pakowali wyposażenie do toreb. Craggs był miłym człowiekiem z Lancaster, po sześćdziesiątce. Holly pomyślała, że jest za stary i za ciężki, żeby tłuc się małymi łódkami. Znalazła grupę w małym pokoiku wyposażonym w stoły laboratoryjne i metalowe stołki. Profesor stał z przodu, zęgnął się z młodymi ludźmi i życzył im wesołych świąt. Holly poczuła ukłucie żalu. Ukończyła studia, zanim wstąpiła do policji. Podobał się jej czas spędzony na uniwersytecie. W końcu, może byłaby lepsza jako naukowiec. Ale rzeczywistość zaskrzeczała. Nie, zanudziłabym się na śmierć.

Podniósł wzrok i zobaczył ją.

– Cześć! Mogę coś dla pani zrobić? – Był przyjacielski i chyba naprawdę chciał pomóc. Ale wobec Holly starsi mężczyźni rzadko byli nieprzyjaźnie nastawieni. Pochlebiała im uwaga młodej, atrakcyjnej dziewczyny, nawet kiedy dowiadywali się, jak zarabia na życie. Teraz, kiedy w pokoju nie było studentów, przedstawiła się.

– O co chodzi? – Bez nerwowości. Odwrócił się, żeby popatrzeć na rząd próbek za sobą.

– Nie słyszał pan o Margaret Krukowski? – W końcu nietrudno było w to uwierzyć. Studentów nie interesowałaby śmierć kobiety, która w ich oczach była niesamowicie stara. Szykowali

się do końca semestru – to było najwyraźniej ostatnie seminarium przed wyjazdem na przerwę świąteczną – i wszystkich zajmowała głównie pogoda. A profesor Craggs nawet teraz skupiony był na swoich badaniach. Przeniósł uwagę na mikroskop stojący przed nim na stole, jakby nie mógł się doczekać, kiedy do niego powróci. Marszczył brwi.

– Margaret od Kate Dewars? Nie. Co się stało?

– Została zamordowana – powiedziała Holly. – Wczoraj po południu. Zasztyletowana, kiedy jechała metrem do domu.

Spodziewała się żalu, strachu. Chyba nawet obcy ofierze ludzie myślą, że taka reakcja jest wymagana, kiedy dowiadują się o nagłej śmierci. Ale reakcja Craggsa była dramatyczna. Krew odpłynęła mu z twarzy, usiadł nagle na stojącym obok niego stołku.

– Biedna Margaret. Jaka straszna śmierć.

– Dobrze ją pan znał?

Minęła chwila, zanim odpowiedział.

– Od czasów studenckich prowadzę badania na wodach w okolicy Mardle. Od otwarcia pensjonatu przy Harbour Street zatrzymywałem się w nim co najmniej na jeden nocleg w miesiącu. Kate i Margaret były dla mnie prawie drugą rodziną. Kate musi być załamana. Mimo że teraz ma nowego partnera. Nie wiem, jak sobie da radę bez Margaret. – Przerwa. – Wie pani, kto ją zabił? Nie rozumiem, dlaczego pani sądzi, że mógłbym pomóc. – Siedział z łokciami na stole. Holly zauważyła, że jego niebieski sweter robiony na drutach został ładnie zacerowany. Z przodu była na nim plama, chyba po jajku. Wyglądał na roztargnionego profesora z opowiadankami dla dzieci.

– Rozmawiamy z wszystkimi stałymi gośćmi pensjonatu.

– Oczywiście.

– Kiedy ją pan widział po raz ostatni? – Holly usiadła bez zaproszenia. Siedzieli naprzeciwko siebie po obu stronach stołu laboratoryjnego. W powietrzu czuć było chemikalia i coś organicznego.

– Wczoraj, przy śniadaniu. Jak zwykle posprzątała mój stolik.

– Jaka była?

– Taka jak zawsze. – Craggs bawił się obrączką ślubną, obracał ją na palcu. – Uprzejma, pomocna, radosna. Wcześniej zjadłem śniadanie, bo czekał mnie dzień pełen pracy. Jeśli byli inni goście, nie pojawili się do mojego wyjścia.

– Nie odniósł pan wrażenia, że była smutna albo zaniepokojona?

– Nie, ale gdyby była, pewnie bym nie zauważył. Nieczęsto zwracamy uwagę na ludzi, którzy się nami zajmują, prawda? Chociaż tęsknilibyśmy za nimi, gdyby ich nie było.

Holly pomyślała, że to dziwny człowiek. Zastanawiała się, czy jest taki bystry, jak powinien być nowoczesny profesor. Nie potrafiła go sobie wyobrazić, jak walczy o swoje z uniwersyteckimi politykierami albo ściąga zagranicznych studentów gotowych płacić wysokie czesne.

– Mamy problem ze znalezieniem jej rodziny – powiedziała. – Czy wspominała panu o kimś?

Znowu minęła chwila. Zastanawiał się, jak odpowiedzieć.

– Przez te wszystkie lata, kiedy zatrzymywałem się przy Harbour Street, tylko raz odbyłem dłuższą rozmowę z Margaret. Miała mieszkanie na górze i rzadko schodziła do gości, chyba że do pracy. Ale pewnego wieczoru razem wracaliśmy do domu. Przechodziła przez ulicę, chyba z kościoła, a ja byłem zziębnięty po dniu spędzonym na wodzie. Zaprosiłem ją na drinka i razem siedzieliśmy w tym ciemnym, ponurym salonie. – Przerwał. – Chyba mówiłem o swojej pracy, o rodzinie. Jestem żonaty od czterdziestu lat i mam wnuki, z których jestem nedorzecznie dumny. Ludzie szczęśliwi mogą wyglądać na próżnych i nagle przyszło mi do głowy, że ona nie jest szczęśliwa. Że ta spokojna pracowitość jest na pokaz, a pod spodem czai się straszna rozpacz. Zapytałem ją o jej męża. Czy jeszcze go widuje? „O nie”, powiedziała. „Odszedł dawno temu”. Potem dodała coś dziwnego. „Zostały mi tylko tajemnice”. Nie pytałem, co miała na myśli. Domyślałem się, że mi nie powie.

Holly robiła szczegółowe notatki. Niektóre nie miały dla niej

większego znaczenia, ale Vera była w pensjonacie i te słowa będą miały dla niej jakiś sens. Znów zwróciła się do profesora.

– Wczoraj był pan z Malcolmem Kerrem?

– Tak. Zabrał mnie na Coquet Island. Badam temperaturę wody i wpływ niewielkich różnic ciepłoty na mikroorganizmy, a co za tym idzie na wszystkie stworzenia stojące wyżej w łańcuchu pokarmowym. Zbieraliśmy próbki. To bardzo drobiazgowa praca, ktoś mógłby powiedzieć monotonna. Zajęła nam czas do popołudnia.

– Nie ma pan jakiegoś studenta, który mógłby za pana robić pracę polową? – Holly chodziła kiedyś z chłopakiem, który robił doktorat i zawsze narzekał, że jest chłopcem na posyłki dla swojego promotora.

Craggs się roześmiał.

– Jestem, jak to mówią, maniakiem kontroli. Chcę panować nad własnymi danymi. – Nadal kręcił obrączką na palcu. – Poza tym lubię być na wodzie. Głównie dlatego zajmuję się tą tematyką. Pasja do ekologii i otwarte przestrzenie. W przyszłym roku mam przejść w stan spoczynku. Nie bardzo wiem, co ze sobą pocznę. Może napiszę książkę, jak wszyscy emerytowani naukowcy.

– Musi pan dobrze znać Malcolma Kerra?

– Spędziliśmy razem dużo czasu, odkąd zabrałem się do tych badań. Zacząłem z nim pracować, kiedy robiłem magisterium, a interesem kierował jego ojciec. Z Malcolma był wtedy trochę narwaniec, w sekundę tracił cierpliwość. Parę razy wracał rano z podbitym okiem, kiedy wdawał się w bójki z chłopakami w Coble. – Craggs się uśmiechnął. – Ustatkował się, jak większość z nas, kiedy znajdziemy dobrą kobietę, i dopiero ostatnio sprawy potoczyły się dla niego niepomyślnie. Żona od niego odeszła, stracił dom i rzadko widuje dzieci. Zaczął pić za dużo jak na niego. W niektóre dni przychodził do pracy i wyglądał, jakby spał w ubraniu, które miał na sobie. Stracił pracę sternika na łodzi ratunkowej, bo załoga uznała go za niewiarygodnego. Ale nadal jest doskonałym wodniakiem i skutnikiem.

Holly zastanawiała się, czy coś z tego jest istotne.

– O której wróciliście z Kerrem do Mardle wczoraj po południu?

– Koło trzeciej. Miałem nadzieję, że będę dłużej na wodzie, ale prognoza pogody była koszmarna. Początkowo chciałem spędzić kolejną noc na Harbour Street, ale postanowiłem pojechać do domu. Mieszkamy w Tyne Valley i to jest niezła przeprawa. – Znowu popatrzył na zegarek. – Przepraszam, naprawdę powinienem jechać do domu. Chodzi o szkolny teatr wnuków. Obiecałem, że wrócę na czas.

Holly poszła z nim do drzwi i czekała, aż je zamknie na klucz. Jego wóz, brudna maszyna z napędem na cztery koła, stał na pochylni. Było już ciemno.

– Jakim samochodem jeździ Malcolm Kerr? – Pytanie zadane było od niechcienia, w ostatniej chwili, jakby w istocie nie było ważne. Joe wspomniał, że Margaret w dzień przed śmiercią podrzucono do Przystani starym samochodem. Popisałaby się przynajmniej jedną konkretną informacją z całego dnia pracy zespołu. Holly wiedziała, że Joe sprawdzi to w rejestrze pojazdów i kierowców, ale miło by było wiedzieć, zanim on się dowie.

Craggs zatrzymał się na chwilę z ręką na drzwiach samochodu.

– Starym, poobijanym golfem. Jego żona zabrała nową toyotę. To kolejne źródło zgorzknienia.

Holly uśmiechnęła się w ciemności. Margaret podwieziono do Przystani golfem.

– Jak to się stało, że Malcolm Kerr tak źle wyszedł na rozwodzie?

Raczej wyczuła, niż zobaczyła, że wzruszył ramieniem.

– Może dlatego, że jej nowy mąż jest prawnikiem? – Przerwał, jakby się zastanawiał, czy powinien mówić dalej. – Albo dlatego, że raz oskarżyła Malcolma, że ją uderzył.

– A uderzył?

Znów wzruszenie ramion.

– Bo ja wiem? Może. Nie jest najspokojniejszym z ludzi. Jak się

napije, może być do tego zdolny.

Gdy Holly wsiadła do swojego samochodu, zadzwoniła do Joego Ashwortha i Very, ale żadne z nich nie odbierało. Poczła ukłucie zwykłej zazdrości wobec Joego i Very – że oni tworzą zespół, a ją celowo wykluczają – ale spróbowała to zignorować. Zostawiła każdemu z nich wiadomość głosową, że chyba zidentyfikowała osobę, która podrzuciła Margaret do schroniska na dzień przed jej śmiercią. Nawet w samochodzie poczuła zapach jedzenia z pobliskiej włoskiej restauracji i nagle stwierdziła, że jest głodna, ale nie uległa pokusie. Łatwo jest przybrać na wadze podczas ważnego śledztwa – większość detektywów żywi się pizzami na wynos i czekoladą – a ona wkrótce wróci do domu i matka też ją nakarmi.

Pojechała z powrotem do Kimmerston. W komisariacie koledzy zebrali się w sali narad wokół telewizora, czekając na materiał z briefingu prasowego. Przyszła w sam raz, żeby zobaczyć napisy początkowe. Rozległy się wiwaty, kiedy pokazano jej zdjęcie na samym wstępie. Doszło do tego mnóstwo sprośnych komentarzy, kiedy program się skończył. Holly pomyślała, że dobrze dała sobie radę. Wypadła jak zawodowiec i niczego nie chlapnęła. Ledwie skończył się fragment z konferencji prasowej, rozdzwoniły się telefony.

Vera i Joe stali w wejściu do bloku przy Percy Street, czekali, aż przejdzie przelotny deszcz. Po drugiej stronie ulicy ktoś tak głośno puszczał z CD kolędy, że muzykę słyszeć było na ulicy. Pogues, potem Slade. Vera zastanawiała się, co Dee Robson będzie robić w Boże Narodzenie i czy ojciec Gruskin okaże się dobrym chrześcijaninem i zaprosi ją do siebie. Ta myśl była tak nieprawdopodobna, tak niestosowna, że roześmiała się na głos. Pokręciła głową, żeby ją odpędzić, i pomyślała, że starsze panie z kongregacji będą walczyć między sobą o to, która ugóści księdza kolacją.

– Co o tym myślisz? – Joe przestępował z nogi na nogę, ręce trzymał w kieszeniach kurtki.

– Dee chyba nie da sobie sama rady, bez wsparcia Margaret. – Vera wiedziała, że nie o to Joemu chodziło. – Biedna dziewczyna. Może Przyszań przyjmie ją z powrotem. Powinniśmy zadzwonić do służb socjalnych.

Joe wyglądał na zniecierpliwionego. Może myślał, że jej współczucie dla Dee jest nie na miejscu, ta kobieta go zniesmaczyła.

– Co powinniśmy teraz zrobić?

– Wieczorną odprawę. Potem jadę do domu. – Nagle poczuła się stara i zmęczona. – Muszę wziąć gorącą kąpiel i wcześniej położyć się do łóżka. – Popatrzyła na niego z nadzieją. – Miałbyś ochotę wpaść na szybką przegryzkę po drodze do rodziny? W zamrażalniku coś powinno być. W ubiegłym tygodniu Joanna podrzuciła potrawkę cielęcą. Mięso z własnego chowu. Szybko się podgrzeje. I będzie okazja, żeby porozmawiać w ciepłe o śledztwie.

Stał przez chwilę z rękami w kieszeni.

– To nie jest dla mnie po drodze do domu. A w twoim domu nigdy nie jest ciepło. – Ale wyczuła, że słabnie.

Pojechała przed nim i rozpałała kominek, zanim się pojawił. Potrawkę wyjęła już z mikrofali, doprawiała ją na patelni. Wiedziała, że ją poczuje, gdy tylko stanie w drzwiach. Na stole pod oknem stały butelki z piwem Wylam. Wychowała się w tym domu na wzgórzach. Jej matka umarła, kiedy Vera była jeszcze dzieckiem, i opiekowała się Hectorem, swoim ojcem – człowiekiem, który nadal kpił z niej z za grobu – aż do swojej śmierci. Dom był niefunkcjonalny i paskudny, ale wiedziała, że nigdy się nie przeprowadzi. Miała nadzieję, że i ona tutaj umrze.

W kuchni odtworzyła sobie odprawę. To było show Holly. Verze nie dawała spokoju informacja, że Malcolm Kerr jeździ starym golfem i że wrócił do Mardle około trzeciej. Kerr nie miał zatem alibi na czas morderstwa. A skoro podrzucił Margaret do Przystani, to okłamał Verę, mówiąc, że ostatnio się z nią nie widział i nie rozmawiał.

Joe wszedł bez pukania. Vera skinęła głową w stronę piw.

– Weź sobie jedno, żeby dotrzymać mi towarzystwa. – Kolejny rytuał. Joe i jej sąsiedzi hippisi byli jedynymi ludźmi, którzy przychodzili do niej do domu. Zawsze częstowała ich piwem.

Potrawkę jedli łyżkami z misek trzymanyh na kolanach. Było za zimno na jedzenie, a stół stał za daleko od kominka. Bochenek chleba leżał na stoliku między nimi. Pili piwo prosto z butelek. Zanim zaczęły omawiać sprawę, Vera otworzyła drugie. Joe umył naczynia w kuchni – Vera zostawiłaby je na podłodze. Wrócił, drżąc z zimna.

– Tobie nie potrzeba lodówki. Nie pomyślałaś kiedyś, żeby założyć centralne ogrzewanie?

– Może, jak przejdę na emeryturę. Nie ma sensu, kiedy mnie tu nigdy nie ma. – Hector uważał, że centralne ogrzewanie wysysa siły z człowieka.

– A zatem – zaczęła. – Margaret Krukowski. Jak daleko

zaszliśmy? – W jej mniemaniu to było największe szczęście. Skomplikowana sprawa i piwo. I ktoś, z kim mogłaby podzielić się swoimi pomysłami: Joe Ashworth. Jego żona była ambitna za niego, a on w każdej chwili mógł awansować. Tylko czy naprawdę można się czymś cieszyć, jeśli się wie, że w każdej chwili można to stracić?

– Margaret Krukowski. – Ashworth powtórzył te słowa jak refren piosenki. – Niezwykle dbała o prywatność. Dlaczego? Bo ją bardzo ceniła, czy może miała coś do ukrycia?

– George Enderby, ten reprezentant handlowy, który zatrzymał się w pensjonacie, myśli, że była szpiegiem podczas zimnej wojny.

– Nie! – Joe pokręcił głową. – To sprawy osobiste, prawda? Albo jakiś przypadkowy, opętany iluzjami szaleniec w pociągu. Żadnej polityki.

– Tak – zgodziła się. – Myślę, że masz rację. – Ale w teorię przypadkowego świra też nie wierzyła. Miał rację za pierwszym razem. To sprawy osobiste.

– Wiemy, że Malcolm Kerr, szkutnik, nie powiedział nam całej prawdy. – Vera lubiła Kerra. Rozumiała jego picie i jego rozpacz. Ale nie lubiła świadków, którzy ją okłamywali.

– Jeździ golfem, odpowiadającym opisowi samochodu, którym podrzucano Margaret do Przystani. Rozbieżność w czasie mogła być naprawdę pomyłką, ale między nim a Margaret coś było. W przeciwnym wypadku, dlaczego nie powiedział mi, że tamtego dnia ją podwiózł?

– Mamy go zatrzymać? – Joe dokończył piwo i postawił butelkę na stole. – Może będzie troszkę bardziej chętny do udzielania informacji podczas formalnego przesłuchania, po wysłuchaniu ostrzeżenia?

Vera pomyślała o mężczyźnie, którego spotkała w szopie warsztatu skutniczego. W gołym pokoju przesłuchań w komisariacie będzie zły i przestraszony i zupełnie się zamknie. I nie chciała, żeby na tym etapie wtrącali się adwokaci.

– Zostawmy to na następny dzień – zdecydowała. – Jeszcze

spróbuję coś z nim zrobić na jego terenie.

Siedzieli w milczeniu. Vera zastanawiała się, czy czegoś by się napiła, i doszła do wniosku, że nie.

– Chciałabym, żebyś spotkał się z księdzem – powiedziała. – Peterem Gruskinem. Margaret regularnie uczęszczała do kościoła, a on jest członkiem zarządu Przystani. Nie lubi mnie. Może po prostu nie lubi silnych kobiet. Jeśli między Margaret a Kerrem coś było, w Mardle byłyby o tym plotki. Dowiedziałby się. Wszystkie te stare kobiety obgadują ludzi, kiedy robią herbatę albo polerują srebra. Wyjaśnij mu, że nie działa na korzyść Margaret, dochowując teraz tajemnic, które jej dotyczyły.

Joe kiwnął głową.

– I wyślemy Holly do pensjonatu Kate Dewar, co? – Vera czuła, że jest na fali. – Popatrzy na to świeżym okiem. Nie pamiętam, kiedy wyjeżdża George Enderby. Jeśli tam nadal jest, z nim też może porozmawiać.

Joe znowu kiwnął głową i zbliżył dłonie do kominka. Zerknął na zegar stojący na półce nad kominkiem. Zegar Hectora, zawsze tam stał.

– Idź – powiedziała Vera, udając, że strzela z palca. – Jestem gotowa na kąpiel i łóżko. Spotkamy się jutro rano, podczas odprawy. – Wstała.

Joe jakby nie miał ochoty wychodzić, ale też wstał.

– Konferencja prasowa Holly będzie nadawana jeszcze raz dziś wieczorem w późnych wiadomościach lokalnych. Może coś z tego wyjdzie.

Vera cicho się roześmiała.

– Nasza Holly jako twarz policji z Northumbrii. Będzie zachwycona. – Otworzyła drzwi, żeby pożegnać się z Joem. Deszcz przestał padać, niebo było czyste. Gwiazdy świeciły bardzo jasno.

Następnego dnia rano, podczas odprawy, Vera była pełna energii, gotowa ogarnąć życzliwością cały zespół.

– Holly odbyła bardzo efektywne spotkanie z Mikiem Craggsem, profesorem biologii morskiej na uniwersytecie w Newcastle. Wczoraj powiedziała nam o samochodzie Kerra i o czasie, w którym łódź wróciła do Mardle, ale myślę, że lepsze byłoby ogólne omówienie przesłuchania.

Holly wstała, żeby zająć centralne miejsce pod białą tablicą. Vera pomyślała, że młoda kobieta uwielbia to – do tego została stworzona, żeby stać przed zespołem i rozsiewać wiedzę i światłość. Gdybym miała zdrowy rozsądek, aranżowałabym ją właśnie na gwiazdę, przygotowywała na awans. Wtedy może zostawiliby tutaj Joego.

Pomyślała, że nie zdobędzie się na taką przebiegłość, gdy jej uwagę nagle przykuły słowa Holly.

– Powtórz to proszę, Hol, dobrze?

Holly, wystraszona podniosła wzrok.

– Profesor Craggs stwierdził, że tylko raz naprawdę porozmawiał z Margaret, pewnego wieczoru w salonie pensjonatu. Postawił jej drinka. Byli sami i Craggs zapytał ją o męża. Powiedziała, że dawno od niej odszedł i że jedyne, co jej zostało, to tajemnice.

– Margaret Krukowski i jej cholerne tajemnice. – Vera zastanawiała się, czy w ogóle były jakieś tajemnice, może Margaret tak mówiła o przeszłości, żeby być bardziej interesująca. Może to fantazje samotnej, starej kobiety. Podniosła wzrok. – Przepraszam, Hol. Mów dalej.

Holly była chyba bardzo zdziwiona. Vera pomyślała, że dobrze od czasu do czasu zaskoczyć zespół zmianą tonu.

– Po wyemitowaniu w telewizji konferencji prasowej wczoraj wieczorem dostaliśmy więcej telefonów od ludzi, którzy byli w metrze. Parę osób pamiętało, że było w pierwszym wagonie. Jeden facet z grupy biznesmenów, którą zapamiętał Joe. Wszyscy wracali z bożonarodzeniowego lunchu. Świadek niczego nie widział, ale dał nam trochę więcej nazwisk do sprawdzenia. A dziewczyny, które Joe widział z ich chłopakami, skontaktowały się przez swoich rodziców. Są z St. Anne, tej

elitarniej szkoły w Jesmond. Wyszli w Gosforth, ale nie zauważyli Margaret Krukowski.

– Dziękuję, Holly. Dobra robota. Znajdź kogoś, kto zebrałby informacje od obu grup.

Holly promieniała.

Dobry Boże, pomyślała Vera. Czy tylko tyle trzeba, żeby zespół był szczęśliwy? Trochę pochwał? Pomyślała, że Holly jest jak zaniedbany collie należący do jej sąsiadów. Wystarczyło mu, jak dostał miskę jedzenia pod koniec dnia, a właściciele pokleпали go po głowie. Skinęła na Joego Ashwortha, żeby wstał i powiedział o Przystani i stosunkach Margaret z kobietami stamtąd. A Vera przez cały czas próbowała wejść w głowę ofiary. Elegancka, z dobrej rodziny, a wystarczy jej, że mieszka samotnie w małym mieszkanku na poddaszu pensjonatu w zaniedbanym miasteczku na wybrzeżu. Czyżby nie chciała niczego więcej? Jeśli nie własnej rodziny, to pracy dającej zadowolenie. Vera nie mogła sobie wyobrazić życia bez pracy, którą wykonywała. To ta praca ją określała.

Zdała sobie sprawę, że Joe przestał mówić i zespół patrzy na nią. Wstała, nadal jakoś miała wrażenie, że stoi w wąskich pantofelkach Margaret i balansuje na małych obcasikach. Pokręciła głową, żeby odpędzić to wyobrażenie.

– Czy ktoś słyszał o Dee Robson? Prawdopodobnie alkoholiczce i pracownicy sektora seksualnego? – Charlie podniósł rękę i pokiwał ze znużeniem głową. Vera mówiła dalej. – Mieszka w domu czynszowym przy Percy Street. Margaret spotkała Dee podczas jej krótkiego pobytu w Przystani i od tego czasu miała na nią oko. Dee jechała metrem, kiedy zabito Margaret. Nie widzę w niej morderczyni, a ona tak wyróżnia się wyglądem, że do tej pory ktoś by o niej wspomniał, gdyby była w tym samym wagonie. Ale to kolejny trop i musimy go sprawdzić. Dee twierdzi, że tamtego popołudnia była z facetem w jego mieszkaniu. Charlie, popytaj o to i sprawdź, czy da się go namierzyć.

Charlie skinął głową, jakby był jeszcze bardziej zmęczony.

– Holly, chcę cię znowu widzieć w Mardle. Pogadaj z Kate Dewar. Przez wszystkie te lata mieszkała z Margaret i nie wierzę, że tak mało ją znała, jak twierdzi. Może wydaje się jej, że na swój sposób chroni pamięć tej kobiety. Joe, zajmiesz się księdzem. Pytasz o to samo. Charlie, wiem, że kamery na peronie stacji metra w Gosforth były pokryte śniegiem, ale sprawdź, czy tamtego popołudnia pojawił się jakiś ślad golfa Malcolma Kerra na drodze między Mardle a Gosforth. Craggs twierdzi, że wrócili z Coquet Island około trzeciej, Kerr miałby mnóstwo czasu, żeby tam pojechać i zdążyć do pociągu za Margaret. I musiałby wrócić, żeby zabrać wóz. Metro nie jeździło, sprawdź firmy taksówkarskie. – Przerwała, żeby złapać oddech. – A jak już się tym zajmiesz, to trzeba sprawdzić, gdzie Dee wsiadła do pociągu. Albo nic nie wie na temat geografii poza Mardle, albo zabawia się z nami. Gdybyś obejrzał filmy z kamer z wcześniejszego popołudnia, znalazłbyś może także mężczyznę, z którym była.

Wstali i zaczęli wychodzić. Vera wezwała Holly do siebie. Zostały same w wielkim pokoju odpraw.

– Holly, zanim pojedziesz do Mardle, wyświadczyć mi przysługę. Zadzwoń do służb socjalnych i poproś, żeby sprawdzili Dee Robson. Nie jestem w stanie rozmawiać z nimi dłużej niż minutę. Potem tracę cierpliwość. – To miało coś wspólnego ze sposobem, w jaki przejęli opiekę nad nią, kiedy umarła jej mama. – Margaret miała oko na Dee i nie wydaje mi się, żeby biedna dziewczyna sama dała sobie radę w tym mieszkaniu. Jest groźna dla siebie i swoich sąsiadów.

Holly popatrzyła, jakby inspektor trochę odbiło, ale Vera była do tego przyzwyczajona.

– To przysługa, Hol – powtórzyła, tracąc cierpliwość. – Może być?

Holly skinęła głową i wyszła bez słowa z pokoju.

To był ostatni dzień semestru. Dzień bez mundurka. Chloe pierwsza wyszła z domu w długim czarnym swetrze i dżinsach. Ryan wyglądał świetnie w kurtce, którą kupił za ostatnią zapłatę od Kerra. Kate pomyślała, że skutnik musi mu płacić za dużo, ale spodobał się jej styl syna. Zobaczyła go, kiedy wychodził, i cicho zapytała, czy to dobry pomysł, żeby iść w tym do szkoły.

– Możesz ją zgubić albo ci się zniszczy.

Odpowiedział jednym ze swoich gwałtownych wybuchów.

– Do kurwy nędzy, mamó, zejdź ze mnie. Nie jestem dzieckiem. Sam decyduję, w co się ubieram. – Nagły wybuch wściekłości przypomniał jej Roba, aż odsunęła się od syna. Wtedy zobaczył, że ją nastraszył i uśmiechnął się przeproszająco. – Słuchaj, w szkole nikt mi tego nie ukradnie, a ja zadbam o kurtkę. – Pocałował ją, zanim zniknął za drzwiami. Nastolatki, pomyślała. Są jak małe dzieci z hormonami.

W domu panowała cisza. Jedyńm gościem zarejestrowanym na okres przed Bożym Narodzeniem był George Enderby. Jedna doba po wyprawie ze Szkocji na południe. Kate Dewar poczuła się lekko, nawet frywolnie, jakby zrzuciła z siebie ciężar odpowiedzialności. I musiała przyznać, że śmierć Margaret miała z tym coś wspólnego. Oczywiście, uwielbiała Margaret i była od niej zależna, ale po pierwszym szoku, kiedy dowiedziała się o jej śmierci, zdała sobie sprawę, jak bardzo zależało jej na opinii tej kobiety. Zawsze miała wrażenie, że Margaret ją ocenia. Jak prowadzi pensjonat, jak wychowuje dzieci, nawet to, jak się ubiera. Jej związek ze Stu. Nie padło ani jedno słowo, ale chciała, żeby Margaret to pochwałała. Kiedy Ryan wymykał się z domu, kiedy gość poskarżył się na coś związanego z jego pobytem w pensjonacie, albo Chloe miała jeden z tych swoich

napadów hysterii, pierwszą myślą Kate była reakcja Margaret. Co ona sobie o tym pomyśli?

Teraz czuła się wolna i swobodna. Miała ochotę zadzwonić do paru przyjaciół i zaproponować im wyjście na lunch. Wyprawa do Newcastle, włoska kuchnia, za dużo wina. Wyobrażała sobie, jak zatacza się, wracając metrem, zbyt podchmielona, żeby zwracać uwagę na to, czy Chloe nie pracuje za ciężko. Dziś wieczór Stuart będzie w mieście, z kolegami, na kolacji z okazji zakończenia semestru i nie zobaczy go do rana. Ale pierwsza przyjaciółka, do której zadzwoniła, mówiła, jakby Kate kompletnie oszalała. „Newcastle? Na tydzień przed Bożym Narodzeniem? To będzie koszmar. Poza tym walę się z nóg”. I energia znów uleciała z Kate. Może w końcu powinna być rozsądna. Powinna przygotować się do świąt. Upiec nadziewane ciasto i odłożyć je do zamrażalnika. Zamrozić je. Opakować prezenty dla dzieci, kiedy ich nie ma i nie przeszkadzają.

Ale przecież słońce świeciło, a szron na dachu szopy Malcolma Kerra sprawiał, że budynek wyglądał niemal świątecznie. Kate postanowiła, że przynajmniej wyjdzie z domu. W Mardle powstał nowy lokal, salon z lodami i kawiarnia, które otwarto z takim samym optymizmem, jaki stał za jej decyzją założenia pensjonatu. Będzie mogła przynajmniej kupić dobrą kawę i ciasto, żeby uczcić swój nastrój. I trochę wesprzeć nowy biznes. Może Mardle zacznie sprzyjać fortuna i pojawią się wreszcie turyści.

Wychodziła. Otworzyła drzwi frontowe, na stopniu stała młoda kobieta. Gość z całą pewnością nie był z Mardle. Elegancka. Drogie buty i fryzura. Kate poczuła się niechlujnie, zadygotała, bo omal nie wpadła na tę kobietę.

– Przepraszam. – Dlaczego ja zawsze przepraszam? – Czym mogę służyć?

Kobieta przedstawiła się – kolejny detektyw. Nawet dzisiaj nie będzie ucieczki od śmierci Margaret.

Kate poczuła, że się czerwieni.

– Właśnie wychodziłam. Odkąd usłyszeliśmy o morderstwie,

czuję się jak zamknięta w tym domu. I to ostatni dzień szkoły dzieci. Mój ostatni dzień wolności. – Bo chociaż ta kobieta, ta detektyw konstabl Holly Clarke była młoda i elegancka i najwyraźniej nie miała dzieci, Kate pomyślała, że może wykaże zrozumienie.

– Dokąd się pani wybierała? – Kobieta zeszła na chodnik, żeby ją przepuścić, a Kate poczuła, że jest więcej powietrza, żeby oddychać.

– Tylko na kawę. – Kate wzruszyła ramionami. – To jedna z największych podniet, jakie niesie mi życie.

– Mnie to pani mówi? Ja bym zamordowała za latte. – Do Holly chyba dotarło, co powiedziała. – Och, przepraszam! – Ale idąc ulicą do miasta, obie już chichotały jak uczennice.

W nowej kawiarni były wielkie ekspresy do kawy i tace z domowej roboty ciastami i ciastkami. Realistka w Kate pomyślała, że lokal nie przetrwa w Mardle dłużej niż pół roku, ale nowość sprawiała, że teraz był w nim tłum.

– Na co miałyby pani ochotę? – zapytała Holly. – Ja stawiam. – Już zaprowadziła Kate do stolika w rogu. Sala rozbrzmiewała gwarem rozmów i sykiem ekspresów za ladą. Kate wiedziała, że proponują jej ciastko w zamian za informację, ale nie zważała na to. Miała nieomal wrażenie, że znalazła nową przyjaciółkę.

– Mogę w czymś pomóc? Chyba chodzi o Mardle?

– Hej, nie ma co się spieszyć! Najpierw kawa i ciastko.

I zamiast pytać o Margaret Holly zaczęła opowiadać Kate o niej. Ta kobieta kipiała od pytań, słów i plotek. Chciała wiedzieć o czasach, kiedy Kate była piosenkarką, o gwiazdach, z którymi pracowała, o koszmarze wyjazdów w trasę. Pytała przede wszystkim, jak doszło do tego, że zaczęła prowadzić pensjonat; o dzieci, potem o Robbiego.

– Jak zmarł? – Popatrzyła znad latte z zainteresowaniem i współczuciem, którego Kate się nie spodziewała. W bańce ciepłej sali Kate zaczęła mówić o swoim małżeństwie. Mówiła o sprawach, o których nigdy nie wspominała Margaret, chociaż czasem podejrzewała, że Margaret domyślała się, jakie były ich

stosunki.

– Robbie był Szkotem. Z zachodniego wybrzeża. Czarnowłosa, z błyszczącymi oczami i galickim temperamentem. Nadal pracowałam w biznesie muzycznym, spotkaliśmy się podczas występu. – Przerwała, spodziewała się kolejnych pytań Holly, ale nie było żadnych i Kate mówiła dalej. – To było cudowne miejsce, ośrodek sztuki w Borders. Przytulnie, wie pani, jak to jest. Potem zaczęłam gawędzić z Robbiem przy barze. – Scena odżyła jej w głowie: zadymiony bar i Robbie Dewar, najprzystojniejszy mężczyzna w lokalu, idzie ku niej, jak w zwolnionym tempie, jakby to była scena z naprawdę sentymentalnego filmu. Fani zagadywali ją już wcześniej, ale Robbie oczarował ją staromodną uprzejmością. Zmusił ją do śmiechu.

Noc spędzili razem, w jej pokoju hotelowym. Myślała, że to będzie na jedną noc – w końcu nie miała planów, żeby się ustatkować – ale dwa dni później zapukał do drzwi domu jej rodziców, schludny, w czystej koszuli, z bukietem róż, i zapytał, czy wyszłaby z nim na obiad. Kate przerwała opowieść w połowie i popatrzyła na Holly.

– Przejechał tamtego dnia sto kilometrów tylko po to, żeby spędzić ze mną wieczór, a potem wracał znowu sto kilometrów.

– Holly się uśmiechnęła. – Ale romantyczne, co?

I Kate zgodziła się, że romantyczne.

– Zwalił mnie z nóg. Większość mężczyzn zainteresowana była tylko moją muzyką. Pieniężmi. Albo zarządzaniem moją karierą. Robbiemu podobał się mój śpiew, ale był zbyt dumny, żeby żyć z moich honorariów. To on chciał być żywicielem.

– I przestała pani śpiewać? – Holly spojrzała na nią, a Kate zobaczyła, że policjantka jest zdumiona. Ta kobieta nie pozwoliłaby żadnemu mężczyźnie, żeby złamał jej karierę.

– Nie tak od razu. – Kate przyjęła postawę obronną. Co ma zrobić, żeby ją zrozumiała ta nowoczesna i pewna siebie młoda kobieta? – Na początku małżeństwa byłam szczęśliwa, że mogę trochę odpocząć. Uwielbiałam swoją pracę, ale była trudna.

Tournée. Wszechobecne media. Mimo wszystko brakowało mi występów. Reakcji widowni. Stuart, mój nowy facet, miesiąc temu zorganizował dla mnie występ w teatrzyku w Whitley Bay. To było fantastyczne znów znaleźć się na scenie. Uzależnia.

Przerwała, wspominając to wydarzenie. Widownia w średnim wieku, która jeszcze pamiętała jej hity, wstała i wiwatowała po paru taktach wprowadzenia. Potem ludzie ustawili się w kolejce, żeby kupić nową płytę, którą Stuart z kilkoma kolegami pomógł wyprodukować.

Ale Holly nadal czekała na zakończenie historii.

– Kiedy pojawiły się dzieci, już nie mogłam jeździć po kraju i skończyły się zaproszenia. To kapryśny biznes. Szybko się zapomina o człowieku.

– Czy pani mąż nie mógł się zaopiekować dziećmi? – Holly znowu popatrzyła, jakby Kate zwariowała. – Albo mogła pani wynająć nianię.

– Robbie był inżynierem – powiedziała Kate. – A to było na długo przed czasami, kiedy zaczęliśmy mówić o równowadze praca–życie. – Uśmiechnęła się na myśl o Robbiem, który co rano zajmuje się dwojgiem małych dzieci. Podaje śniadanie i wyprawia je do szkoły. O Robbiem, który dołącza się do śpiewania rymowanek w grupie maluchów, rozmawia z innymi rodzicami o karmieniu piersią, cenach utrzymania domu.

– Więc po prostu z wszystkiego pani zrezygnowała? Z wszystkich swoich ambicji i marzeń?

– Nie zrobiłam tego świadomie. Po prostu jakoś się to rozmyło. I kochałam Robbiego. Myślałam, że to godne podziwu, że chce o nas zadbać.

Przerwała. Teraz doszła do trudnej części historii. Oczywiście, mogła na tym zakończyć. W końcu to w ogóle nie była sprawa tej detektyw. Co prywatne życie Kate miało wspólnego z zamordowaniem Margaret Krukowski? Ale po wszystkich tamtych latach chciała o tym opowiedzieć – już zaczęła.

– Potem Robbiego zredukowano – powiedziała. – Firma, w której pracował, odkąd był praktykantem, została przejęta i

wyrzucono większość wykwalifikowanych pracowników. Miał trochę pieniędzy z odprawy, ale wiedział, że na długo nie wystarczą. Mój menedżer zaproponował mi tournée po Wielkiej Brytanii – coś niezobowiązującego, żeby przypomnieć ludziom, że nadal jestem. Kiedy powiedziałam o tym Robbiemu, nie zgodził się. W ogóle odmówił podjęcia rozmowy na ten temat. Był taki nieszczęśliwy. Wyszedł z domu i wrócił dopiero za parę dni. A ja zastanawiałam się, czy nie pojawił się na progu innej dziewczyny w czystej koszuli z bukietem kwiatów. – Przerwała, bo zabrakło jej tchu i dlatego że mogłaby się rozpląkać przed tą nieskazitelną młodą detektyw.

– Kiedy przeprowadziła się pani do Mardle? – zapytała Holly.

– Wtedy. Umarła ciotka, o której nigdy nie słyszałam, i zostawiła mi dom przy Harbour Street. To było jakieś niewiarygodne szczęście. Własny dom i szansa na stałe dochody. Wzięłam kredyt hipoteczny, żeby zrobić remont. Myślałam, że Robbie też będzie zachwycony. Mógłby zobaczyć w tym szansę.

– Ale to mu się nie spodobało? – Holly wzięła dla siebie ciastko, ale leżało nietknięte na jej talerzu. Całą uwagę skupiła na Kate.

– Powiedział mi, że dostał pracę na platformie wiertniczej. Paru jego kolegów już tam było. Myślałam, że nam się uda. Dwa tygodnie tam, dwa tygodnie wolnego. Miałabym spokój, kiedy będzie w pracy. Trudno opisać, jaki był, kiedy tu mieszkaliśmy. Taki niespokojny i pełen energii, ale to było destrukcyjne. Energii nie zużywał na malowanie ścian czy sprzątanie domu. Tylko krążył jak lew w klatce.

– Wygląda na to, że był załamany – zauważyła Holly.

– Tak? Cóż, wydaje mi się, że ja też byłam załamana. – Kate na chwilę przerwała. Wiedziała, co chce powiedzieć, ale nie potrafiła dobrać słów. W końcu powiedziała szybko: – Wie pani, co poczułam, kiedy przyszła informacja, że Robbie zginął w wypadku na morzu? Ulgę. Pomyślałam, że już nie będę musiała się o niego martwić. Nie będę ciągle zaniepokojona, że snuje się po domu, krzyczy na dzieci.

– Zachowywał się brutalnie? – Holly zadała to pytanie, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. I dla detektywa może była oczywista. Dzień pracy spędzała z ludźmi, którzy wybuchali na najmniejszą prowokację.

– Czasem – przyznała cicho Kate. – Kiedy wypił. To znaczy nie bił, ale potrafił nawrzeszczyć. Na mnie, nie na dzieci. – A dzieci to widziały. Holly wyobraziła je sobie, jak patrzą, pobladłe, przerażone, stłoczone w kąciку salonu. Mniej więcej wtedy zaczęły się koszmary Ryana. Koszmary i wędrówki. – Co gorsza był nieprzewidywalny. Nigdy nie było wiadomo, w jakim nastroju będzie następnego dnia.

– Rozumiem, dlaczego pani ulżyło, że wtedy zginął. – Holly mówiła z doskonałą obojętnością. W końcu odcięła rożek ciastka. Podniosła wzrok. – Czy Margaret wiedziała, że bywa taki zmienny?

– Chyba nigdy nie słyszała, jak się kłócimy. – Wracając myślą do czasu, kiedy wprowadzili się do pensjonatu przy Harbour Street, Kate poczuła, że robi się spięta i zaczyna jej być zimno. To było wspomnienie wielkiego domu i dzieci, i strachu przed dniem, kiedy Robbie wróci z platformy. – Wtedy jeszcze nie znałam jej tak dobrze. Ale musiała wyczuwać atmosferę. Pewnego dnia powiedziała mi: „Jesteś inną kobietą, kiedy Robbiego nie ma”.

– Rozwiodłaby się pani, gdyby nie umarł?

Kate pomyślała, że Holly chyba nigdy nie miała poważnego związku. Inaczej nie zadawałaby pytań, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedziała wreszcie. – Nawet kiedy był zły i niespokojny, było mi go żal. Czułam się odpowiedzialna. Jakby był kolejnym dzieckiem. I częściowo byłam odpowiedzialna. Gdyby się ze mną nie związał, gdybym nie zaciągnęła go do Mardle, może nadal miałby życie takie, którego zawsze chciał. Doskonałą żonę i dzieci, szczęśliwą rodzinę.

– Nie pomyślała pani, żeby wrócić do śpiewania, kiedy już nie żył?

Kate zamysliła się, próbowała uczciwie odpowiedzieć.

– Straciłam pewność siebie – oceniła. – Śpiewałam dla siebie i dla dzieci. Uczylałam ich gry na pianinie. Ale myślałam, że nadaję się tylko na gospodynię pensjonatu. Aż pojawił się Stuart i przekonał mnie, że może być inaczej. Po prostu, nie nalegając, pozwolił mi znowu uwierzyć w siebie. – Kiedy to powiedziała, zabrzmiało to jak najgorsza sztampa, zbyt tandetna, żeby nawet użyć jej w piosence, ale Kate i tak wiedziała, że to prawda.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Holly wstała.

– Idę po jeszcze jedną kawę. Dla pani też?

Kate skinęła głową.

Potem rozmawiały o Margaret i Kate nie była pewna, czy jest zadowolona, czy smutna z tego powodu.

– Czy nie odniosła pani wrażenia, że w życiu Margaret był jakiś związek pełen przemocy? – zapytała Holly. Teraz była bardzo poważna.

Taki jak mój? Małżeństwo pełne wrzasków? Kate znowu pomyślała, że nie da się podsumować związku jednym zdaniem.

– Nie, myślałam, że mąż był miłością jej życia. Dlaczego pani tak sądzi?

– Bo miała szczególne współczucie dla kobiet z Przystani. – Holly była zaskoczona, że Kate o to zapytała. Nieformalna pogawędka zmieniła się w przesłuchanie. – Ale ona rozumiała, przez co pani przechodzi, prawda?

– Myślę, że tak. – Kate pomyślała, że nie trzeba mieć doświadczeń osobistych, żeby widzieć, co się dzieje między nią a Robbiem.

– A Malcolm Kerr? Jego żona twierdzi, że ją uderzył. Czy Margaret kiedykolwiek powiedziała coś takiego, że zachował się brutalnie także wobec niej?

– Nie! – Ton rozmowy całkowicie się zmienił i Kate zrozumiała, że została wywiedziona w pole, że nabrała się na drogą fryzurę i udawaną przyjaźń. – Nawet nie wiem, czy między nimi coś było. Po prostu powiedziałam waszej inspektor, że Malcolm był zdenerwowany, kiedy pojawił się wczoraj w

pensjonacie.

– Nie widziała ich pani ostatnio razem? – Holly skończyła kawę i odsunęła talerz z niedojedzonym ciastkiem.

– Nie!

– Na przykład, czy nigdy jej nie podwoził swoim samochodem?

– Nigdy nie widywałam ich razem. – Kate słyszała, że jej głos wznosi się do pisku. – Ani na ulicy. Ani w samochodzie. – Wstała i ruszyła ku drzwiom. Jak mogła być tak głupia, żeby zaufać tej kobiecie? Żeby pomyśleć, że mogą zostać przyjaciółkami.

Holly poszła za nią i razem przespacerowały się z powrotem na Harbour Street. Atmosfera była teraz zupełnie inna. Nie było dziewczęcych chichotów z niesmacznych dowcipów. Zamiast tego lodowate milczenie. Zatrzymały się pod pensjonatem.

– A Stuart? Jakie miał stosunki z Margaret?

– Doskonale! Dobrze się nawzajem znosili. Mieli ze sobą mnóstwo wspólnego – miłość do muzyki. Wieś. Ale naprawdę nie znali siebie. Spotykali się od czasu do czasu, kiedy zapraszaliśmy Margaret na wspólną kolację. – Kate wyczuła, że za dużo mówi i zacisnęła usta. Nie było mowy o zaproszeniu Holly do domu.

– Więc Margaret nie знаła Stuarta, zanim przyszedł do pani z wizytą? – Holly wyciągała kluczyki z torby. To było jej ostatnie pytanie.

– Nie! Oczywiście, że nie! Niby skąd? – Ale mówiąc to, Kate przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy przedstawiła Margaret Stuartowi. To było latem, w niezwykle piękny dzień, kiedy podała lunch w ogródku na tyłach domu. Schłodzone białe wino, ser i sałata. Zawołała do Margaret: „Zejdź, poznasz nowego mężczyznę mojego życia”. Margaret wyszła na patio, a Stuart wstał, żeby się z nią przywitać. Przez chwilę Kate była pewna, że widziała wstrząs wzajemnego rozpoznania.

Joe Ashworth pchnął drzwi kościoła i zaskoczyło go, że się otworzyły. Czyż w połowie tygodnia wszystkie kościoły nie są pozamykane z obawy przed kradzieżą i wandalizmem? Ale wyglądało na to, że wszedł w środku mszy. Wewnątrz garstka starszych kobiet siedziała na frontowych ławkach. Wszystkie się odwróciły i patrzyły z zaciekawieniem. Ksiądz klęczał plecami do nich i dalej czytał modlitwę. Kobiety znów się odwróciły i dołączyły się do odpowiedzi. Głos księdza był głęboki i melodyjny. Joe usiadł z tyłu i czekał. Wstali. Chuda jak szkielet kobieta z palcami jak szpony podała ton na organach. Zaśpiewali hymn. Bardzo powoli. Zatrzymując się od czasu do czasu, żeby muzyka za nimi nadążyła. Głos księdza znów wzniósł się nad innymi, prowadził ich. Muzyka urwała się, uklękli, żeby odmówić cichą modlitwę. Potem kobiety zebrały swoje rzeczy i zaczęły rozmawiać, wyglądało na to, że msza się skończyła. Kobiety zniknęły w drzwiach po lewej stronie kościoła, a Peter Gruskin poszedł nawą w stronę Joego.

– Przepraszam, że przerwałem. – Joe się przedstawił.

– To Związek Matek. – Ksiądz kiwnął głową w stronę drzwi, przez które wyszły kobiety. – Spotykamy się co miesiąc i zawsze zaczynamy od krótkiej mszy. Będą piły kawę i jadły nadziewane ciastka. Ostatnie spotkanie przed Bożym Narodzeniem. – W jego głosie był smutek, Joe wyczuł, że ksiądz jest zły, bo nie może przysiąść się do ciastek.

– Nie będę długo księdza zatrzymywał.

Gruskin westchnął i usiadł na ławce obok Joego. Pod sutanną miał na sobie czarne sztruksowe spodnie i niemodne czarne buty. Obaj byli w podobnym wieku, ale poza tym nic ich nie łączyło. Joe zobaczył dziurę w skarpetce księdza, pod

ściągaczem i zastanawiał się, jak to musi być, kiedy mieszka się samotnie w takim Mardle i za towarzystwo ma się tylko starsze kobiety. Bo Joe był pewien, że Gruskin jest kawalerem.

Przez otwarte drzwi dochodziło piskliwe trajkotanie kobiet, szcęk łyżeczek o porcelanę.

– Domyślam się, że przyszedł pan tutaj w sprawie Margaret Krukowski – zaczął Gruskin. – Poprzednio były tu dwie detektyw. Wtedy powiedziałem im wszystko, co wiem.

– Czasem – Joe starannie dobierał słowa – nie chodzi tylko o to, co ludzie wiedzą. – Przerwał. – Może się przydać to, co ludzie sądzą albo domyślają się, albo podejrzewają. Zazwyczaj nie wyciągamy przypadkowych plotek, ale w takiej sprawie ten rodzaj niepotwierdzonych podejrzeń może wpłynąć na śledztwo. – Odwrócił się w ławce, żeby popatrzeć na księdza. – Rozumie ksiądz, o co mi chodzi?

Na chwilę zapadła cisza, w tle słychać było syczenie czajnika.

– W parafii były pewne żale, że Margaret jest taka zamknięta w sobie – powiedział w końcu Gruskin. – Niektórzy widzieli w tym swego rodzaju snobizm. Mówiła inaczej niż reszta członkiń kongregacji i nie dzieliła się z innymi swoimi przeżyciami. Podejrzewam, że ludzie sami wymyślali historyjki, żeby wypełnić luki.

– A jakie to były historyjki?

– Były sugestie cokolwiek barwnej przeszłości. – Gruskin poruszył się nerwowo. Joe pomyślał, że dla księdza te historyjki były podniecające. Może nawet sam je wyciągał albo rozmyślał o nich w samotności. Było w nim coś, co wywoływało ciarki. – Mężczyźni. Rozumie pan.

– Czy w tych opowiastkach występował Malcolm Kerr? – Joe pomyślał, że zaczyna mówić jak Gruskin, i zmienił pytanie. – Czy pojawiały się plotki, że Margaret i Kerr byli kochankami?

Gruskin wyglądał na przerażonego.

– Nie wydaje mi się, żeby plotki były aż tak szczegółowe.

– Czy ksiądz osobiście słyszał plotki o związkach między Margaret a Kerrem? – Joe zaczął tracić cierpliwość. Rozumiał,

dłaczego ten człowiek tak zdenerwował Verę.

– Plotki były chyba o związkach między Margaret a każdym mężczyzną w Mardle. – Ksiądz zaczął być zjadliwy. – W mojej kongregacji uważano, że Margaret była nieprzystępna i dumna, ponieważ mówiła z kulturalnym akcentem, czytała książki i odmawiała uczestnictwa w ich plotkach. Potrafią być okrutne.

– Ale coś właśnie o niej i o Kerrze?

– Tak, były takie plotki. Ten romans miał ponoć przyczynić się do zerwania małżeństwa Margaret. Nie wierzę w to. Margaret nadal mówiła o swoim byłym mężu z wielkim uczuciem. – Gruskin lekko się uśmiechnął. – Oczywiście to było długo przed tym, zanim tu nastąpiłem. Wtedy byłem dzieckiem. Ale ludzie w Mardle mają długą pamięć.

– Widziano Margaret w samochodzie Kerra na dzień przed jej śmiercią – powiedział Joe. – Zawiózł ją do Przystani. Nie wie ksiądz, czy miał zwyczaj podwożenia jej?

Znów cisza. Joe odniósł wrażenie, że ta informacja zaskoczyła księdza.

– Wcale tak nie sędzę – powiedział wreszcie Gruskin. Joe czekał, że powie coś więcej. – Wiele razy proponowałem jej, że zabiorę ją do Holypool, ale zawsze odmawiała. Mówiła, że woli korzystać z publicznych środków transportu.

– Czy ksiądz wiedział, że Margaret jest chora? – Joe przerwał na ułamek sekundy, ale Gruskin nie odpowiedział natychmiast. – Miała raka jelit.

Party Związku Matek rozkręcało się na całego. Mówiono coraz głośniej, rozległ się wybuch śmiechu.

– Nie. – Gruskin patrzył w stronę ołtarza. – Żałuję, że mi się z tego nie zwierzyła. Może mógłbym jej pomóc. – Ale powiedział to nadąsanym głosem i Joe pomyślał, że ksiądz nie znosił obsesji prywatności Margaret tak samo jak jego parafianki. Nie byłby w stanie jej pomóc.

Przerwała im niemłoda organistka, przyniosła tacę z dwoma kubkami kawy i talerzem nadziewanych ciastek. Szła nawać równie wolno, jak grała na organach.

– Nie trzeba, Ido – powiedział Gruskin. – Właśnie miałem do was dołączyć. Myślę, że sierżant Ashworth już skończył.

– Niezupelnie. – Joe wziął kubek i ciastko z talerza trzymanego przez kobietę. – Jest jeszcze parę pytań. – Poczekał, aż kobieta odejdzie, i wrócił do rozmowy. Tymczasem Gruskin zjadł dwa ciastka, bardzo szybko, z ponurym skupieniem. – Chciałem księdza zapytać o Dee Robson.

– Myśli pan, że może być zamieszana w zamordowanie Margaret? – Ksiądz spojrzał ostro, widać było, że niemal mu ulżyło.

– Nie, o to nie pytam. Występuje na obrzeżach śledztwa jako prawdopodobny świadek. O ile wiem, poproszono ją, żeby opuściła Przystań. Ciekawi mnie, czy ksiądz mógłby wyjaśnić dlaczego?

– Ach – westchnął Gruskin. – Deirde Robson. Nieszczęsna kobieta o ograniczonych zdolnościach intelektualnych. Jednak nie mogliśmy jej zatrzymać w Przystani po tym incydencie. Jane Cameron, która prowadzi schronisko, przedstawiła sprawę jasno, a członkowie zarządu poparli jej osąd.

– Może zechce ksiądz powiedzieć, co dokładnie się stało. – Joe mówił ostrym tonem. Teraz, kiedy Gruskin dostał coś do zjedzenia, był chętniejszy do rozmowy. Dla Joego atmosfera kościoła była przygniatająca, chciał stąd wyjść.

– Miała wizytówki wydrukowane na jednej z tych maszyn na stacji metra. Polecające jej... – Gruskin przerwał na moment – ...usługi. Z adresem i numerem telefonu Przystani. Pojawiły się w całym Mardle. Jane przez całą noc dręczyły żenujące telefony. Paru mężczyzn nawet się pojawiło, przyjechali samochodami, biorąc omyłkowo to miejsce za... – Znowu przerwał.

– Burdel?

– Właśnie. – Gruskin szybko zamrugał. – Dee dostała już ostatnie ostrzeżenie, kiedy przyszła do schroniska pijana. Skontaktowaliśmy się z pracownikiem socjalnym i poprosiliśmy, żeby znalazł coś bardziej dla niej odpowiedniego.

Joe pomyślał o smutnym mieszkaniu na Percy Street. Nie

nadawało się dla nikogo.

– Ale Margaret utrzymywała z nią kontakt.

Gruskin pociągnął nosem.

– Nie brała tego tak poważnie jak my. Nawet podważała to, że Dee była zdolna samodzielnie wydrukować te wizytówki, i dawała do zrozumienia, że jakaś inna kobieta zrobiła niesmaczny żart kosztem Dee.

– A co ksiądz o tym myśli?

Gruskin wzruszył ramionami.

– Jane widziała w Dee element jątrzący w Przystani. Jest profesjonalistką, mieszka tam i ma więcej doświadczenia niż my wszyscy razem wzięci. Wiedziałem, że można zaufać jej opinii. Było dla mnie jasne, że ta kobieta musi odejść.

– Kiedy to się stało? – Joemu nie podobała się Dee Robson, ale wolałby, żeby ksiądz okazał bardziej chrześcijańskie podejście do grzesznicy. Nieczułość tego człowieka sprawiła mu przykrość.

Gruskin zastanawiał się przez chwilę.

– Sześć tygodni temu.

– Czy Margaret mówiła księdzu, że dalej będzie odwiedzała Dee?

– Nie robiła z tego tajemnicy. Właściwie to była zła, że zarząd tak to załatwił. Myślałem nawet, że zrezygnuje z wolontariatu w Przystani. Jej stosunki z Jane były cokolwiek napięte.

Ashworth wrócił myślami do spotkania z kobietami z Przystani i z kierowniczką. Jane w ogóle nie wspomniałaby o Dee Robson, gdyby któraś z pensjonariuszek nie powiedziała, że należy ją powiadomić o morderstwie. Zastanawiał się, czy uśmiechnięta i kompetentna Szkotka nie miała czegoś do ukrycia. Może po prostu było jej wstyd, że poróżniła się z jedną z wolontariuszek tuż przed jej tragiczną śmiercią. Joe wstał.

– Dziękuję.

Ksiądz odprowadził go do drzwi.

– Mam nadzieję, że ta sprawa szybko zostanie wyjaśniona –

powiedział. Był środek dnia, ale na dworze było tak ponuro, że już zapalono latarnie. – To nas wszystkich bardzo niepokoi. – Potem szybko zniknął w kościele.

Joe Ashworth stał przez minutę. W piwnicznej kuchni pensjonatu światło było włączone. Kate Dewar siedziała na stołku, trzymając gitarę akustyczną. Głowę miała odwróconą od okna, więc go nie widziała. Żałował, że nie słyszy, co śpiewa. Byłby wniebowzięty, gdyby mógł usłyszeć takie właśnie, tylko dla niego, wykonanie *White Moon Summer*.

Ashworth przyszedł do ogólniaka podczas przerwy na lunch. Dzieci krzyczały na podwórku i w korytarzach, podniecone, bo był koniec semestru i wszędzie czuło się zapach smażonego jedzenia i sosu serowego. Sekretarka była nieugięta.

– Dyrektor nie spotyka się z nikim bez umówienia.

Joego kusilo, żeby jej odwarunknąć w stylu Very, ale powstrzymał nerwy na wodzy. Nie był w stanie sobie wyobrazić, jak się pracuje w miejscu, w którym nie ma ucieczki od dzieci. Nigdy by tego nie przyznał, szczególnie Sal, ale pod koniec dwutygodniowego urlopu w Kornwalii zaczął tęsknić za pracą. Wynajęli małą chatkę, która w broszurze wyglądała idyllicznie, ale przez cztery dni z rzędu padało i dzieci się nudziły. Teraz, po wyjaśnieniu, że prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania Margaret Krukowski, sekretarka uśmiechnęła się przepraszająco.

– To raczej pilne. – Kobieta czmychnęła bez słowa.

Dyrektor był niski i łysy, miał twarz, po której nie można było poznać jego myśli.

– Nie wiem, jak będę mógł panu pomóc, sierzancie, ale oczywiście zrobię wszystko, co mogę.

– Słyszał pan o morderstwie. – Policjant stał na drugim piętrze i patrzył w dół, na podwórko. Ciemne chmury dawały dziwne wrażenie, że się zmierzcha.

– Oczywiście. Dwoje naszych uczniów mieszka w tym samym domu co ofiara. Należała niejako do ich rodziny. Poprosiłem

wychowawców, żeby mieli na nich oko. Będzie im na pewno bardzo smutno. – Nauczyciel podniósł wzrok na Ashwortha. – Zakładam, że ich udział w zbrodni nie wchodzi w rachubę.

– Byłby pan zaskoczony, gdyby wchodził?

Chwila wahania.

– Raczej zdumiony. Chloe to wyróżniająca się uczennica. Ma ambicje dostać się do Oxbridge i są wszelkie szanse, żeby tak się stało. – Przerwał. – Wszyscy uważamy, że za bardzo się forsuje. Czasem żałuję, że jest tak mocno zmotywowana. Dorastające dziewczęta mogą doprowadzić się do choroby... – Mówił coraz ciszej. – Ryan jest mniej zaangażowany w naukę i wiem, że jego matka martwi się o jego postępy. Zawsze jest porównywany z siostrą. Było parę nieusprawiedliwionych nieobecności, ale nie sądzę, żeby miał zamiar przejść do szkoły przygotowującej do egzaminów, więc niechętnie robimy z tego wielką sprawę. Chłopcom trudno jest dorastać w domu, w którym nie ma mężczyzny.

Zadzwoił elektroniczny dzwonek i dzieci zbiegły się z podwórka do budynku.

– Ale teraz jest w tym domu mężczyzna. Przynajmniej wkrótce będzie.

– Ach, pan przyszedł w sprawie Stuarta. – Dyrektor zmarszczył brwi. – Oczywiście, w pokoju nauczycielskim była mowa o tym związku. – Przerwał. – Nie wiązaliśmy tego z muzyczną przeszłością pani Dewar aż do jej niedawnego występu w Whitley Bay Playhouse. Stuart namówił niektórych z nas, żeby przyjść i ją wesprzeć. To był wspaniały wieczór. Oczywiście, uczniowie nie słyszeli o Katie Guthrie, ale dla ludzi w naszym wieku ona jest gwiazdą. Cieszymy się, że wybrała naszą szkołę dla swoich dzieci. – Joe pomyślał, że dyrektor też jest trochę oszołomiony jej sławą.

– Więc było wiele plotek na temat tego związku?

Dyrektor lekko się uśmiechnął.

– Cóż, Stuart po raz pierwszy pokazał, że potrafi zawiązać krawat. Niektóre nauczycielki próbowały latami go do siebie

przekonać, ale on zawsze był ostrożny w kwestii ustatkowania się z kimś. Myśl, że bierze sobie żonę i pasierbów zafascynowała nas wszystkich, bo to tak nie leżało w jego charakterze. Ten romans stał się prywatną operą mydlaną szkoły średniej w Mardle.

– Pytamy o wszystkich, którzy znali panią Krukowski – powiedział Joe. – Rutyna. Rozumie pan. Czy pan Booth od dawna mieszka w Mardle?

– Odkąd tu istnieje szkoła. Zbudowano ją w latach osiemdziesiątych, a on był jednym z pierwszych zatrudnionych. Od piętnastu lat jest dyrektorem do spraw muzycznych. Mówi o przejściu na emeryturę, żeby wesprzeć karierę Kate. Będzie nam go brakowało. Jest oddany duszą i sercem dzieciom. Nie tylko planowym lekcjom, ale wszystkiemu, co nadobowiązkowe. Oczywiście muzyka – chór i zespół instrumentów dętych – ale chętnie zajmuje się aktywnością poza murami szkoły. Prowadzi nasz program w ramach nagrody księcia Edynburga. W dzisiejszych czasach rzadko spotyka się nauczycieli z taką pasją do pracy.

– Wobec Kate Dewar to też jest pasja?

Dyrektor się uśmiechnął.

– Najwyraźniej tak.

– Czy w popołudnie, kiedy dokonano morderstwa, był w szkole?

Dyrektor uniósł brwi.

– Sprawdza pan alibi, sierżancie? – Nagle zrobił się czujny. Spięty.

– Jak mówiłem, panie dyrektorze. Rutyna.

Nauczyciel odwrócił się do komputera stojącego na jego biurku, żeby sprawdzić elektroniczny dziennik.

– To był wieczór naszego koncertu bożonarodzeniowego. Stuart nie wychodził z budynku przez cały dzień. Po południu miał lekcje, a potem zabrał dzieci na próbę przed występem. Pamiętam to ze względu na śnieg. Zastanawialiśmy się, czy nie powinniśmy tego odwołać, ale większość naszych uczniów

mieszka niedaleko i dochodzi pieszo, więc tak czy inaczej poszliśmy na całość.

Podniósł wzrok znad komputera i Ashworth wyczuł, że dyrektorowi ogromnie ulżyło, kiedy okazało się, że jego kolega jest czysty. Może to była naturalna reakcja dyrektora, który boi się o reputację szkoły. A może podejrzewał, że Stuart Booth był zdolny do morderstwa.

Podwórze Malcolma Kerra było zamknięte, na wielkiej drewnianej bramie wisała kłódka. Vera już miała pójść z powrotem do jego domu, kiedy zobaczyła, jak Kerr idzie obok smaźalni w stronę portu. Ciemna postać ubrana w nieprzemakalne ubranie i wysokie buty, rozpoznawalna dzięki pochylonym plecóm. Przyspieszyła, żeby go dogonić.

– Chciałam zamienić słowo.

Zatrzymał się. Chyba był zatopiony w myślach, bo nie usłyszał kroków za sobą. Wystraszyła go.

– Hm, nic z tego. Mam robotę.

Popatrzyła mu w oczy i pomyślała, że poprzedniego wieczoru nie wypił za dużo i udało mu się trochę przespać. Był zaczepny, ale bardziej ludzki.

– Dokąd się pan wybiera?

– Profesor Craggs zostawił trochę sprzętu na wodach wokół wyspy. Nie chciał go pozbierać ostatnim razem ze względu na pogodę. Powiedziałem, że wybiorę się po to, gdy tylko będę miał okazję. – Szedł dalej.

Łódź była już zacumowana przy murze portowym, gotowa do wyjścia. Nie „Lucy-May”, która latem wozila turystów wokół Coquet Island, ale mała odkryta łódka z silnikiem zaburtowym. Nowsza wersja łodzi, którą razem z Hectorem pływali przed laty na wyspę.

Vera popatrzyła na łódź. Wyglądała na dość mocną.

– Znajdzie się miejsce dla kogoś małego?

Popatrzył na nią, jakby oszalała.

– Chce pani ze mną wypłynąć?

– Dlaczego nie? Nie będzie pan długo na morzu, prawda? I jak powiedziałam, chcę zamienić słowo.

Zachichotał.

– Trochę ryzykowne, co? Jeśli jestem podejrzany o morderstwo, mogę panią wyrzucić gdzieś po drodze do Coquet i nikt się nie dowie. I cokolwiek bym mówił, nie będzie miało potwierdzenia. W sądzie by się to nie udało.

Przez chwilę patrzyła na niego. Oczywiście miał rację i to, co robiła, było głupie.

– Cóż, zaryzykuję.

Ostrożnie zeszła po metalowej drabince przymocowanej do muru i wsiadła do łodzi. Pomogła siła ciężenia. Miała nadzieję, że skoro zbliża się przyptyw, kiedy wróca, woda będzie stała wyżej. Nie będzie musiała tak wysoko się wspinać. Łódź zakołysała się, kiedy do niej weszła, a ona przeżyła chwilę paniki, wyobrażając sobie, jak wpada do lodowatej brązowej wody. Kerr rzucił jej kamizelkę ratunkową, którą wyciągnął spod tylnej ławki. Położył dla niej plastikową poduszkę pośrodku łodzi.

– Niech pani się nie rusza. Jest pani ciężka, przewróci nas pani. – Pociągnął za linkę zapłonu i motor, kaszłąc, zaskoczył.

Z morza miasto wyglądało zupełnie inaczej. Monochromatycznie, jak na czarno-białym filmie. Widziała tyły budynków na Harbour Street. Kobiety w smaźalniach przygotowywały się do szczytu w godzinach lunchu, niosły z budyneczku na końcu podwórka białe kubły z obranymi ziemniakami. Pensjonat wyglądał stąd całkiem okazale, wąskie okna rozstawione symetrycznie, a szare kamienne ściany solidne jak forteca. Między domem a brzegiem był mały ogród. Dalej wysoka wieża św. Bartłomieja. Czuli się jak podglądacz patrzący na świat z kryjówki. A przecież każdy mógł ich zobaczyć.

– Malcolmie, dlaczego mnie pan okłamał? – Wypłynęli już za portowy mur i lekko nimi kołysało. Vera zawsze była dobrym żeglarzem i nie przeszkadzało jej to. – Twierdził pan, że ostatnio w ogóle nie kontaktował się z Margaret.

– Nie kontaktowałem się! – Ale mówił to jakby był młodocianym łobuzem, przeklinającym awanturnikiem, jednym z takich, których łapała, kiedy była początkującym

posterunkowym.

– Malcolmie, chłopie, daj pan spokój. Widziano pana, jak podrzucił ją pan do Przystani na dzień przed jej śmiercią.

Nie odpowiedział od razu, słychać było tylko charkot silnika i krzyk mew.

– Słuchaj, chłopie, powiedz mi. To jest tak nieoficjalne, jak tylko można, w cholernej łódce na Morzu Północnym. – Ze mną w jaskrawopomarańczowej kamizelce ratunkowej, jak jakiś człowieczek Michelina.

– Byliśmy przyjaciółmi – powiedział. – Byłem chyba jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miała w okolicy.

– Kochankami?

Ze smutkiem pokręcił głową.

– Dawno temu. Ostatnio nie. I nawet wtedy rzadko – przerwał. Byli w połowie drogi przez cieśninę oddzielającą wyspę od Mardle. – A kiedy jeszcze byłem żonaty, nie spotykaliśmy się często nawet jako przyjaciele. Wiedziała, co do niej czuję, i nie chciała wchodzić mi w drogę. Powiedziała, że to nie byłoby w porządku wobec Deborah. Była miła, kiedy się rozwiódłem, ale jasno powiedziała, że nie ma szansy, żebyśmy znów się zeszli.

– Czy pan tego chciał? – Byli już na tyle blisko wyspy, że Vera rozpoznawała szczegóły. Dom strażnika i odchody na urwiskach, gdzie ptaki morskie miały gniazdowisko. Próbowwała przypomnieć sobie więcej szczegółów z wyprawy z Hectorem, kiedy przed laty kradli ptasie jaja, ale wracało do niej tylko przeczucie czegoś złego i okropna pewność, że zostaną złapani. – Chciał pan czegoś więcej niż przyjaźni nawet teraz?

– Uwielbiałem ją od pierwszego spotkania – powiedział Kerr. – Nie powinienem się w ogóle żenić. Kiedy leżałem obok żony, marzyłem o Margaret.

Vera zastanawiała się, jak z tym mogło być, i uznała, że chyba łatwiej adorować heroinę z marzeń niż prawdziwą kobietę.

– Ale ostatnio znów spędzaliście razem czas?

– Właśnie się dowiedziała, że jest chora – powiedział Kerr. – Chciała komuś o tym powiedzieć. Ale nie Kate i dzieciom.

Myślała, że będą zbyt zmartwieni.

– To było tego dnia rano, kiedy podrzucił ją pan do Przystani?
– Vera odwróciła się na ławeczce, żeby widzieć jego twarz.

Pokiwał głową.

– Zapytała, czy miałbym ochotę pójść na spacer. Poszliśmy na plażę w północnym Mardle. Było mroźno i byliśmy tam sami, nie licząc paru spacerujących z psami, daleko od nas. Potem wyszło słońce. – Vera widziała, że w myślach Malcolm znowu jest na plaży, w promieniach zimowego słońca idzie obok kobiety, którą znał od młodości. Czy trzymał ją za rękę? Otoczył ją ramieniem?

– Miała raka – rzuciła Vera.

– Obiecałem, że się nią zaopiekuję. Wszystkim, co będzie jej potrzebne. – Prawie płakał. – Powiedziała, że musi uporządkować parę spraw. Wyjaśnić to i owo. „Malcolmie, będę wtedy potrzebowała twojej pomocy”. – Uśmiechnął się. – Oczywiście odrzucała mnie myśl, że jest chora, ale cieszyłem się, że chce mojej pomocy, że znowu uczyniła mnie częścią swego życia. Bylibyśmy na swój sposób znowu razem, nawet gdyby nie miało to długo potrwać.

– Czy powiedziała, co musi uporządkować?

Malcolm nie odpowiedział natychmiast. Dopłynęli do czerwonej boi blisko skalistego występu wyspy. Zgasił silnik i przycumował łódź do metalowego pierścienia na skale. Woda była tutaj bardzo przezroczysta i Vera patrzyła na powoli wynurzający się obiekt. Malcolm postawił go, ociekający wodą, na dnie łódki. Szklana kasetka z wymyślną maszyną i papierem milimetrowym w środku. Uwaga Very na krótko odwróciła się od śledztwa.

– Może mi pan powiedzieć, co to jest, to tutaj?

– Miernik przyptywów. Profesorkowi potrzebny jest do jego badań. Powinien być wodoszczelny, ale powiedziałem, że go przywiozę, na wypadek gdyby w święta nadszedł sztorm. – Rozwiązał węzeł na pierścieniu i odepchnął łódź od skały. – To dobry człowiek, ten profesorek. Nie mam nic przeciwko temu,

żeby wyświadczyć mu przysługę, kiedy mogę.

– Dlaczego wczoraj, kiedy rozmawialiśmy, nie powiedział mi pan, że spotkał się z Margaret? – Była zirytowana. – Mogliśmy zaoszczędzić sobie całej tej szopki – pół mojego zespołu widzi w panu mordercę.

– Bałem się – odpowiedział.

– Mówił pan, że kontaktował się z Margaret po rozwodzie. Czy zbliżył się pan do niej z własnej inicjatywy?

Pokręcił głową.

– Wiedziała, jak bardzo mnie do niej ciągnie. Inicjatywa należała do niej. Skontaktowała się ze mną w sprawie syna Kate Dewar.

Łódź wracała w stronę brzegu. Mgielka wodna omywała ich twarze, czuła sól na wargach.

– Dlaczego?

– Wdawał się w kłopoty. Od czasu do czasu nie przychodził na lekcje. Nic poważnego. Dom pełen kobiet, a Margaret uważała, że powinien mieć jakieś męskie towarzystwo. Zapytała, czy znalazłbym dla niego jakąś pracę w moim warsztacie.

– A pan powiedział tak?

Zaległa cisza. Dziwne, ciemne niebo przebiła na chwilę strzała słonecznego promienia.

– Gdyby poprosiła, żebym trzy razy nago opłynął wyspę, też powiedziałbym tak. Kochałem ją.

– Jak pan sobie radził z chłopcem? – Vera myślała, że taka namiętność chyba nie mogła być zdrowa. Krępowało ją, że Kerr był gotów do takich zwierzeń. Jakby brakowało mu samokontroli albo dumy. Znacznie bezpieczniej było przejść do rozmowy na temat syna Kate.

Kerr zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Nigdy nie miałem z nim problemów. To po prostu jeden z tych chłopaków, którzy nie lubią szkoły. Nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Chodził po ulicach o różnych godzinach. Za dużo energii jak na szkolną naukę. – Teraz opływał łodzią redę, a słońce schowało się tak nagle, jak się pojawiło. Woda była

spokojniejsza. – Ryan był trochę zrozumiasty, kiedy zaczynał, ale uspokoił się, gdy tylko zrozumiał, że nie będę tolerował bałaganu. Chce kimś być, a ja jestem zadowolony z jego towarzystwa. – Malcolm przerwał, jakby to było wyznanie. – Kiedy byłem w jego wieku, już pracowałem. Okrążył rok w pełnym wymiarze godzin.

– Nigdy nie chciał pan tego przerwać, żeby zdobyć wykształcenie? – Bo Vera uznała, że Kerr jest bardziej inteligentny, niż jej się z początku wydawało. Margaret nie zadawałaby się z głupcem.

– Nie miałem okazji. – Nawet teraz widać było, że sprawia mu to ból. – Mój tata potrzebował taniej siły roboczej w rodzinnej firmie.

Vera odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Tak jak mój.

Uśmiechnęli się.

Swobodnym ruchem ustawił łódź przy drabinie w murze. Verze przyszło do głowy, że robił to tyle razy, iż nawet z zamkniętymi oczami dokładnie trafiłby w cel.

– Pański przyjaciel, ten profesor, zeznał, że wróciliście do Mardle około trzeciej tego popołudnia, kiedy zginęła Margaret – powiedziała. Zdjęła kamizelkę ratunkową, ale nie wstała. – Dokąd pan poszedł, kiedy wróciliście z morza?

– Profesorek myli się co do czasu. Wie pani, jacy są ci uczeni. Nie pasują do realnego świata. Było później. Prawie ciemno. – Wziął ją za rękę, żeby pomóc jej wstać, a potem nachylił się nad nią, żeby złapać za szczebel i przytrzymać łódź w miejscu. Weszła na drabinę, świadoma, że jest bardzo blisko Malcolma. Kiedy dotarła na górę i odwróciła się, Malcolm już włączył silnik i płynął łodzią z powrotem, na kotwicowisko. Pomachał do niej, a ona pomachała do niego.

Szła wzdłuż redy do Harbour Street, chodnik był jakby nierówny pod jej stopami. Nawet po takiej krótkiej podróży

nadal czuła kołysanie łodzi. Zapach smażonych ryb we frytkarni prawie skusił ją, żeby wejść do środka, ale poszła dalej. Zadzwoiła do Holly.

– Skontaktowałeś się z pracownikiem socjalnym, żeby zajął się Dee Robson?

– Rozmawiałam z wydziałem socjalnym. Ich najważniejszy pracownik to facet, który się nazywa Jim Morris.

– I? – Holly Clarke, czasem naprawdę mnie drażnisz.

– Nie ma najmniejszej szansy, żeby ktoś wpadł do niej przed Bożym Narodzeniem. A na święta zostaje tylko uszczuplony zespół. Wyłącznie sytuacje awaryjne.

Vera rozłączyła się bez słowa.

Przez chwilę myślała o zaproszeniu Dee do swojego domu na Boże Narodzenie. Jej sąsiedzi, Joanna i Jack, nie osądzaliby tej kobiety. Usiedliby razem wokół stołu w wiejskim domu, piliby za dużo i jedli odjazdowe jedzenie Joanny, a gdyby Dee zaczęła flirtować z Jackiem, po prostu by się roześmiali. Ale wiedziała też, że nie może podejmować u siebie w domu podejrzonej w sprawie zabójstwa. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie oburzenie Joego Ashwortha, gdyby to zaproponowała.

Znowu zadzwoniła do Holly.

– Masz numer tego hostelu, Przystani? – Holly, sprawna jak zwykle, znalazła go w kilka sekund. Vera musiała zatrzymać ją przy słuchawce, kiedy szła do samochodu po długopis. – Powtórz numer, dobrze?

Jej telefon odebrał ktoś o matczynym głosie i szkockim akcencie. Vera się przedstawiła.

– Pani inspektor, czym mogę służyć?

Vera wyjaśniła, że niepokoi się o Dee Robson.

– Jest ważnym świadkiem. Ostatnio spędzała mnóstwo czasu z Margaret Krukowski. Prowadzi bardzo nieuporządkowane życie i obawiam się, że bez nadzoru Margaret po prostu zniknie.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

– Pomyślałam, że może przygarnęłybyście ją do Przystani. Tylko na święta. Żebyśmy wiedzieli, gdzie jej szukać, gdybyśmy

musieli znów ją przesłuchać. – Vera wiedziała, że się wdzięczy, żeby coś uzyskać, i brzydziła się tego. Prośenie o przysługę nigdy dobrze jej nie wychodziło.

– Przepraszam, pani inspektor, właśnie przyjęliśmy inną rezydentkę, która znalazła się w nadzwyczajnej sytuacji. Obawiam się, że nie mamy wolnych miejsc. – Połączenie się urwało.

Vera zajrzała na chwilę do Coble, myśląc, że może tam jest Dee. Było jeszcze wczesnie i prawie pusto. Dwóch starszych mężczyzn grało w barze w domino. Dee nie było, a Vera dobrze wiedziała, że nie ma co zaglądać do salonu. To nie było terytorium Dee. Pod wpływem impulsu poszła do smażalni i kupiła dwa łupacze i frytki na wynos. Mimo że były owinięte papierem i włożone do torby, ich zapach ciągnął się za nią po drodze między kościołem a linią metra.

Szybko weszła po betonowych schodach domu. Czowała, że nogi ma nadwerężone po wspinaniu się po drabinie w porcie. Ech, Vero, kotku, lepiej szybko złap tego zabójcę, bo inaczej grozi ci schudnięcie. Zapukała do drzwi Dee. Nie oczekiwała natychmiastowej reakcji. Kiedy pojawili się tutaj poprzednio, Dee najpierw sprawdziła, kto stoi na progu, a dopiero potem ich wpuściła. W korytarzu mógł czekać człowiek z gminy, żeby wziąć czynsz, albo jakaś rozsierdzona żona. Dee miała jednak minimalny instynkt samozachowawczy.

Ale drzwi otworzyły się, kiedy Vera w nie zapukała. Stała tam, gdzie była, i krzyknęła.

– Jesteś tam, Dee? To ja, Vera Stanhope. Przyniosłam rybę i frytki.

Nadal żadnej odpowiedzi. Vera postawiła torbę na podłodze w korytarzu przed drzwiami i weszła. Znowu zauważyła plamę wilgoci na ścianie przy drzwiach. Salon był pusty. Pusta papierowa torba, w której przyniosła ciastka jako poprzedni dar pokoju, nadal leżała rozdarta na stole.

– Dee, jesteś tu?

Drzwi do sypialni były zamknięte, Vera, zanim weszła,

nasłuchiwała. Nie była skrupowana, ale chciała wiedzieć, czego ma się spodziewać, zanim wpadnie i zastanie Dee Robson przy pracy. Cisza. Vera otworzyła drzwi. Dee leżała na materacu i patrzyła na Verę. Ubrana była do pracy: krótka spódnica i biały koronkowy top, lśniące białe plastikowe buty. Połyskliwy niebieski cień do oczu i lekko rozmazana różowa szminka. Z szyi wystawał jej kuchenny nóż. To był nóż, którym Vera dzień wcześniej kroїła kremówkę.

Krew zebrała się w kałużę pod głową i szyją Dee, ciemne tło dla bardzo bladej skóry. Karnację miała lodowoniebieską poza miejscem, w którym gołe nogi dotykały materaca. Tam skóra była ciemna, prawie purpurowa. Ciało wyglądało jak plastikowe. Verze skojarzyło się to z wielką nadmuchowaną lalą. Kobieta zginęła prawdopodobnie niedługo po tym, jak poprzedniego dnia odwiedziła ją z Joem.

Vera wyszła na korytarz, żeby zadzwonić. Poczowała rybę i frytki. Omal nie zwymiotowała.

Kate czekała na George'a Enderby'ego. Chciała go szybko zameldować, bo wkrótce miał przyjść Stuart. Była podniecona, nasłuchiwała chrobotu kluczy Stuarta w drzwiach. Mieli plany ze Stuartem. Metrem do Newcastle na wieczorek kulturalny – nowa wystawa w centrum sztuki współczesnej Baltic nad rzeką i przechadzka po galerii sztuki Lain. Potem kolacja. Stuart miał kolegę z Ramblers' Association, który otworzył restaurację nieopodal katedry. „Nic pretensjonalnego”, powiedział Stuart. „Ale dość przyzwoite, a on może nam pomóc. Rozumiesz”. Stuart miał niewielu kolegów, ale był wobec nich lojalny. Lubiła to. Pomyślała, że będzie lojalny wobec niej.

A na potem mieli bilety na koncert w małej hali Sage, Duński poeta i muzyk z Wysp Faroe. „To pewnie będzie straszne”, stwierdził Stuart, „ale jeśli nie pójdziemy, możemy stracić coś ważnego”. Był pełen niespodzianek. Nawet nie sądziła, że będzie chciał pójść na coś tak eksperymentalnego. Kate wydawało się, że po ślubie z Robbiem jej świat się skurczył, a teraz jakby podarowano jej drugą szansę, żeby go odkryć. Wróć do domu ostatnim metrem i Stuart zostanie na noc. O tym też marzyła. Od śmierci Roba pozostały jej tylko marzenia; teraz nabrały ciała, można ich było dotknąć, posmakować. Bywały dni, kiedy myśli o seksie zalewały jej mózg, nie zostawiając miejsca na nic innego. Może dlatego zrobiła się z niej taka syfiasta matka i tak mało opłakiwała śmierć Margaret. Czy zauroczenie Stuartem spowodowało, że stała się zimna, bez serca?

W przeszłości nie byłoby problemu z wyjściem z pensjonatu. Kate poprosiłaby Margaret, żeby wpuściła George'a i zaprowadziła do jego pokoju. Margaret zrobiłaby mu herbatę i

zostawiła w salonie, właśnie tak, jak lubił. Miałaby też oko na dzieci. Dzisiaj Ryana nie było w domu i pewnie nie wróci przed Kate i Stuartem. Nigdy nie wiedziała, gdzie się podziewa. Czasem tylko włóczył się po okolicy, znacząc granice swojego świata. Nawet gdy był mały i coś go zdenerwowało, przemierzał cały dom, do przodu, do tyłu, od mieszkania Margaret pod dachem do piwnicy. Chloe siedziała przy kuchennym stole z nosem w laptopie i stercie książek wyższej niż zwykle. Ale obok niej leżał telefon i Kate widziała, że jej uwaga co jakiś czas przerzuca się na aparat, jakby czekała, aż zadzwoni. Wiedziała, jak to jest.

– To początek ferii – powiedziała Kate, starając się, by zabrzmiało to zwyczajnie. Stuart nigdy niczego nie mówił, ale domyślała się, że według niego za bardzo czepia się dzieci: Chloe, że za ciężko pracuje, a Ryana, że za mało. – Zrób sobie przerwę!

Ale najwyraźniej był jakiś konkurs ogłoszony przez ogólnonarodowy magazyn naukowy, a Chloe sądziła, że wygrana w nim dobrze by wyglądała w jej CV. To była jej praca na ferie. Kiedy pracowała, cały świat dla niej nie istniał. Poza, jak widać, telefonem, na który czekała, bo jej wzrok znów spoczął na komórce. Chloe miała podkrążone i zapuchnięte oczy i Kate pomyślała, że dziewczyna nie spała w nocy zatopiona w niewesołych myślach. Na temat pracy, czy jakiegoś chłopaka? Kate nie wiedziała, czym się bardziej niepokoić.

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach i stanął w nich George Enderby z pełną książek walizką na kółkach.

– To znowu ja. Jak w przysłowiu: lichy nie śpi. – Uściskał ją i pocałował w oba policzki jak zwykle. Potem odsunął się, żeby na nią popatrzeć.

– Wyglądasz bardzo szykownie. Wybierasz się na coś miłego? – Zaczerwieniła się i chociaż w jego słowach nie było ani śladu wymówki, poczuła się winna. Czy powinna iść się bawić tak krótko po śmierci Margaret?

– Tylko do Newcastle ze Stuartem.

– Hm, gratuluje! Nie martw się. Sam trafię do swojego pokoju.
– Też wyglądał na zmęczonego. Płaszcz miał zmięty, a radosny ton był trochę wymuszony. Pomyślała, że nie dostał wielu zamówień na powieści, które kochał.

– Postawię herbatę w salonie – powiedziała. – Ale obawiam się, że herbatnikom daleko do standardów Margaret.

Smutno uśmiechnęła się do siebie.

– Na pewno będą doskonale – uznał George. Zaczął zdejmować rękawiczki i, jakby po przemyśleniu dodał: – Jakies nowe informacje na ten temat? Złapali zabójcę?

Już szła do kuchni i odwróciła się, żeby odpowiedzieć.

– Nic nie słyszałam. Gdziekolwiek pójdę, w mieście jest policja. Pukają do wszystkich drzwi i zadają pytania.

I jakby w odpowiedzi na jego pytanie na ulicy rozległ się dźwięk syreny. Popatrzyli na siebie, dzieląc dreszczyk niepokoju.

Stuart się spóźnił. Zaczęła panikować, myśleć, czy do niego nie zadzwonić. Normalnie był obsesyjnie punktualny, i to ona kazała mu na siebie czekać. A teraz, po zabójstwie Margaret, myślała, że Stuart postara się przyjść na czas, bo wie, że będzie się martwiła. Wreszcie się pojawił. Wszedł, usłyszała jego kroki na schodach, kiedy schodził do piwnicy. Miało się wrażenie, że mija parę minut, żeby zobaczyć jego głowę, kiedy już widać było stopy. Taki był wysoki. Był ubrany w znoszoną brązową skórzaną kurtkę i dżinsy. Zawsze tak się ubierał, kiedy wychodzili do miasta. Jedynym ustępstwem na rzecz pogody był szalik. Miał prawie sześćdziesiątkę, ale dobrze wyglądał. Na luzie.

– Przepraszam! – Uniósł ręce, wyrażając skruchę. – Nie wiem, co teraz dzieje się w Mardle. Korki są koszmarnie.

Potem objął ją ramieniem, bardzo swobodnie i naturalnie, a ona chciała sięgnąć i dotknąć jego twarzy, bo widziała w nim tyle piękna. Gdyby byli w domu sami, zaproponowałyby, żeby zostali, zamiast wychodzić do miasta.

– Siema Chlo. Wszystko w porządku? – Zostawił Kate i położył lekko rękę na ramieniu Chloe. Spojrzał z góry na jej pracę.

– Tak, w porządku, jasne. – Chloe przeciągnęła się. – Nie wiem, czy to powinno być bardzo szczegółowe. A co ty myślisz?

Usiadł obok niej i nachylił się, żeby skupić się na laptopie. Kate poczuła zazdrość, jaskrawą, ostrą jak ukłucie igły. Ona ze mną nigdy tak nie rozmawia. Czy myśli, że jestem za głupia, żeby zrozumieć? I zaraz potem: Czy on uważa moją córkę za bardziej atrakcyjną ode mnie?

Zostawiła ich, żeby pogadali, i poszła do George'a, który marudził nad herbatą.

– Wszystko w porządku? – Wydawało się jej, że wygląda na chorego. Nadal owinięty był płaszczem. Nachyliła się i podkręciła ogień.

Uśmiechnął się jak sztukmistrz, tak musiał się uśmiechać, żeby oczarować wydawców i księgarzy.

– Kate, jesteś dla mnie taka dobra. Tu jest jakby drugi dom. Wiesz? – Uśmiechnął się tęsknie, a ona pomyślała, że żał mu dawnych dni, zanim w jej życiu pojawił się Stuart, kiedy mogła siedzieć i pić z nim cały wieczór i słuchać, jak opowiada o swojej przewspaniałej żonie.

Newcastle, pełne ludzi, też było przyjazne. Szli od galerii do galerii, przekroczyli Tyne mostem Blinking Eye. Potem restauracja. Kate czuła zapach skórzanej kurtki Stuarta i zapach miasta, słodki i ńęący. W Mardle czuć było tylko sól, ryby i wodorosty, a w tym nie było przygody. Restauracyjka była maleńka i ciasna. Siedzieli przy oknie wychodzącym na stromą brukowaną uliczkę. Stuart pożartował z kolegą właścicielem na temat muzyki w lokalu i zamówił butelkę wina. Potem sięgnął przez stół po jej rękę. Świeca rzucała mu dziwne cienie na twarz i przez chwilę miała wrażenie, że siedzi z obcym. To też było podniecające do zawrotu głowy.

– Tak mi przykro z powodu Margaret – powiedział. – Wiem, że

byłyście sobie bliskie.

Była rozczarowana. Miała nadzieję na coś bardziej romantycznego. Przynajmniej na oświadczenie, że opętała go tak, jak on ją. Miała już dość mówienia o Margaret, miała już dość tych zaskoczeń, kiedy za każdym razem wracała do niej ta myśl. Chciała po prostu o tym zapomnieć. Iść dalej.

– To było straszne – stwierdziła. Nie wiedziała, jak powiedzieć to, co czuła. – Nie chcę wyjść na gruboskórną, ale w pewnym sensie mam teraz większy wybór. Na przykład mogę pomyśleć o sprzedaniu domu. Prawda, już o tym rozmawialiśmy, ale to byłoby niemożliwe, gdy Margaret żyła.

– Nowy początek – powiedział. Prawie jakby mówił do siebie, bawił się słowami, zamieniał je w dygresje.

– Tak. – Zdała sobie sprawę, że się uśmiechnęła.

– Mogę przejść na wcześniejszą emeryturę – powiedział. – Już dość byłem nauczycielem. – Nalał jeszcze wina. Twarz miał zaczerwienioną.

– Co byś robił? – Nie potrafiła wyobrazić go sobie jako emeryta z cotygodniowymi wycieczkami na wzgórza, oglądaniem telewizji popołudniami, chociaż myśl, że będzie wolny w ciągu dnia, kiedy dzieci nie będzie w domu, znów ją podnieciła.

– Zajmowałbym się twoją karierą – tak jak trzeba, nie tylko przypadkowymi występami, takimi jak ten teraz – powiedział, nagle poważniejąc. – Znów zabierzesz się do pisania. Do występów. Gdybyś sprzedała dom przy Harbour Street, moglibyśmy kupić coś mniejszego w mieście – dla dzieci to też byłby nowy początek, lepsza szkoła. Może uda się przekonać Ryana do kursu przygotowującego do egzaminów na studia.

Pomyślała, że od jakiegoś czasu chodziło jej to po głowie.

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy się razem przeprowadzić już teraz?

– Jeśli znajdziemy odpowiednie lokum, dlaczego nie? Gdybym sprzedał także swoje mieszkanie, mogłoby to być coś przyzwoitego. Nowy początek. – Powtórzył te słowa. Nigdy nie

mówił o wprowadzeniu się do niej na Harbour Street, chociaż mnóstwo razy to sugerowała. Jakby sam budynek go odpychał, tak mało intymny, kiedy roiło się w nim od gości.

– Bardzo bym tego chciała – rzekła. – Naprawdę.

– Więc jutro dam dyrektorowi wypowiedzenie. Będzie wymagał pracy do końca semestru. – Wyszło na to, że decyzja została podjęta.

Stuart podszedł do lady, żeby zapłacić przyjacielowi, i przez chwilę było widać, że się przeraził. Myślała, że zapomniał gotówki albo karty kredytowej, ale kiedy go zapytała, powiedział, że to nic takiego. Zginęło zdjęcie, które trzymał w portfelu. Miała nadzieję, że to było jej zdjęcie, chociaż nie przypominała sobie, żeby je zrobił. Nie chciała wracać do tego tematu, bo był wytracony z równowagi, że je zgubił. Potem wyszli na ulicę i pojechali się do Sage.

Kiedy wrócili z Newcastle, George musiał już pójść do łóżka, bo salon był pusty, a zasłony na ciemnych oknach zaciągnięte. Kate była podekscytowana.

Koncert był tak koszmarny, że aż śmieszny, i publiczność podeszła do tego jak do żartu. W końcu wyszło na to, jakby obejrzeni naprawdę niezwykły występ w małej sali Sage, cieplej i przytulnej, i wyszli, śmiejąc się i rozmawiając jak starzy przyjaciele. Ostatnie metro do domu pełne było pijanych imprezowiczów, ale wszyscy zachowywali się wobec siebie życzliwie. Przy Haymarket wsiadł policjant i został w pociągu; ktoś powiedział, że tak jest co wieczór po tym morderstwie. Kate i Stewart siedzieli na samym przedzie, światła zbliżających się stacji gnały na nich i Kate miała wrażenie, jakby jechała rollercoasterem i miała znowu dziesięć lat.

Kiedy wrócili, dzieci były już w domu. Ryan wrócił niedawno. Padało i kurtka zarzucona na balustradę u dołu schodów była wilgotna. Kate i Stuart wypili podczas antraktu po kilka drinków, żeby jakoś przetrwać drugą część występu, i Kate jeszcze do

końca nie wytrzeźwiała. Jej pełen szczęścia nastrój był podlany alkoholem. Dzieci były bezpiecznie w domu, ona miała wspaniałego nowego mężczyznę i czekała ją ekscytująca przyszłość.

Dzieci siedziały w piwnicznym salonie przed telewizorem.

– Było kolejne morderstwo – oznajmił Ryan, gdy tylko weszli do pokoju. – Mówili o nim w Coble.

Przez chwilę jego słowa nie docierały do niej. Wiedziała, że czasem zaglądał do Coble, chociaż to się jej nie podobało. Stuart kiedyś powiedział na swój oschły, rzeczowy sposób: „Chłopcy w tym wieku i tak pójdą się napić. Lepiej, żeby robili to w pubie, gdzie wokół są dorośli”. Zmartwieniem Kate, o którym nie powiedziała Stuartowi, było, skąd Ryan bierze pieniądze na picie. Dawała mu kieszonkowe, ale czy to wystarczało na ceny w pubach? Wiedziała, że Malcolm Kerr mu płaci, ale Ryan zawsze miał gotówkę. W głębi ducha bała się, że zaczął kraść. Jakby w jej domu pojawił się obcy. Pamiętała małego, kochającego chłopczyka, który trzymał ją za rękę, kiedy szli do parku, ale ten szykowny młody człowiek nie był podobny do tamtego.

Wreszcie dotarło do niej, że kogoś znowu zamordowano. To był szok. Jej obawy o Ryana wyglądały na błahostkę.

– Co powiedziałaś?

Ryan był trzeźwy, ale podekscytowany. Powtórzył swoje słowa z jakimś stłumionym zadowoleniem, od którego zrobiło się jej niedobrze.

Stuart jakby nie zauważał reakcji chłopca.

– Wiesz, kim była ofiara?

– Jakaś kobieta – odparł Ryan. – Pije w Coble i mieszka na Percy Street. Nazywa się Dee Robson.

Kate знаła to nazwisko, przypomniała sobie, że Margaret o niej mówiła. Jedna z jej podopiecznych sierotek. „Dee jest potrzebny ktoś, kto by o nią zadbał, a oni potrafią ją tylko wyzywać”.

– Czekamy na wieczorne wiadomości lokalne. – Chloe ubrana była w ten sam czarny, robiony na drutach sweter, który miała

na sobie w szkole; był na nią za duży, miało się wrażenie, że w nim tonie. Piła herbatę z kubka.

Zapanowała napięta cisza. Kate zdążyła już wytrzeźwieć, ale nie potrafiła znaleźć słów, żeby powiedzieć coś, co by pasowało do sytuacji.

– Nastawię czajnik – odezwał się wreszcie Stuart. – Ktoś jeszcze chce herbaty?

Ale nikt nie odpowiedział, bo zaczęły się lokalne wiadomości. Pokazano dom czynszowy przy Percy Street z niebiesko-białą taśmą policyjną rozpiętą między słupami latarni i kryminalistyków w białych kombinezonach i maskach idących do drzwi. Nawet Stuart zatrzymał się w drodze do kuchni i oglądał.

Przyjechał Joe Ashworth, a Vera, odkąd zadzwoniła z informacją o morderstwie, stała przed domem na Percy Street jak wrośnięta w ziemię i czekała na jego przybycie. Wiedział, że będzie zdenerwowana. Coś w Dee Robson wzruszało ją. Potrafiła być gruboskórna jak cholera, ale czasami wczuwała się w świadka i bywało, że poruszała niebo i ziemię, żeby mu pomóc. Obiektami jej litości byli zazwyczaj samotnicy, niezaradni, pogardzani. I grubasy, pomyślał Joe, uśmiechając się do siebie wbrew okolicznościom. Tacy jak Vera.

– Jak myślisz, co się stało? – Było zimno. Klatkę schodową przewiewał przeciąg. Wiedział, że współczucie byłoby ostatnią rzeczą, jakiej chciała Vera.

– Zabito ją chyba niedługo po tym, jak do niej przyszliśmy. – Vera stała z rękami w kieszeniach. Było mało miejsca i ocierał się łokciem o jej ramię.

– Klient?

– Ubrana była do pracy, ale nadal miała na sobie majtki. Nie ma dowodu, że doszło do seksu.

Domyślił się, że już to przemyślała.

– Jednak to mógł być klient – uznał. – Wiemy, że nie potrafiła ocenić ryzyka. Poszła z tym Jasonem, nie wiedząc, gdzie facet mieszka.

– Myślisz, że powiązanie z Margaret Krukowski to tylko przypadek? – Vera rzuciła mu niechętny uśmiešek. – To byłby przypadek wielkości słonia.

– Co zatem? – Tracił cierpliwość. Jeśli Vera Stanhope ma jakąś teorię, dlaczego po prostu mu nie powie? Po co te zabawy?

– Dee Robson wiedziała coś o zabójcy Margaret – stwierdziła Vera. – Ale nie wiedziała, że wie. Inaczej powiedziałyby nam, kiedy wczoraj u niej byliśmy. – Nastąpiła przerwa. – A może była mądrzejsza, niż się ludziom wydawało.

– Szantaż? – Czasem rozpoznawał, jak działa umysł Very. –

Trzymała informację w tajemnicy, żeby zrobić na niej pieniądze.

Vera klasnęła.

– Dobra robota, chłopcze.

– Myślisz, że była do tego zdolna? – Tak tego nie widział. Nie sądził, że Dee była na tyle bystra, żeby powiązać fakty. Był o tym przekonany, odkąd zobaczył ją poprzedniego dnia.

– Była zrozpaczona – powiedziała Vera. – Alkoholiczka, mieszkała jak mieszkała – byłaby to motywacja, żeby zdobyć pieniądze, gdzie tylko się da. Może Margaret powiedziała jej coś, kiedy ostatni raz się spotkały. Coś tak oczywistego, że nie trzeba być Einsteinem, żeby rozpracować, kto ją zabił.

Na schodach rozległy się kroki i pojawił się Billy Wainwright. Wyglądał szaro, jakby był chory.

– Wszystko w porządku, Bill? – Joemu nie podobał się styl życia Billa – sznur młodych kochanek wydawał się nie na miejscu dla kogoś na jego stanowisku – ale i tak go lubił.

– Lekki kac. Porządny sen w nocy to wyleczy. – Był już ubrany w kombinezon kryminalistyka i w maskę, toteż słowa były przytłumione.

– Myślałam, że byłeś tak bardzo zajęty na miejscu zbrodni w metrze, że nie miałeś czasu na imprezowanie. – Vera powiedziała to ostrym tonem.

– Tylko praca, żadnej rozrywki... – Joe odgadł po tonie, że Billy się uśmiecha. – Sama mogłabyś się trochę rozerwać.

– Billy, włącz do środka, rób swoje i tyle. Powiedz mi, kto zabił te kobiety. Znajdź jakieś włókna albo ślinę, albo odciski palców i połącz oba śledztwa. To byłby dobry początek.

Billy rozumiał, że Vera mówi to poważnie, żartobliwie zasalutował i wszedł do domu. W oddali rozległ się dźwięk syren.

– Kawaleria – stwierdziła Vera.

Joe miał już dość stania tam i patrzenia na to, jak Vera dręczy się z poczucia winy, ale wszystko w sobie tłamsi.

– Co mam zrobić?

– Postukaj do drzwi, Joe. Zaczynaj od czynszówek, a potem pójdz wzdłuż ulicy. Dee musiała być obiektem zainteresowania.

Mogła być nawet kampania, żeby ją usunąć. Trudno ją nazwać wzorową lokatorką. Miejmy nadzieję, że gdzieś znajdzie się ktoś wścibski, kto obserwował przyjscia i wyjścia. Wysłałam Hol z powrotem do komisariatu, żeby koordynowała telefony od ludzi. – Przerwała, a potem dodała ze złością. – Jeśli to nie jest poniżej twojej sierżanckiej godności, byłoby dobrze zacząć już dzisiaj.

Podniósł ręce w geście poddania i odszedł. Kiedy zawołała, żeby wrócił, pomyślał, że chce go przeprosić za ostre słowa. Ale ona wręczyła mu zatłuszczoną papierową torbę.

– Wyrzuć to, co? Ryba i frytki. Teraz już są pewnie zimne.

Zaczął na parterze i posuwał się do góry. Dwa mieszkania na każdym piętrze, mnóstwo lokatorów. Po południu, na tydzień przed Bożym Narodzeniem spodziewał się, że większość wyszła, ale szczęście zawiodło go w połowie. Pierwsze drzwi, do których zapukał, miały poręcz i podjazd do progu. Drzwi otworzyła maleńka starowinka z chodzikiem. Miała lśniąco białe włosy, ondulowane w ciasne loczki. Pokazał legitymację.

Odsunęła się i wpuściła go. Usiadła przed gazowym kominkiem i gawędziła, robiąc herbatę. Nie mogła być szczęśliwsza, że go spotkała, nawet gdyby był Świętym Mikołajem.

– Jestem trochę samotna – wyznała. Żadnego litowania się nad sobą. – Ale w czwartki wychodzę na spotkania dla sześćdziesięciolatków, a tam zawsze jest mnóstwo śmiechu. Jutro mamy przyjęcie bożonarodzeniowe.

– Przyszedłem, żeby zadać kilka pytań. – Siedział z herbatą i talerzykiem balansującym niebezpiecznie na poręczy fotela. Wymogła na nim, żeby wziął ciastko z puszki.

– O tę kobietę, którą zabito w metrze? – Wystawiła głowę, ciekawa informacji. – Tę, co nosiła zagraniczne nazwisko. Pamiętam, jak była dziewczyną. Pełna życia, chłopcy za nią szaleli. W swoim czasie miał na nią oko Ricky Butt, a Val zagroziła, że zakaze jej wstępu do Coble.

– Ricky Butt? – Ta kobieta najwyraźniej chciała pogadać, Joemu przypominała jego nianię.

– Och, to nie ma z nim nic wspólnego. – Kobieta pokręciła głową. – Val całe lata była właścicielką pubu, ale dawno jej tam nie ma, a on wyjechał z Mardle jeszcze jako chłopak – uśmiechnęła się. – Przepraszam, kotku, nie interesuje cię moje gładzenie. Jak mogę pomóc?

– Był jeszcze jeden przypadek – powiedział Joe.

– O? – Oczy szeroko otwarte z ciekawości.

– Dee Robson. Mieszka na najwyższym piętrze. Zna ją pani?

– A, ta! Peggy Jameson mieszka obok i ma straszne życie. Łażenie po schodach w górę i w dół przez całą noc. Pukający mężczyźni. Mówiła policji i radzie miasta, ale to nic nie dało. – Przerwała. – Tylko że to nie jest wina Dee. – Postukała się w ciemię. – Znałam jej mamę, też była przygłupia. Ale nie aż tak, jak Dee. – Przerwa na myślenie. – Takich ludzi zamyka się w domach wariatów.

Ashworth nie był pewien, czy spodobała mu się ta uwaga.

– Dee nie żyje – powiedział. – Uważamy, że zginęła wczoraj w swoim mieszkaniu. Czy widziała pani albo słyszała coś nadzwyczajnego?

Kobieta z żalem pokręciła głową.

– Wczoraj cały dzień mnie nie było. Córka zabrała mnie do siebie na kolację.

Został jeszcze parę minut i zjadł kolejne ciastko. Nie tylko Vera wiedziała, co to współczucie.

Następne mieszkanie, w którym byli lokatorzy, znajdowało się na trzecim piętrze. Kobieta tuż po trzydziestce z maluszkiem trzymającym się jej nogi. Nie zaprosiła go do środka.

– Już mnóstwo wam powiedziałam o kobiecie zasztyletowanej w metrze.

– Znała pani Margaret Krukowski?

– Nie, ale jak mi pokazali jej zdjęcie, przypomniałam sobie, że parę razy wpadłam na nią na schodach. Szła do mieszkań na górze. Powiedziałam im to. – Maluszek zaczął popłakiwać.

– Może wejdziemy i porozmawiamy o tym – zaproponował Joe. – Nie chcemy, żeby dziecko się przeziębiło.

Mieszkanie miało taki sam rozkład, co mieszkanie Dee, ale na podłodze leżał dywan i stały tam meble. W salonie stało pudło z zabawkami w jaskrawych kolorach. Telewizor był włączony. CBeebies. Kobieta miała na imię Jodie i nie lubiła policjantów.

– Pani mieszka sama z dzieckiem?

– Odkąd wsadziliście mojego męża.

No tak, nie ma co liczyć na herbatę i ciastka.

– Dee Robson...

– Co z nią? – Jodie była bardzo chuda, miała szczurzą twarz i wąskie oczy.

– Jest pani sąsiadką.

– Socjalny osiedlił ją w mieszkaniu na górze. Wszystkie stare kwoki chcą, żeby się wyniosła. – Postawiła dziecko na ziemi i wyciągnęła pociąg z pudła z zabawkami.

– A pani?

Wzruszyła ramionami.

– Żyj i daj żyć innym.

– Nie była pani zaniepokojona, że przyciąga niewłaściwych mężczyzn do bloku?

Kobieta roześmiała się nieprzyjemnie.

– Widział pan ją? Jak pan sądzi, ilu mężczyzn przyciąga? Tych zbyt pijanych, żeby wejść po schodach. Wysiaduje w Coble, bo miejscowym jej żal i kupują jej drinki. Parę lat temu może mogła trochę rozkręcić swój interes, ale teraz to tylko pośmiewisko.

– A pani też z takich?

Znowu się roześmiała.

– Zostałam zresocjalizowana. Niech pan sprawdzi moją teczkę.

– Dee nie żyje – powtórzył Ashworth. – Sądzimy, że zabito ją wczoraj po południu.

– Biedna krowa. – Wzięła dziecko w ramiona, mocno je przytuliła i pocałowała we włosy. – Kompletnie odleciała, ale nie zasługiwała na to.

– Kiedy ją pani widziała po raz ostatni?

– Nie widziałam jej od paru dni, ale wczoraj ją słyszałam. Jej mieszkanie jest nad moim, a sufity są jak z kartonu. Zazwyczaj nie było dużo hałasu. Telewizor, ale mój jest prawie cały czas włączony. – Usiadła na kanapie. Nadal trzymała dziecko na rękach i oglądała prezentera dla dzieci, który udawał lwa.

– Ale wczoraj coś pani słyszała – powiedział Ashworth. – Ludzie krzyczeli? Awantura?

Pokręciła głową.

– Nic z tych rzeczy. Muzyka. Może z telewizora, ale bardzo głośna. Położyłam Alfiego, żeby się zdrzemnął i martwiłam się, że go obudzi. Waliłam w sufit kijem od szczotki i się skończyło. Musiała wtedy wyjść, bo słyszałam ją na schodach.

– Ale nie widziała jej pani?

Jodie wyglądała na przerażoną.

– O mój Boże, pan myśli, że to zabójca przechodził obok drzwi?

– Możliwe – powiedział Ashworth. – Która to była godzina?

Pokręciła głową, jakby czas nic dla niej nie znaczył.

– Niczego nie widziałam. To znaczy, nie wyglądałam przez okno.

Zostawił ją z synem na kanapie, wpatrzoną w telewizor.

Peggy Jamieson oczekiwała go i wiedziała, kim jest. Jej przyjaciółka z parteru musiała do niej zadzwonić, poza tym sąsiednie mieszkanie roilo się od ludzi, a biało-niebieska taśma rozpięta w poprzek korytarza blokowała jej dojście do schodów. Ashworth schylił się i przeszedł pod taśmą, skinął głową posterunkowemu stojącemu na straży i zapukał do drzwi. Nie było śladu Very. Peggy otworzyła drzwi i natychmiast zaczęła mówić. Była niska i gruba, schody musiały stanowić dla niej wyzwanie.

– Za nic nie powinni osiedlać tu tej kobiety. Nie potrafiła się sobą zająć.

Jej mieszkanie było nieskazitelne, błyszcząco. Z okna w salonie

widać było dach Coble i port. Za pubem jakiś człowiek wynosił skrzynkę pustych butelek na podwórze. Joe przez jakiś czas pozwolił jej gadać.

– Od jak dawna Dee Robson tutaj mieszkała?

– Jakies sześć tygodni. Ale mnie wystarczyło, żeby wiedzieć, że nic z tego nie będzie. Wracała o różnych porach tak pijana, że aż się zataczała. Mężczyźni. A jak otworzyła drzwi, to widziałam, że tam jest totalny chlew. – Stan mieszkania bardziej ją chyba obchodził niż zwyczajnie Dee.

– Ilu mężczyzn?

– Cóż, tak wielu nie widziałam. Ale nie zawsze jestem w domu. I nie jestem taka wścibska jak niektórzy.

Joe pomyślał, że reputacja wyprzedziła Dee na Percy Street i że ocena wystawiona przez Jodie co do zdolności przywabiania klientów przez tę dziewczynę była właściwa. Zastanawiał się nad Jasonem, który zabrał Dee do metra w dzień śmierci Margaret. Był bardzo pijany? Bardzo zdesperowany? Jasne, że wyrzucił ją, jak tylko trochę wytrzeźwiał. Joe uśmiechnął się do Peggy.

– Wczoraj pani tutaj była?

– Tak, cały dzień.

– Czy Dee miała jakichś gości?

– Wy tutaj byliście – odparła ostro Peggy. – Pan i ta gruba. Widziałam was z okna.

– Mogliśmy iść do dowolnego mieszkania. – Joe pomyślał, że to taki świadek, na którego Vera miała nadzieję.

– Mogliście – powiedziała – ale nie poszliście.

– A po nas?

Pokręciła głową.

– Potem było *Odliczanie*. Nie tak bardzo to lubię, odkąd zmarł stary prezenter, ale i tak oglądam to codziennie.

– Słyszała coś pani?

– Nie. – Widział, że Peggy żałuje, że nie może pomóc. – Między mieszkaniami jest klatka schodowa i nie mam już tak dobrego słuchu jak kiedyś. Całe szczęście. Co się tutaj nie wyprawia!

Ashworth wstał. Było mu przykro, że Peggy nie wyraziła żalu z powodu śmierci Dee. Nawet Jodie okazała trochę współczucia. Potem pomyślał, że dla tej starszej kobiety Dee była tylko źródłem utrapień, i zmiękł jak Vera.

Vera zaczęła, aż zabezpieczono miejsce zbrodni, a potem zbiegła po schodach. Bieg nie był jej żywiołem i w połowie schodów przed pierwszym podestem zatrzymała się, żeby odpocząć, i krzyknęła do góry, do posterunkowego pełniącego służbę:

– Powiedz sierżantowi Ashworthowi, że pojechałam do Holypool i skontaktuję się z nim później. – Brakowało jej tchu i nie wiedziała, czy posterunkowy usłyszał jej słowa.

Przy pierwszej próbie znalezienia Przystani przejechała tuż obok niej. Nigdy nie używała nawigacji satelitarnej – więcej z nią kłopotów, niż jest warta. Było już późne popołudnie i okolicę domu kryły cienie, łatwo było przeoczyć wejście. Vera zrozumiała, dlaczego Dee nie osiadła w Przystani. Jeśli dla niej o kilka przystanków metra od Mardle zaczynało się już obce terytorium, to tutaj znalazła się z dala od swojej strefy bezpieczeństwa. Było to rozległe, płaskie pobraże owiewane przez wiatry wprost ze Skandynawii i tylko owce przerywały linię horyzontu w głębi łądu. Vera zaparkowała land rover na podwórku obok niebieskiego minibusa i próbowała uspokoić myśli. Przyniosło ją tutaj na fali sprawiedliwego oburzenia, była zła w imieniu Dee, ale teraz musiała zastanowić się, jak rozegrać spotkanie. Jeszcze myślała, kiedy rozległo się bębnienie w okno. Otworzyła drzwi.

Kobieta była tłusta i radosna, a Vera rozpoznała głos z wcześniejszej rozmowy telefonicznej z Przystanią.

– Zgubiła się pani? Chce pani wiedzieć, jak wrócić do wsi? Obawiam się, że to ślepa uliczka, chociaż na mapach jest przejazd.

– Nie zgubiłam się. – Vera wysiadła. Znowu poczuła sztywność

w kolanach. A mówią, że ćwiczenia dobrze robią. – Jestem właśnie w tym miejscu, w którym chciałam być. Pani już spotkała się z moim kolegą, Joem Ashworthem.

– A pani jest? – Jane Cameron przyjęła postawę obronną, ale nadal się uśmiechała.

– Ech, kotku, jestem jego szefową. Vera Stanhope. Już rozmawialiśmy przez telefon.

– A ja wyjaśniałam, że w Przystani nie ma wolnych miejsc.

Odpowiedź była ostra. Ta kobieta nie przywykła, żeby kwestionowano jej zdanie.

Vera machnęła ręką.

– Teraz nie ma się o co martwić.

– Znaleźliście inną kwaterę – powiedziała z ulgą Jane. – To dobrze.

– Kwatera nie jest już potrzebna – oświadczyła Vera. – Dee Robson nie żyje.

Rozmawiały w gabinecie Jane Cameron. W domu było nienaturalnie cicho.

– Co pani zrobiła ze swoimi kobietami?

– Większość jest w mieście. Zakupy świąteczne na ostatnią chwilę. Nie trzymamy ich pod kluczem.

– Jak tam dojeżdżają?

– Mamy minibus. Podwiozłam je do stacji metra w Mardle. Zadzwonią, kiedy będą chciały, żeby je zabrać. – Między Verą a Jane jeżyła się wrogość. Joe powiedziałby, że dwie silne kobiety znaczą swoje terytoria, ale Vera pomyślała, że sięga to głębiej.

– Znalazłam Dee Robson w mieszkaniu, które wyszukała dla niej opieka społeczna, kiedy ją pani wywaliła. – Vera nie popuszczała. – Leżała na plecach z kuchennym nożem w szyi. Krew była wszędzie.

– I obwinia mnie pani o morderstwo, bo nie chciałam jej przyjąć z powrotem?

– Nie – powiedziała Vera. – Ona już nie żyła, kiedy do pani

dzwoniłam. – Zmrużyła oczy i zaczęła mówić ciszej. – Przed wszystkim obwiniam panią o to, że pani ją wyrzuciła. Naprawdę pani myślała, że da sobie radę w tym wielkim złym świecie?

– Nie odpowiadam za to. – Pani Cameron nachyliła się przez biurko w stronę detektyw. – Odpowiadam za ten hostel i jego mieszkanki. Za to, żeby wszystko szło gładko we wspólnocie terapeutycznej, która pomaga kobietom znaleźć swoje miejsce, zanim się wyprowadzą, żeby się bardziej usamodzielnić. Jedną z naszych rezydentek jest nastoletnia uczennica, która wpadła w złe towarzystwo, była tyranizowana i próbowała się zabić. Ostatnie, co było jej potrzebne, to zalana Dee Robson, jej wrzaski w środku nocy albo mężczyźni przyjeżdżający taksówkami w poszukiwaniu ślicznotek do wykorzystania. Dee nigdy by się nie usamodzielniała. Przyjęłam ją wbrew swoim przekonaniom, awaryjnie, żeby miała przez jakiś czas gdzie mieszkać. Wiedziałam, że nie będziemy wobec niej w porządku i że ona z nami nie będzie szczęśliwa. Nigdy nie było mowy o pobycie długoterminowym i pracownik socjalny o tym wiedział.

– Ale gdy tylko przywiózł Dee do Przystani, przestał szukać dla niej czegoś bardziej odpowiedniego. – Vera zaczynała rozumieć, jak to działa. System sądowniczy też zabawiał się w przerzucanie odpowiedzialności. Jak w grze podaj dalej kamień: ten, kto nadzoruje skazanego w zawieszeniu, kiedy przekaże kamień, pozbywa się sprawy.

– Oczywiście. Od tej chwili jego klientka stała się moim problemem.

Uśmiechnęły się do siebie, nagle, na krótko nawiązały kontakt. Vera zrozumiała, dlaczego Jane nie chciała przyjąć Dee Robson z powrotem, nawet na Boże Narodzenie. Leniwy pracownik opieki socjalnej mógł westchnąć z ulgą, a Jane pewnie nigdy by się jej nie pozbyła.

– Myślałam, że opieka socjalna znajdzie lepsze rozwiązanie – powiedziała Jane. – I czułam się winna, odkąd się dowiedziałam, że wrzucili ją do mieszkania i nie dali wsparcia. Ale nie mogliśmy trzymać jej tutaj. A gdybym nawiązała z nią jakkolwiek kontakt,

wylądowałabym z odpowiedzialnością za nią na karku. Margaret uważała mnie za potwora, myślała, że umyvam ręce w sprawie Dee. Przeprowadziła z sobą Dee na nasz zimowy jarmark parę tygodni temu. To była propozycja – przerwała. – Chodźmy do kuchni, zaparzę herbatę.

Zabrzmiało to jak znak pokoju i Vera poszła za nią.

– Uważamy, że zabito ją wczoraj po południu – powiedziała. – Może pani poręczyć za wszystkie swoje dziewczyny?

– Obawiam się, że nie. – Jane włożyła saszetki z herbatą do dużego garnka. – Nie było mnie tutaj. Ale marne z nich spacerowiczki i musiałyby dostać się do stacji końcowej, żeby złapać autobus. Wątpię, żeby wybrały się gdzieś dalej.

– A gdzie pani była? – Vera zerknęła na puszkę z herbatnikami, którą otworzyła Jane Cameron. Nie jadła jeszcze lunchu.

– Wezwano mnie na zebranie z Peterem Gruskinem. Był przerażony zamordowaniem Margaret i stosunkiem opinii publicznej do zarządu. On zawsze szuka pretekstu, żeby zamknąć hostel. Wcześniej chodziło o pieniądze. Prowadzimy tu politykę krótkiej koldry. Teraz wydaje mu się, że znalazł lepszy powód – przerwała. – Ale ja na to nie pozwolę. Dla niektórych kobiet to jedyne bezpieczne miejsce. Potem spotkałam się z paroma przyjaciółmi w Jesmond. Poszliśmy do pubu, coś zjedliśmy i wypiliśmy za dużo. Chyba tak się robi o tej porze roku. Wsiadłam do ostatniego metra do Mardle, a potem taksówką dojechałam do domu. Laurie nadal nie spała. Jest rozsądna, póki się ją trzyma z dala od samochodów. Powiedziała, że wszystko było w porządku.

– Co pani sądzi o Gruskinie? – Vera jadła drugiego herbatnika i znów czuła się po ludzku. Głodna zawsze była opryskliwa.

– Nie najlepiej się czuje w otoczeniu kobiet, chyba że wiedzą, gdzie jest ich miejsce. – Jane znów się uśmiechnęła. – Jest dobrze, kiedy sprzątają kościół albo słuchają z uwagą jego mszy. Inaczej, zapomnij. Jedyne dziecko troskliwej matki i ojca duchownego, który zastępował Pana Boga. W szkole dla młodzieży męskiej pewnie był tyranizowany – przerwała. –

Czasem zastanawiam się, czy z niektórych mężczyzn robią się kutasy, bo ich tyranizowano, czy tyranizowano ich, bo byli kutasami.

Vera zachichotała i pomyślała, że ta kobieta w końcu tak bardzo się od niej nie różni. Pracowały w tej samej branży. Uprzątały przykre sprawy z ulic, żeby godni szacunku obywatele mogli prowadzić swoje codzienne życie w rozkosznej niewiedzy.

– Przepraszam – powiedziała Jane. – Nie powinnam do tego tak lekko podchodzić. Dwie kobiety nie żyją i obie miały związki z Przystanią. Czy szukamy mężczyzny, który nie lubi kobiet? Nie chodzi mi o Petera Gruskina – takich jak on wszędzie jest zatrzęsienie i nie wydaje mi się, żeby był zdolny do przemocy – ale o kogoś z głęboką, psychopatyczną nienawiścią do konkretnej kobiety.

Vera nie od razu odpowiedziała. Pomyślała, że to pomieszczenie bardzo przypomina kuchnię w jej domu. Oczywiście było większe i chyba czystsze, ale czuła się tutaj swobodnie. Przeczynała, że gdyby została dłużej i omówiła sprawę z tą kobietą, mogłaby wyrobić sobie zdanie. Zastanawiała się, jak jej szef podszedłby do takiej strategii.

– Nie wiem – powiedziała. – Może coś w tym jest.

W gabinecie zadzwonił telefon, wewnątrz domu musiało wzmocnić dźwięk, bo dzwonek zabrzmiał bardzo głośno. Jane wstała, żeby odebrać. Vera wzięła kolejnego herbatnika. Potem pod wpływem impulsu jeszcze parę włożyła do torebki na dowody i wsadziła do kieszeni.

Kiedy Jane wróciła, Vera wkładała na siebie płaszcz.

– To dziewczyny. Chcą, żeby je podwieźć do domu. Chce pani zostać i porozmawiać z nimi? Zapraszam serdecznie.

Vera pokręciła głową i wstała.

– Nie jestem od praktycznej roboty. Planowanie strategiczne to moja rola. Chociaż nie po to wybrałam sobie tę pracę.

– Tak jak ja. – Jane szła przez dom do drzwi frontowych. – Gdybym została w opiece społecznej, awansowano by mnie z linii frontu już wiele lat temu.

Przy samochodach Vera się zatrzymała.

– Porozmawia pani z mieszkankami? Ufają pani, ale większość ma powody, żeby nie lubić policji. Każda ploteczka... A ja jutro przyślę kogoś, żeby przeprowadził bardziej formalne przesłuchanie.

– Ślicznego Joego?

– Tak, czemu nie? – Vera otworzyła już drzwi land rovera, ale jeszcze odwróciła się do Jane. – Niech pani powie swoim kobietom, żeby na siebie uważały. Żadnego łożenia po Mardle w pojedynkę.

Jane skinęła głową i odjechała. Było już ciemno i reflektory minibusa omiały wilgotną ziemię aż do drogi.

Zespół zebrał się na wieczorną odprawę w komisariacie w Kimmerston. Więcej zdjęć na białej tablicy. Zwłoki Dee Robson. Żadnej godności w śmierci, a jeszcze mniej za życia, pomyślała Vera. Jedyne zdjęcie żywej Dee, które znaleźli, przedstawiało ją z Margaret Krukowski. Zrobiono je w automacie, obie kobiety były uśmiechnięte. Margaret, trzydzieści pięć lat starsza, nadal była bardziej atrakcyjna. Biedna dziewczyna. Wiem, jak się czuła. Może zrobiły je podczas wyprawy na zakupy do Newcastle. Znaleźli to zdjęcie w portmonetce Dee razem z czterema funtami trzydzieści w drobnych.

Vera rozejrzała się po zespole. Nie było śladu Joego Ashwortha, ale nadszedł czas, żeby zacząć.

– No to co mamy? Dwie kobiety. Obie samotne. Łączy je Przystań, gdzie Margaret była wolontariuszką, i topografia; mieszkały o dwie minuty drogi na piechotę w Mardle. I fakt, że były w tym samym metrze, kiedy zabito Margaret. Jakie to ma znaczenie? Czy obie zobaczyły coś, co doprowadziło do ich śmierci? A może Dee rozpoznała zabójcę Margaret? Jakies przemyślenia?

Popatrzyła na słuchaczy. Wyglądali na ospałych i obojętnych. Holly z wahaniem podniosła rękę.

– Hol?

– Nie licząc topografii niewiele je łączy, prawda? Chodzi mi o to, że Margaret była kobietą kulturalną. Dlaczego postanowiła spędzać czas z kimś takim jak Dee? – Pogarda była oczywista i Vera aż chciała ryknąć na Hol. Myślisz, że Dee Robson chciała tak żyć? Naprawdę uważasz, że miała wybór? Ale Holly miała rację, i to nie był czas, żeby ją uczyć, jakie naprawdę jest życie.

– Dobra uwaga, Hol. Jakies pomysły?

– Krukowski była chrześcijanką. Zaliczała grzeszników. – Charlie chciał być dowcipny, ale nie udało mu się.

– Czemu nie? – powiedziała Vera. – Nie za często się na nich natykamy, ale są na świecie dobrzy ludzie. – Drzwi otworzyły się i za jej plecami wślizgnął się przez nie Joe. – Masz coś dla nas, Joe? – Żeby wiedział, że zauważyła spóźnienie.

Uśmiechnął się, a w niej serce troszkę zadrżało. Ach, mój Joe, mój ulubiony uczniaku, co tam dla mnie masz?

– Pogadałem z kolesiami obsługującymi telefony. Jest parę informacji z kilku ostatnich minut.

– Hm, nie zatrzymuj ich dla siebie.

– Właśnie skontaktował się z nami Jason, ten facet, który wziął Dee Robson do swojego mieszkania w to popołudnie, kiedy zginęła Margaret. Zobaczył zdjęcie Dee w popołudniowych wiadomościach. Z telefonem musiał poczekać, aż jego dziewczyna wyjdzie do swojej mamy.

– I? – Vera omal nie podskakiwała z niecierpliwości.

– Potwierdza wersję Dee. Właśnie zredukowano go w zakładzie w Mardle. – Joe zajrzał do notatek. Mardle Foods. Pieką własne ciasta dla supermarketów. Jego zmiana skończyła się o pierwszej i poszedł do Coble z zamiarem upicia się. Osiągnął to w wielkim stylu. Jakoś pozwolił, żeby Dee go poderwała, i zabrał ją do domu. Jak tylko troszeczkę wytrzeźwiał, dotarło do niego, że to nie był taki dobry pomysł, i pozbył się jej z mieszkania, zanim wróciła jego dziewczyna. Później tego wieczoru dalej pił z kolegami, którzy ręczą za niego.

Vera kiwnęła głową. Zawsze wierzyła Dee i nie wydawało się

jej, żeby to posunęło sprawę naprzód. Ach, Joe, nie powinienes wzbudzać we mnie takich nadziei. Ale Joe nie skończył.

– Wiemy, dokąd wybrała się Margaret Krukowski w popołudnie swojej śmierci.

Vera się rozpromieniła. Powinna mieć więcej wiary.

– Cóż, wydobądź nas z niedoli!

– Na spotkanie z Edwinem Shortem, który ma kancelarię na High Street w Gosforth. Nie było go parę dni – urlop w Barcelonie. – Joe podniósł wzrok i się uśmiechnął. – Jest adwokatem w firmie Medburn, Liddle i Short. Margaret Krukowski wybrała się na spotkanie z nim, bo chciała sporządzić testament.

Shorta złapali w domu, bo Vera za bardzo się niecierpliwiła, żeby czekać do następnego dnia na otwarcie kancelarii. Zabrała z sobą Joego. Jedyne miejsce parkingowe było na końcu ulicy, szli wzdłuż wspaniałych edwardiańskich szeregowców, zerkając na dostatnie życie domowe za oknami: piegowata dziewczyna ćwiczy na skrzypcach, kobieta zastawia stół do kolacji, starannie poleruje szkła i srebra, a potem kładzie je na ciemnym drewnianym stole, starszy dżentelmen z przymkniętymi oczami słucha czegoś klasycznego w radiu. Vera pomyślała, że Margaret musiała mieszkać na takiej ulicy jako dziecko.

Edwin Short otworzył przed nimi drzwi. Był delikatnym, kulturalnym mężczyzną przed sześćdziesiątką, siwowłosym i eleganckim, nie licząc skórzanych pantofli z dziurą na palcu. Zaprowadził ich do salonu z wysokim sufitem, kominkiem i regałami pełnymi książek. Zaproponował im sherry. Vera wyczuła, że otoczenie napełniło Joego pewnym respektem. Brytyjskie myślenie klasowe znów wchodziło w drogę.

– Dobrze pan znał Margaret Krukowski? – Wzięła kieliszek, który w jej wielkiej dłoni zrobił się mały. Właściwie sherry nie było jej ulubionym napojem, ale Joe siedział za kółkiem, a trzeba było okazać uprzejmość.

– Nasza firma obsługiwała jej rodzinę – powiedział Short. – Spotykałem się z jej rodzicami, chociaż byli już starzy, kiedy ich poznałem. Mój ojciec był adwokatem, założył praktykę, a ja poszedłem w jego ślady. Oczywiście lepiej znał to małżeństwo niż ja.

– Niech pan mi o nich opowie. – Vera rozparła się w fotelu.

– James Nash był biznesmenem. Jego rodzina miała sieć sklepów mięsnych na północnym wschodzie. Sprzedał je w samą porę, zanim weszły supermarkety, a potem zajął się deweloperką. Był przy tym ostrożny. Nic zbyt ryzykownego. Umierał jako bogaty człowiek. Jego żona była gospodynią

domową w tradycyjnym stylu. Margaret to ich jedyne dziecko. – Popatrzyl na Verę. – Czy to ważne? Proszę powiedzieć, gdybym zaczął głądzić.

– Wcale pan nie głądzi.

– Rodzina rozpadła się, kiedy Margaret wyszła za mąż wbrew ich woli. Oczywiście, śmiechu warte. – Short pokręcił głową. – Niech dzieci same podejmują swoje decyzje. Mój ojciec myślał, że to minie, ale Nash był uparty, a Margaret zdaje się odziedziczyła to po nim. Nigdy się nie pokłócili. Chyba już więcej się nie spotkali.

– Co się stało z rodzinnymi pieniędzmi? – wtrącił Joe.

– Nie przeszły na Margaret. Oboje umarli, kiedy byli już bardzo starzy i słabi i większość spadku pochłonęły koszty domu opieki. Upęnomocnili nas i zarządzaliśmy ich sprawami. To, co zostało, poszło na dobroczynność w walce z rakiem.

– Powiadomił pan Margaret o ich śmierci? – zapytał Joe.

Short pokręcił głową.

– Myślałem, że nadal mieszka w Polsce. Jej rodzice tak powiedzieli mojemu ojcu, kiedy jeszcze miał z nimi do czynienia: że odeszła z nowym mężem, żeby tam rozpocząć nowe życie. Nie była spadkobierczynią i po tak długim czasie wydawało się, że znalezienie jej jest zbyt skomplikowane.

– A Margaret przez cały czas była w swoim mieszkaniu na Harbour Street w Mardle. Zastanawiam się, czy odwiedzała ich w domu opieki. – Vera zdała sobie sprawę, że wypita sherry i postawiła kieliszek na stole.

– Będziecie musieli zapytać personel. Na pewno nigdy nie kontaktowała się ze mną, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszkają. Jak mówiłem, póki nie zadzwoniła do kancelarii, żeby się umówić, uważałem, że mieszka za granicą.

Vera była zdumiona. Margaret Krukowski była dobrą kobietą, chodziła do kościoła, a jednak nie próbowała dowiedzieć się, co się stało z jej starymi rodzicami, którzy mieszkali tylko pół godziny od Mardle. Nie zmieniali adresu, dopóki nie przeprowadzili się do domu opieki, nie byłoby trudno ich

znaleźć. Margaret nie wyglądała na kobietę, która chowałaby urazę przez pięćdziesiąt lat. W końcu rodzice nie mylili się co do jej męża. Opuścił ją po paru latach małżeństwa. Czy zatem jej grzechem była duma? Czy to ona kazała im wierzyć, że szczęśliwie osiedliła się w Polsce, bo nie chciała przyznać, że nie miała racji, czy to właśnie oni rozpowszechniali tę informację, żeby wyjaśnić jej zniknięcie?

Short mówił dalej.

– Tydzień temu Margaret niespodziewanie skontaktowała się ze mną. Muszę przyznać, że byłem zaintrygowany. Wiele o niej słyszałem, a przynajmniej o rozdzwiewku z rodzicami. Widziałem ją tylko tego dnia, kiedy zmarła. Tamtego wieczoru lecieliśmy do Barcelony i próbowałem odłożyć jej sprawę do mojego powrotu, ale nalegała. „Nie wiem, ile czasu mi zostało”, powiedziała. Poszedłem do kancelarii specjalnie po to, żeby się z nią spotkać. – Pochylił się w fotelu do przodu. – Ta kobieta robiła wrażenie. Komunikatywna i atrakcyjna. Powiedziała, że jest umierająca i że chce uporządkować swoje sprawy. Zapytałem, czy raka nie można wyleczyć. Technika medyczna tak bardzo posunęła się do przodu. Ale ona powiedziała, że nie jest zainteresowana walką z chorobą. Nie ma ochoty przedłużać sobie życia. – Vera pomyślała, że to rozumie. Nie była kobietą, która zachowywałaby się wyniośle, ale nie znosiła szpitali, badań, gmerania, rurek i igieł. To był jedyny powód, dla którego próbowała schudnąć.

– Margaret przyszła, żeby sporządzić testament? – Joe Ashworth chciał, żeby wszystko było jasne i zrozumiałe.

Short kiwnął głową.

– Zapytałem, ile warta jest jej nieruchomość. Powiedziała, że nie ma posiadłości. „Proszę pana, nie dostałam niczego po ojcu. Nigdy nie odczuwałam potrzeby, żeby gromadzić domy”. Ale było trochę gotówki w depozycie, a ona nie miała rodziny, chciała się upewnić, że pieniądze trafią we właściwe ręce.

– Zatem spisał pan jej testament? – Vera nagle zdała sobie sprawę ze swojej śmiertelności i na chwilę wpadła w panikę. Co

by się stało, gdyby umarła, z domem, który w jej oczach nadal był domem Hectora, z tą niewielką gotówką, którą miała na koncie? Może powinna umówić się z tym spokojnym, uprzejmym człowiekiem i rozdysponować to? Ale jak podzieli to, co do niej należało? To wyglądało na większe wyzwanie niż kupowanie prezentu od Tajnego Świętego Mikołaja dla policjanta z jej zespołu.

Short mówił dalej.

– Nie. Nie licząc jednej komplikacji, wszystko było całkowicie jasne, a ona chciała sfinalizować sprawę za jedną wizytą, ale ze względu na tę komplikację przekonałem ją, żeby poczekała, aż wrócę z wakacji.

– Mógłby pan nam powiedzieć, jakie były warunki przedstawionego testamentu?

– Oczywiście, w tych okolicznościach. Zgodziliśmy się co do formy słownej poza jednym zapisem. Margaret Krukowski miała pięćdziesiąt tysięcy funtów w obligacjach o stałym oprocentowaniu i na rachunkach oszczędnościowych wolnych od podatku. Miała zamiar zostawić dziesięć tysięcy swojej przyjaciółce Kate Dewar – spojrzął na notatki, które trzymał na kolanach – jako „inwestycję w talent muzyczny”. Dziesięć tysięcy miało pójść na rzecz schroniska dla bezdomnych kobiet, które nazywa się Przystań, a dziesięć tysięcy dla „mojego starego przyjaciela Malcolma Kerra, jako wyraz wdzięczności za jego pomoc i wsparcie udzielane mi przez lata”. A pozostała gotówka, dwadzieścia tysięcy funtów do... – przerwał – ... Deirdre Robson. O ile się orientuję, to wasza druga ofiara morderstwa. Chciałem się z wami skontaktować, gdy to tylko usłyszałem.

Vera na chwilę zaniemówiła. Pomysły i pytania krążyły jej w głowie. Pięćdziesiąt tysięcy w oczach adwokata to może być skromna suma, ale nie byle jaka dla kobiety, która ostatnie dwadzieścia lat spędziła jako doskonała pokojówka i kuchta. A dziesięć tysięcy wystarczyłoby pewnie, żeby uchronić Przystań przed zamknięciem. Vera zastanawiała się, czy Margaret

powiedziała Jane Cameron o zapisie. Czy nie miała wątpliwości, kiedy poproszono Dee, żeby wyprowadziła się z hotelu.

Short mówił dalej.

– Komplikacją był zapis dla panny Robson. Pieniądze nie miały pójść bezpośrednio dla niej, ale do osoby trzeciej, która w jej imieniu zarządzałaby sumą, zaprzysiężałaby się z nią, pomagała jej i dostarczała dodatkowych sum, żeby dołożyć się do zasiłku. Jak na testament była to niezwykła klauzula i wyjaśniłem jej, że muszę odpowiednio ująć to w słowa.

– Czy wybrała tego przyjaciela do opieki nad Dee Robson? – Vera żałowała, że Margaret nie żyje, bo mogłyby to omówić; Vera przyklasnęłaby szczodrości tej kobiety i jej zdrowemu rozsądkowi.

– To był inny ze spadkobierców, Malcolm Kerr.

Vera zastanawiała się, o co w tym wszystkim chodziło. Malcolma trudno było nazwać najbardziej godnym zaufania spośród znajomych Margaret. Może miała nadzieję, że odpowiedzialność za Dee Robson zahamuje jego upadek wywołany żalem i litowaniem się nad sobą.

Short mówił dalej.

– Zastanawiałem się, czy zapytała pana Kerra, czy chce się podjąć takiej roli. Wydawało mi się to cokolwiek uciążliwym zadaniem. Powiedziała, że ogólnie to z nim omówiła. Uznałem, że powinna dostać od niego formalną zgodę na ten układ, zanim spisze testament.

– Na czym stanęło?

– Że porozmawia z panem Kerrem i zapyta, czy będzie chciał się ze mną spotkać. Nawet się umówiliśmy.

Short odwrócił się, a Vera pomyślała, że po tak krótkim spotkaniu oplakuje śmierć kobiety, którą podziwiał.

– Co się teraz dzieje z pieniędzmi? – Zorientowała się, że Joe ma ochotę wracać do domu. Wiedział, że to nieoficjalne nadgodziny i nie znajdują się w rozliczeniu wydatków.

Short smutno się uśmiechnął.

– Próbujemy znaleźć jej krewnych. Żadnych dzieci, żadnej

bliskiej rodziny, więc to nie będzie trudne. Z pewnością do rodziny nie należą przyjaciele, których chciała obdarować.

Siedzieli w land roverze Vera i omawiali rozmowę. Ulica była spokojna.

– Hm, to niewiele pomoże. – Vera wygrzebała z kieszeni torbę na dowody i zaproponowała Joemu herbatnika. Ale Joe pokręcił głową.

– Niektórzy z tych, których moglibyśmy uważać za podejrzanych, mieli wszelkie powody, żeby utrzymać Margaret przy życiu. Oczywiście, jeśli wiedzieli, co ma zamiar zrobić. – Młoda objęta para szła w ich stronę chodnikiem. Zatrzymali się pod latarnią i pocałowali.

– Skąd miała te pieniądze?

Vera się zamysliła.

– Jeśli była oszczędna, mogła trochę odłożyć, kiedy pracowała dla ojca Malcolma. Leżały w depozycie przez tyle lat, mogły zamienić się w okrągłą sumkę.

– Ale dlaczego ich nie wydawała? – Joe nie mógł sobie z tym poradzić. – Po co mieszkać w małym mieszkanku, kiedy ma się depozyt na większe i własne?

Vera pokręciła głową.

– Może po prostu podobało jej się tam, gdzie była, to, że należała do rodziny Kate Dewar. – Popatrzyła na zegarek. – Lepiej jedź do domu. Sal zrobi moje woskowe figurki i będzie w nie wbijać szpilki.

Otworzył drzwi samochodu, kiedy zadzwonił jej telefon. To była Holly, mówiła triumfalnym głosem. Vera słuchała.

– Dobra robota, Hol. Genialna! – Czuła, że Hol promienieje.

– O co chodzi? – Joe udawał obojętność, ale Vera wiedziała, że rozpaczliwie chce się dowiedzieć.

– Holly wykazała szczyptę inicjatywy. George Enderby, jeden ze stałych gości pensjonatu przy Harbour Street, reprezentant wydawcy...

Joe skinął głową.

– Powiedział nam, że jedzie do Newcastle do pracy, potem do Szkocji, żeby odwiedzić kilka niezależnych księgarń – rzekła Vera. – I że dziś wieczór zostaje w Mardle w drodze powrotnej do domu.

– I co? – Ciekawość przeważała w Joem, irytowało go to.

– Zgadza się, jest reprezentantem wydawcy. Zdaje się, że jednym z ich najstarszych pracowników. Bardzo cenionym. Ale w tym tygodniu nie pracuje. Skończył pracę w ostatni piątek i zaczął świąteczny urlop.

– To co robi w Mardle?

ciąg dalszy nastąpi...

W maju 2015 roku

Ulica Milczenia
Tom 2



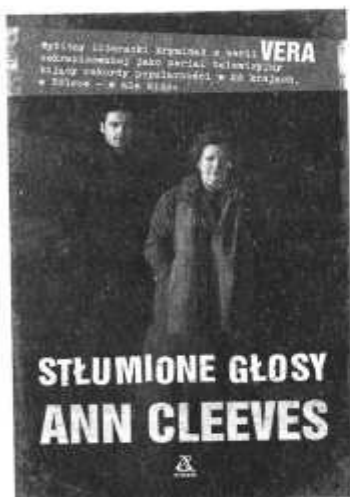
Vera zgłębia się w mroczne tajemnice małej wioski w Yorkshire i wchodzi w sam środek sekretnych tragedii rodzinnych.



Vera prowadzi śledztwo w odizolowanym miasteczku na wybrzeżu Northumbrii, gdzie każdy szanowany obywatel może być mordercą.



Na odludnej farmie, gdzie popełniono morderstwo, Vera układa prawdę z zagmatwanych życiorysów trzech kobiet, które dobrze znają znaczenie słowa zdrada.



W małym miasteczku Vera tropi mordercę kierowniczkę ośrodka opieki społecznej. W tej sprawie przewija się dużo kobiet. Każda z nich to opowieść o samotności, cierpieniu, poczuciu winy. Każda z nich ma motyw zbrodni...

Vera prowadzi śledztwo w sprawie zabójstw w Domu Pisarza, nadmorskim ośrodku dla literatów. Gdzieś tu czai się morderca, który zbrodnie ze stron powieści przenosi w rzeczywistość...



W śnieżny, bożonarodzeniowy wieczór detektyw Joe Ashworth i jego córka Jessie jadą zatłoczonym metrem do domu. Kiedy wszyscy wysiadają, Jessie widzi, że w wagonie ktoś został. To Margaret Krukowski, elegancka, starsza dama o wielkiej niegdyś urodzie, śmiertelnie ugodzona nożem. Nikt nie widział morderstwa i nikt nie wie dlaczego zginęła...

Inspektor Vera Stanhope jedzie do nadmorskiej miejscowości w Northumbrii, gdzie mieszkała ofiara. I gdzie dzień później zamordowana została inna kobieta...

Idąc po śladach Margaret, Vera zagłębia się w ukrytą przeszłość spokojnego, pozornie niewinnego miasteczka. Tropi skupiają się na jednej z ulic... Ale jej mieszkańcy milczą.

„Przejmujący kryminał Ann Cleeves pokazuje, co się dzieje, kiedy społeczność ukrywa prawdę, żeby chronić swoich, i w którym momencie milczący świadek staje się współnikiem zbrodni.”

„The Times”

Tom 2



ANN CLEEVES to jedna z najwyżej cenionych brytyjskich autorek literackich kryminałów.

Jej powieści wydawane są w 23 krajach. Kryminały z serii VERA (*Przynęta*, *Ukryta głębia*, *Droga przez kłamstwa*, *Stłumione głosy*, *Szklany pokój*) stały się podstawą najpopularniejszego serialu detektywistycznego telewizji ITV.



www.wydawnictwoamber.pl

978-83-241-5394-7



9788324153947

Cena det. zł 27,80